

Michał Śmielak



BIELMA

KOSMA EJCHERST

Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was
w owczej skórze, ale wewnątrz są drapieżnymi wilkami



Michał Śmielak

BIELMA

KOSMA EJCHERST

Copyright © 2023 MICHAŁ ŚMIELAK
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: MAŁGORZATA STAROSTA

Korekta: KATARZYNA KUSOJC

Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografia wykorzystana na okładce:

MICHELLE NEWNAN / ARCANGEL

Fotografia wykorzystana we wnętrzu okładki:

PAULINA I ŁUKASZ BRZOWSCY

WYDANIE I

ISBN 978-83-67545-49-5



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

Epilog

Od autora

Przypisy

ROZDZIAŁ 1

1.

Pan Jezus przyszedł od strony lasu, gdzie obecnie stoją trzy kapliczki, około godziny jedenastej szóstego grudnia. Matka Boża natomiast przyszła godzinę później z drugiej strony i spotkała się z synem dokładnie w miejscu, gdzie teraz stoi duża kaplica. Jednak wszystko zaczęło się trzydziestego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, gdy Jezus przyszedł po raz pierwszy, a w miejscu pozostawionych przez Zbawiciela śladów bosych stóp stoi obecnie jego figura. Od tego czasu Jezus, Maryja oraz różni aniołowie przybywają tu regularnie i towarzyszą głównej aktorce tych wydarzeń, siostrze Czesławie. Tak przynajmniej wynika z tego, co siostra Czesława opowiada.

Kosma stał z tyłu kilkudziesięciosobowej grupy pielgrzymów słuchających bajkowej opowieści z uśmiechami przyklejonymi do rozmodlonych twarzy. Siostra Czesława natomiast opowiadała, jak to przychodzi do niej cały panteon niebieski, prosi o budowę sanktuarium z dwoma wieżami, kościołów, o zapachu unoszącym się z tego miejsca do nieba, a potem spływającym z powrotem na okolicę, i jak Pan Jezus wyraźnie zabronił budować tu bloki, co podkreślał wielokrotnie. I to wszystko w malutkim Ostrożnem na Podlasiu.

Kosma spojrział w lewo, potem w prawo, żadne ze wskazanych miejsc nie wyglądało jak wrota do nieba i gdyby sam był świętym, to wychodzenie z krzaków nieco by mu uwłaczało. Sam fakt, że Jezus postanowił odwiedzić właśnie Podlasie, nie dziwił go, urokliwa kraina, piękne krajobrazy, mili ludzie, wspaniałe bimber.

– Wierzy pan? – Z rozmyślań wyrwał go głos starszego mężczyzny, który raczej nie należał do wycieczki. Miał na sobie robocze buty, ubrudzone drelichowe ogrodniczki, czarną koszulkę i wypłowiały szary kaszkiet. Czerwony nos i kilkudniowy niechlujny zarost świadczyły o tym, że darzył gorącym uczuciem

mocniejsze trunki, a niewspółmiernie chłodniejszym wszelkie zabiegi higieny osobistej.

– Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli, czyż nie? – odpowiedział mu Kosma.

– No jak nie, jak tak – odparł wyraźnie zadowolony mężczyzna. – Różne rzeczy tu leczą, reumatyzm albo jak któraś baba dzieciaka mieć nie może, ale tego to jeszcze nie widziałem, żeby zniknęło. – Wskazał na twarz Kosmy i ciągnącą się przez czoło paskudną, czerwoną bliznę.

– Nie? – zdziwił się. – To co to za uzdrowienia? Bóg chyba powinien ze wszystkim sobie radzić. Takiej bliznie nie podoła?

– Może i tak – odpowiedział mężczyzna. – A może i nie.

– Pan wierzy? – odbił pytanie Kosma.

– Ja? – zdziwił się mężczyzna, jakby nikt wcześniej nie zainteresował się tym, co czuje, myśli i jak mu życie leci.

– No tak, pan.

– Ja tu tylko sprzątam, trawniki strzygę, krzewy przycinam, parobek jestem, znaczy ten, techniczny – poprawił się.

– Nie pytam o to, co pan robi, ale czy pan wierzy.

– Ja się tam w sprawy świętych nie mieszam – odpowiedział ostrożnie i ruszył w stronę taczki stojącej kilka metrów dalej.

Kosma poszedł za nim.

– Przecież jest tu pan na co dzień, to kto widział więcej uzdrowień niż pan? – zapytał mężczyznę.

– Jak pan zapyta o koszenie, zbieranie śmieci, podlewanie trawników albo jak gniazdko naprawić, to wiem, bo się na tym znam. Ale gdzie mi tam z Jezusem gadać albo z Matką Boską – odpowiedział i zadreptał niecierpliwie w miejscu. – Mądrzejsi są od tego.

– Skoro nie Jezusa, to może chociaż jego pan widział? – Kosma wyjął zdjęcie księdza Adama Kamińskiego otrzymane kilka dni temu od biskupa Mariana Kawęckiego, swojego osobistego wujka.

Mężczyzna zmieszał się, od razu spojrzął w stronę budynku, w którym urzędował ksiądz dyrektor. Zdjął kaszkiet, starł pot z czoła.

– Tyle, co tu ludzisków przyjeżdża, to daj pan spokój.

Kosma sięgnął do lewej kieszeni, gdzie miał przygotowany banknot stużłotowy. Gościu pewnie lubił wypić, a z budżetem u takich zawsze było krucho. Dyskretnie wyjął złożoną na pół stówkę i delikatnie położył ją w pustych taczkach. Miał nadzieję, że tyle wystarczy.

– Z miesiąc temu mogło to być, co nie? – zapytał facet, spoglądając mu w oczy.

– Tak. – Czyli go widział.

– Był, rano przyjechał. Kazał się prowadzić od razu do księdza dyrektora, a potem chodził po całym obiekcie, zdjęcia robił, coś nagrywał, no i pojechał. Straszne zdenerwowanie potem było, a siostra Czesława to aż zasłabła. Ksiądz dyrektor bardzo wyklinał, aż się nie godzi w takim świętym miejscu.

– Został na noc w okolicy?

– Nie. Z wieczora pojechał, pod sklepem mówili, że najpierw do Zambrowa na Orlen, a potem na ekspresówkę wskoczył i tyle go widzieli.

– Dziękuję. – Kosma się uśmiechnął i z satysfakcją zauważył, że mężczyzna skrzywił się z lekką odrazą.

No cóż, blizna, której dorobił się we Wnykach, była świeża, nasączona krwistą czerwienią, a gdy się uśmiechał, jeszcze nabierała mocy i przypominała zakrwawiony hak. Lekarz powiedział, żeby na razie smarował ją specjalną maścią, która powstrzyma zrosty i lekko wygładzi zgrubienie, a może kiedyś pomyślał nad operacją plastyczną. Obecnie jednak Kosma nie miał nic przeciwko swojej nowej „ozdobie” twarzy, która przy każdym spojrzeniu w lustro przypominała mu, żeby nie ufać kobietom i przykładać się do policyjnej roboty.

– Ksiądz dyrektor jest? – zapytał mężczyzny.

– Zaraz ma być.

– Dziękuję, idę jeszcze posłuchać. Aha, jakby coś się przypomniało, takiego cennego, to proszę dzwonić. – Wręczył facetowi wizytówkę. Gdy ten dojrzał wydrukowane na kartoniku godło policji, zbladł, po czym z namaszczeniem schował stówkę i wizytówkę do kieszeni na piersiach. Capnął taczki i szybko oddalił się w stronę szopy na narzędzia.

Kosma wrócił na swoje miejsce, z zadowoleniem dostrzegając, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Siostra Czesława tymczasem nawijała, jakby miała zamontowany magnetofon z nagrany wykładem.

– Bo ja już umarłam – oznajmiła z pełnym przekonaniem. – Pan Jezus powiedział mi, że będę żyła osiemdziesiąt sześć lat, i jak tyle miałam, to padłam i pogotowie wezwali. Lekarka, co przyjechała, to powiedziała, że „Co wy ode mnie chcecie, żebym babkę martwą ratowała?”. Bo ja już oddechu nie miałam. Ksiądz mi ostatnią posługę dał, a ja potem się obudziła. Bo Pan Jezus tak chciał, żebym jeszcze żyła, a ile będę żyć, tylko on wie.

Kosma poczuł jakiś ruch za sobą, odwrócił się i zobaczył księdza, który pełnił tu funkcję zarządzającego. Ksiądz dyrektor, jak go nazywano, prezentował się dokładnie jak na zdjęciach otrzymanych w kurii.

– Szczęść Boże – powitał go kapłan cichym głosem, aby nie zakłócać opowieści siostry Czesławy. – Pan mnie szukał, Józek mi mówił.

– Dzień dobry – odpowiedział Kosma, lustrując mężczyznę.

Żwawy, lekko tylko otyły pięćdziesięciolatek, z uśmiechem przypominającym pęknięcie na galaretce owocowej.

– Tak, szukałem.

– Przejdźmy może do biura. – Odwrócił się i ruszył w stronę budynku administracji. Kilkoro wycieczkowiczów odwróciło się w ich kierunku, ale niezrażona staruszka z lekko opuszczoną głową kontynuowała swój wywód.

W panującym lipcowym upale chłód biura był kojący, ksiądz nie uchybił gościnności, od razu wyjmując z małej lodóweczki dwie butelki wody mineralnej.

– Czego policjant szuka u nas? Bo chyba nie Boga? – zapytał z przekąsem.

– O nie, absolutnie – zaprzeczył żywiłowo Kosma. – Ja już Boga spotkałem i chcę się trzymać od niego jak najdalej.

– Spotkał pan?

– Tak. – Kosma wskazał swoją bliznę. – Z tego spotkania mam taką oto pamiątkę, lepsze niż magnes z Lichenia.

– Proszę nie kpić – obruszył się Ksiądz dyrektor.

– To szczerą prawdą. Skoro wierzy pan w opowieści tej kobiety, to dlaczego nie w moje? Ja mam przynajmniej dowód. Co prawda nie zmartwychwstałem i na co dzień nie gawędzę sobie z Jezusem i Maryją, ale mam świadków mojego spotkania.

– Siostra Czesława...

– Dlaczego nazywa pan ją „siostrą”? Przecież to osoba świecka, nie jest zakonnicą, dostała po prostu od biskupa pozwolenie na paradowanie w habicie, co tylko miesza ludziom w głowach. Jej zmartwychwstanie to też bzdura, obecny biskup wydał oświadczenie, że nie ma dowodów na śmierć, więc nie ma mowy o żadnym cudzie, a jej wszystkie relacje są doświadczeniami prywatnymi.

– Widzę, że dobrze się pan przygotował do wizyty u nas.

– Taka robota.

Ksiądz rozpiął guzik pod szyją i poluzował koloratkę. Odkręcił butelkę z wodą, wypił solidny łyk. Kosma wiedział, że naruszył pierwszy filar jego pewności siebie, celowo unikając tradycyjnie przyjętych form i zwrotów, takich jak „ksiądz”, „Szczęść Boże” czy „Niech będzie pochwalony”. Wybicie z rytmu i naruszenie strefy komfortu to pierwszy krok w skutecznym przesłuchiowaniu świadka. A może podejrzanego?

– Co pana w takim razie sprowadza? – zapytał ksiądz. – Bo raczej nie dysputy natury teologicznej.

– Ma pan rację – odpowiedział Kosma. – Dwudziestego dziewiątego maja zjawił się u was ksiądz Adam Kamiński,

zbierający materiały dla Komisji Kanonizacyjnej, która, jak pan wie, weryfikuje cuda i objawienia.

– Wiem aż za dobrze – odparł kapłan.

– Zdaję sobie sprawę, przecież walczyacie o uznanie objawień pani Czesławy przez Kościół.

– I jak pan wie, na razie to niemożliwe. Kościół ma swoje procedury i dopóki trwają, nie można uznać żadnych objawień. Jest to niesprawiedliwe, ponieważ nie pozwala wiernym obcować z tą świętą kobietą. – Duchowny rozłożył ręce w odwiecznym geście bezradności wobec działalności urzędników.

– Oj tam, staruszka ma swoje lata, niedługo umrze, więc szybko wskoczycie na oficjalną listę. No, chyba że Jezus uparcie będzie ją wskrzeszał, wtedy to pożyje i dwieście lat, a może i trzysta? Przecież dla niego nie ma rzeczy niemożliwych.

– Ta ironia jest nie na miejscu. I znowu odchodzimy od sedna pańskiej wizyty.

– Ma pan rację – zgodził się Kosma. – Adam Kamiński był tutaj dwudziestego dziewiątego maja, przygotowywał dokumentację waszych objawień. Niestety kilka dni później zakończył swój doczesny żywot.

– Nie żyje? – Ksiądz był wyraźnie zaskoczony.

– Tak.

– Ktoś go zamordował?

– Skąd takie przypuszczenie? – Kosma spojrzał na kapłana z wyraźnym zaciekawieniem.

Ksiądz zmieszał się, sięgnął szybko po butelkę i upił łyk wody, oblewając się nieco.

– Gdyby to nie było morderstwo, to co robiłby u nas policjant? – odrzekł nieco spokojniejszym głosem.

– To był wypadek – stwierdził Kosma.

– Nie wierzy pan w to.

– Wiara jest dla ludzi, których nie interesują fakty. Jeśli to był wypadek, ja muszę to potwierdzić i rozwiązać wszelkie wątpliwości.

– Jednak jakieś są?

– Kilka dni po pobycie u was niezbyt przychylny całej sprawie urzędnik kościelny umiera. Daleko od was, całkowicie poza podejrzeniami.

– Czyli jesteśmy podejrzani?

– Muszę wiedzieć, co tutaj robił, z kim rozmawiał i co z tego wynikło.

Ksiądz ponownie odkręcił swoją butelkę wody, wypił kilka solidnych łyków. Spojrzał Kosmie w oczy, westchnął.

– Skąd w panu tyle agresji względem duchownych? Czy też jest pan taki dla wszystkich?

– Przepraszam, ale od kiedy to brak uniżoności jest brany za agresję? Możemy zacząć od nowa. Aspirant Kosma Ejcherst, prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci Adama Kamińskiego na polecenie biskupa Mariana Kawęckiego. Może pan do niego zadzwonić, z chęcią poczekam. Jeśli nie chce pan udzielić odpowiedzi, prześlemy odpowiednie wezwanie do stawienia się w komendzie i złożenia zeznań.

Ksiądz spojrzał na niego z kamienną twarzą, ale aż biło od niego wzburzenie. Kosma widział to zbyt wiele razy, gdy ludzie obdarzeni władzą i traktowani na co dzień z czcią zostawali sprowadzeni do parteru. Ależ to był przyjemny widok.

– Wszystko, co tu się działo, znajdzie pan w jego dokumentacji – powiedział w końcu ksiądz dyrektor. – Robił zdjęcia i praktycznie tyle. Siostra Czesława nie chciała z nim rozmawiać, przepytał głównie mnie.

– Dokumentacja to suche fakty – odparł Kosma. – Z tego, co wiem, było sporo nerwów po jego wyjeździe.

– Było – przyznał bez skrupowania ksiądz. – Siostra Czesława zasłała, a ja mocno wszystko przeżyłem. Nikt nie chce oficjalnie do nas się przyznać, gdyby nie pielgrzymi, dalej stałby tu zwykły

barak. Liczyłem, że skoro on także jest osobą duchowną, to podejście do naszych wydarzeń z bardziej otwartym umysłem.

– Jednak nic z tego?

– Okazał się zwyczajnym urzędnikiem bez krztyny empatii. Sucho wypytywał o fakty, nie interesowała go mistyka. Zdenerwowałem się, bo chciałem uzyskać jakiś status, dopóki siostra Czesława jest jeszcze na siłach. Po ostatnim wylewie niemal straciła wzrok.

– Pokłóciliście się? – domyślał się Kosma.

– Absolutnie. Wie pan, tu już nie chodzi o emocje, ale o względy praktyczne. Kongregacja Nauki Wiary może nieprzychylnie na nas spojrzeć w kilku szczególnych przypadkach, są to tak zwane „kryteria negatywne”, zna je pan?

– Wiem tylko, że objawienia muszą ustać – odparł Kosma nieco zmieszany, bo nie lubił być przyłapywany na niewiedzy. Miał ze sobą notatki otrzymane od biskupa, ale nie zdążył jeszcze się ze wszystkimi zapoznać.

– Tak, to warunek konieczny, stąd też do dziś nie uznano oficjalnie objawień w Medjugorje, a przecież to potężnym ośrodek pielgrzymkowy. Kryterium negatywnym może także być konflikt głoszonego przekazu z oficjalną doktryną Kościoła, ewidentna chęć zysku, choroby psychiczne mające wpływ na domniemany fakt nadprzyrodzony lub czyny niemoralne popełnione przez osobę doświadczającą objawień lub jej zwolenników. Dlatego nie możemy sobie pozwolić na żaden z powyższych zarzutów.

– Kłótnia mogłaby zostać źle odebrana? – zapytał Kosma.

– Ujmijmy to tak: ufamy słowom Jezusa Chrystusa, przekazanym siostrze Czesławie, że pomoże nam przetrwać. Dlatego cierpliwie i w pokorze czekamy. Jednak znając małostkowość i niskie pobudki wielu nieprzychylnych nam ludzi, nie możemy sobie pozwolić na choćby cień podejrzeń w kwestii naszych celów, jak też i zachowania względem osób duchownych czy świeckich.

– Tłumacząc na zwykły język: nie wołacie pieniędzy od pielgrzymów i z nikim się nie kłócicie.

Ksiądz dyrektor tylko rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko. Napił się ponownie wody.

– Po jego wyjeździe byłem zdenerwowany – powiedział po chwili.

– Napsuł wam krwi, co?

– Nam jeszcze nie zdążył. – Kapłan się uśmiechnął. – Zresztą co można sprawdzić w trakcie tak krótkiej wizyty? Tutaj trzeba troszkę pobyc, kilka dni, może tygodni, poczuć obecność Boga. Panu też by to dobrze zrobiło.

– Wprost przeciwnie, zaręczam – odparł Kosma. – Jestem typem niecierpliwym, to raz. Po drugim, z każdym dniem pojawiałyby się nowe pytania, już teraz mam ich kilka.

– Jakich to? – zaciekał się, całkiem szczerze, ksiądz. Pewnie był mocno doświadczony w zbijaniu obiekcji niedowiarków i poczuł się pewnie.

– Pominę zwyczajowe, które pewnie padały setki razy, czyli dlaczego właśnie ta kobieta. Dlaczego tutaj? Usłyszę, że Bóg działa w tajemniczy sposób. Jednak proszę mi powiedzieć, dlaczego Jezus przychodzi z lasku? Ma tam jakiś punkt przerzutowy? Dlaczego nie pojawi się ot tak, po prostu tutaj? Matka Boża znowu ma inny punkt, w którym musi się pojawić? Nie może skorzystać z tego samego? Jedyne, co przekazują pani Czesławie, to żeby się modliła, odmawiała tajemnice różańca i nowenny. I co to daje? Jezus i Maryja pojawiają się na podlaskiej prowincji tylko po to, żeby namawiać do modlitwy? Dlaczego nowenna działa lepiej niż zwykłe „Ojcze nasz”? Co o tym decyduje? Czy jak pomylimy się podczas odmawiania różańca, to się nie liczy? A jeśli się liczy, to za ile? Są jakieś przeliczniki, że jedna Zdrowaśka to połowa litanii?

– Płytkie pytania pomijające istotę objawienia – skwitował pogardliwie ksiądz.

– Nie, to normalne pytania, które powinny paść na samym początku. Nie zamierzam tu zostawać i drążyć, bo tak naprawdę interesuje mnie tylko sprawa Adama Kamińskiego. Módlcie się

tutaj, chadzajcie sobie z Jezusem, dokąd chcecie, ale jeśli wiecie coś, co może mi pomóc, dzwońcie.

Kosma położył na biurku swoją wizytówkę, spojrzął jeszcze rozmówcy w oczy, uśmiechnął się i ruszył do drzwi.

– Z jakiego właściwie jest pan wydziału? – zapytał ksiądz, studiując otrzymany kartonik.

– Z apostolskiego – rzucił na odchodne Kosma z ledwo tłumionym śmiechem.

2.

Kosma idąc w stronę samochodu, przeklinał pokrętny los. Zaczynało się bardzo podobnie jak poprzednio, oby nie skończyło się tak samo źle. Identycznie jak w maju został zaproszony czy też raczej wezwany do pałacu biskupiego, by rozmówić się ze swoim wujem Marianem Kawęckim, skromnym urzędnikiem Kościoła w randze biskupa.

Gabinet biskupa Mariana Kawęckiego był stały i niezmienny w swym wzbudzaniu uczucia przepychu i ekskluzywności. Według Kosmy tak samo mógł wyglądać sto czy dwieście lat temu i właśnie ta trwałość człowieka przytłaczała. Równie dobrze mógłby tutaj wejść książę Józef Poniatowski czy sam marszałek Piłsudski, zasiąść w fotelu i westchnąć z ulgą. Byłoby to całkowicie na miejscu. Wręcz wskazane.

– Oj, Gabryś, jesteś – powitał go zmęczonym głosem wuj, uparcie używając jego pierwszego imienia, czego Kosma nie znosił. – Siadaj, kochanieńki, siadaj. Napijesz się czegoś? Jak tam wypoczynek w Sopocie, zażyłeś wywczasu? Lepiej się czujesz? Nic cię nie boli? Poskładali ci tam wszystkie kości, zadbali odpowiednio?

Seria pytań jasno dawała do zrozumienia, że biskupa nie interesują odpowiedzi, tylko chce jak najszybciej przejść do meritum sprawy; zresztą pewnie znał szczegóły jego pobytu co do minuty. Kosmą, na polecenie wuja, zajęto się bardzo dobrze, skryty wśród nadmorskich lasów ośrodek rehabilitacyjny dla duchownych przypominał mu to, co znał z amerykańskich filmów.

Najnowocześniejszy sprzęt i fachowa opieka. Nie grymasił, po sprawie we Wnykach należało mu się to, ledwo przeżył.

– W porządku – odpowiedział Kosma, zajmując krzesło na wprost wuja, który tradycyjnie nawet nie podniósł się na jego widok. Najpewniej nie wstałby nawet, widząc prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

– Wyśmienicie. – Biskup się uśmiechnął. – Nie mogłem się doczekać twego powrotu, a chodzi o tamtą sprawę, z tym objawieniem.

– Zamieniam się w słuch.

Wuj spojrzał na niego i chyba dopiero teraz dostrzegł bliznę ciągnącą się przez całe czoło po prawą brew. Nie skrzywił się, pokiwał za to znacząco głową, jak rodzic ze smutkiem przyjmujący do wiadomości, że jego przestrogi były zasadne i dziecko w końcu połamało nogi, skacząc ze schodów.

– Jest taka wieś, w której objawił się Jezus Chrystus – zaczął powoli biskup. – To znaczy zamieszkuje ją człowiek, kościelny organista, który ogłasza wszem wobec, że przemawia do niego sam Zbawiciel. Każdą taką sprawę musimy zweryfikować, najczęściej nasi specjaliści natychmiast demaskują oszustów. Krwawiące figurki, płaczące obrazy, komunikanty zamieniające się w kawałki serca, obrazy na szybach i tak dalej. Powyższe wybryki łatwo obalić. Dużo trudniej jest w przypadku objawień osobistych. Tylko wybrana osoba doświadcza obecności Jezusa czy Maryi i niezwykle trudno jest udowodnić jej fałszerstwo.

– To chyba dobrze, przybywają wierni, wiara się umacnia – przerwał wujowi Kosma.

– Gabrysiu, takie rzeczy mówisz? Ty? Ksiądz?

– Nie zostałem wyświęcony – zaprotestował chłopak.

– Nieważne. – Wuj machnął ręką. – Doskonale zdajesz sobie sprawę z faktu, że wszystko, co niezbędne do zbawienia, zostało już powiedziane przez naszego Pana, Jezusa Chrystusa. To jest oficjalne stanowisko Kościoła katolickiego. To po pierwsze i najważniejsze.

– A po drugie?
– Tutaj w grę wchodzi rozliczne kwestie proceduralne, których nie będziemy omawiać.

– A jeśli tam faktycznie doszło do cudu? – zapytał Kosma.

– Gabrysiu, apeluję o rozsądek, bo stracę do ciebie szacunek. Tam doszło do takiego cudu, że z zapyziałej parafii robi się centrum pielgrzymkowe. Proboszcz śle do mnie listy, że nie życzy sobie takiego cyrku, organista obrasta w piórka. Wiesz, o co chodzi? Kościół może sobie pozwolić tylko na cuda kontrolowane. Ludzie mają jeździć do Częstochowy, a nie do jakichś Bielm. Jasna Góra, kochany Gabrysiu, gdzie są parkingi, okienka do przyjmowania intencji mszalnych, restauracje i sklepy z dewocjonaliami, ewentualnie Licheń. Wszystko pięknie zarządzane, uregulowane i w zgodzie z nauką Kościoła. Amen. Nie możemy sobie pozwolić, żeby jakiś organista po podstawówce pisał Biblię na nowo. Dlatego miał tam pojechać naukowiec w okularach, zrobić badania, coś tam zmierzyć i powiedzieć, że nie ma cudu. Żadnych kłamstw, bez oszustw i manipulacji.

– Czyli to są te względy proceduralne?

– Nie udawaj głupszego, niż jesteś w rzeczywistości! – podniósł głos biskup. – Wszystko kręci się wokół pieniędzy, Gabrysiu. Wszystko. Myślisz, że twoja trampolina z seminarium do policji była postawiona za darmo? Nie, nie była, to ludzie dający co niedzielę na ofiarę, pielgrzymi i dobrodzieje Kościoła postawili ją pod twoimi nogami, pozwolili miękko spaść, po czym odbić się w kolejnym kierunku. Więc uprzejmie proszę, abyś to rozważył i mnie posłuchał.

Kosma zarumienił się i przygryzł język. Oto jak się sprowadza romantyków na szorstki grunt codzienności.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedział spokojnie biskup, widząc, że jego argumenty zamroczyły przeciwnika. – Zwyczajowo po objawieniu sprawę najpierw bada proboszcz danej parafii. W tym przypadku wszystko wydarzyło się przy kościele i opinia była natychmiastowa: kłamstwo. Jeśli mimo to sprawa się nasila, zajmuje się tym odpowiednia diecezja, wysyłając na miejsce

swojego człowieka. Nie inaczej postąpiliśmy i w tym przypadku, tyle że... – Duchowny zawiesił głos.

– Zamordowano go? – zapytał Kosma.

– Gorzej – odpowiedział wyraźnie zmartwionym tonem wuj. – Po wizycie na miejscu ksiądz wyznaczony do tego zadania oficjalnie zrzucił sutannę.

– Zaginał? – rzucił Kosma lekko zdenerwowany, obawiał się powtórki wydarzeń z Wnyków.

– Nie, nic z tych rzeczy – odpowiedział Kawęcki. – To znaczy: nie wiemy, gdzie jest, ale oficjalnie wrócił do swej diecezji i bez głębszych wyjaśnień rozpoczął procedurę wystąpienia ze stanu duchownego. Od tej pory go raczej nie śledzimy.

– Stało się to wskutek wydarzeń na miejscu objawienia?

– Najwyraźniej. Poinformował przełożonych, że stracił wiarę – oznajmił z troskanym głosem biskup. Dla cierpiącego na brak powołań Kościoła odejście jednego z kapłanów to był cios podwójny, bo i wizerunkowy.

– Stracić wiarę na miejscu objawień? – zdziwił się Kosma.

– Ciekawe, nieprawdaż?

Ciekawe. Z seminarium Kosma pamiętał, że powszechnym żartem było powiedzonko: nic nie przeszkadza tak w posłudze kapłańskiej jak wiara.

– Jednak doszło do morderstwa? – zapytał. – Wspominałeś o tym przy mojej poprzedniej wizycie.

– Tak – potwierdził smutno ksiądz. – Bardzo nieprzyjemna sprawa, lokalna policja wciąż prowadzi dochodzenie i uważają, niestety, że to był wypadek. Zostali poinformowani, że będziesz tam robił swoje, nie mają nic przeciwko, sprawa dla nich jest zamknięta. Jeśli będą marudzić lub sprawiać kłopoty, to dzwoń. Tak naprawdę to nie musisz się nawet z nimi spotykać, bo wszystko, co zgromadzili, jest tutaj. – Biskup podsunął mu saszetkę podobną do tej poprzedniej, wręczoną przed wyjazdem do Wnyków. – Moja kancelaria zrobiła to po nowoczesnemu, wszystko na dysku.

Kosma skinął głową i zabrał torbę z biurka.

– Dziękuję – odpowiedział.

– W środku są też kluczyki i dokumenty od samochodu. Taki prezent ode mnie, rekompensata za te niedogodności. – Zakręcił dłońią wokół swojej twarzy, jasno wskazując, o co mu chodzi. – Oraz premia za dobrze wykonane zadanie we Wnykach. Mam nadzieję, że samochód ci się spodoba, to jakieś nowe bmw, nie znam się, w kancelarii mówili, że najlepsze.

– Wujku, mam samochód – zaprotestował Kosma.

– Gabrysiu... – Kapłan westchnął z politowaniem. – Jedziesz tam jako wysłannik biskupa Mariana Kawęckiego, reprezentujesz moją osobę oraz powagę Kościoła katolickiego. Jakie będziesz miał poważanie, gdy zaparkujesz pod plebanią jakiegoś starego grata? Nie godzi się i tak być nie może. Musisz wzbudzać respekt i szacunek. Jedno doskonale idzie w parze z drugim, uwierz mi.

– Dziękuję. Kogo zamordowano?

– Kolejnego kapłana, którego tam wysłaliśmy. Miał trzy punkty na swojej trasie, weryfikował też inne cuda. Na początku odwiedził Podlasie i wieś Ostrożne, gdzie jedna kobieta ma nieustające objawienia, a następnie udał się do wsi Hryniewicze, gdzie figurka Matki Boskiej płacze krwawymi łzami. Ostatnim punktem jego wyprawy były Bielma w Bieszczadach, a nawet można pokusić się obecnie o stwierdzenie, że stało się ostatecznym. W tych Bielmach ktoś go zamordował. Wiesz, oglądam ostatnio namiętnie serial *Ojciec Mateusz* i wiem trochę, na czym polega policyjna robota, Gabrysiu. Domniemywam, że będziesz chciał odwiedzić obydwie lokalizacje, żeby prześledzić poczynania naszego człowieka. Uważam to za wyśmienitą koncepcję. Jeśli w którejś z nich napotkasz problemy, powołuj się na mnie, żaden duchowny nie odmówi ci pomocy. Mamy największą siatkę ludzi w tym kraju. – Wuj mrugnął porozumiewawczo.

– Tak zrobię – odpowiedział Kosma, trochę na odczepnego. Decyzje co do dalszego działania podejmie dopiero po zapoznaniu się z dokumentami zapisanymi na dysku.

– No, jedź już, jak będzie coś trzeba, to dzwoń do mnie lub do kancelarii, pomogą. Zrobiliśmy ci też takie specjalne wizytówki policyjne, wiesz, z jednej strony herb policji, z drugiej biskupa. – Uśmiechnął się i ponownie puścił do niego oko.

Kosma nie skomentował, pożegnał się z wujem i wyszedł z pałacu biskupiego.

Z Ostrożnego do Hryniewicz miał niecałą godzinę jazdy, a chociaż mrużący hipnotyzująco silnik beemki wręcz błagał o mocniejsze obroty, nie pozwolił sobie na szaleństwo. Jeśli przesiadasz się ze zwykłego samochodu do takiego potwora, to trzeba się z nim dobrze zapoznać, żeby cię nie pożarł na pierwszym zakręcie.

Sama wioska nie była okazala, ot kolejne podlaskie sioło, urocze, pełne nowej, bezdusznej architektury kontrastującej z drewnianymi domami. Każdy nowy dom, zbudowany na bazie najtańszego projektu z katalogu, mordował po cichutku bielą swego tynku ciepłą drewnianą zabudowę, pamięć i tradycję. Była to jednak naturalna kolej rzeczy, można było złorzeczyć, wygrażać pięścią duchom postępu, lecz powstrzymać się tego nie dało. Ciekawe, czy kiedyś tak samo dziadkowie kręcili głowami z dezaprobatą, widząc, jak nowe pokolenie buduje solidne drewniane domy zamiast krytych strzechą lichych chat i ziemianek.

Kościół w samych Hryniewiczach nie było, cud dokonał się w niepozornym drewnianym baraku służącym za świetlicę. To tutaj kilkadziesiąt metrów od szosy stała nieduża figurka Matki Boskiej, której oczy spłynęły krwią w obecności gorliwej katoliczki odmawiającej różaniec. Cud nie był spektakularny, nie waliły tu pielgrzymkowe tłumy, nie było żadnych doniesień o uzdrowieniach. Co komu po cudzie, który nie uzdrawia? Nie ma sensu fatygować się na Podlasie, żeby sobie tylko popatrzeć na gipsową figurkę z pomazanymi czerwienią policzkami.

Kosma zaparkował na trawiastym placu, wysiadł z samochodu i ze zdziwieniem spojrzął na drewniany barak. Miejsce całkowicie niepozorne, równie dobrze nad drewnianą parterową konstrukcją można było zawiesić szyld „Bar” i byłoby to jak najbardziej na

miejscu. Jego nowy samochód wydawał się tutaj tak samo nienaturalny jak krwawe maryjne łyzy. Drewniany klocek był otoczony domkami jednorodzinnymi, stodołami i życiem codziennym w swej powszechnej, nudnej i szarej formie. Proboszcz pobliskiej parafii oznajmił mu telefonicznie, że sam go tutaj nie będzie pilotował, kościół jest w budowie i ma kupę roboty. Kosma skontaktował się więc z prośbą o spotkanie z dziennikarzem, który kilkakrotnie już publikował informację o cudzie. Byli umówieni dokładnie za pięć minut, jednak Łukasz Pawlicki przyjechał, podobnie jak i on, przed czasem. Zajechał na miejsce starą toyotą yaris i jak to mężczyzna z zazdrością rzucił okiem na furę Kosmy.

– Kosma Ejcherst? – zapytał, wysiadając z samochodu.

– We własnej osobie. Cieszę się, że znalazł pan chwilę na spotkanie. – Uścisnęli sobie ręce.

– Żaden problem – powiedział dziennikarz. – Zaczynają się wakacje, sezon ogórkowy, więc z przyjemnością trzasnę artykułik, jak to policja wypytuje o cud w Hryniewiczach.

– A jest tu cud? – zapytał bez złośliwości Kosma.

– A czy ja wiem? Tak naprawdę to nikt tego nie badał, proboszcz nie uznaje, a ja co pół roku coś tam napiszę, bo nieźle się klika, szczególnie przed świętami. Jak idzie Wielkanoc, to ludzi nachodzi na refleksje, szukają informacji o życiu Jezusa, cudach, padają w Wielki Piątek na kolana do spowiedzi. Potem, jak już wódka wypita, sałatka zjedzona i trzeba wracać do roboty, to wszystko się normuje, dalej Polak Polakowi katolikiem.

– W seminarium krążyło takie powiedzenie, że w Wielki Piątek spowiadają się tylko kurwy i mordercy – rzucił Kosma i zaraz ugryzł się w język. Przyjechał tu jako policjant, a cwany dziennikarz mógł szybko coś wyłapać, żeby podkręcić swój artykuł.

– I tak chyba jest. Nie ma u nas zbyt wielu tematów, mafia trzyma się bliżej stolicy, kibice nieszczególnie agresywni, ot, życie niespieszne, podlaskie. Jak na mój nos to tutaj po prostu jedna baba chciała nagonić ludzi na modlitwy różańcowe. Mało osób

przychodziło, to wymyśliła taki cud. Jeden łowca sensacji sprawę badał i stwierdził, że ktoś podgrzewa zdalnie laserem skryzalizowaną czy tam zakrzepłą krew. Jest poutykana w oczach, a potem z daleka idzie wiązka laserowa, roztopia te kryształki i krew cieknie. Jest jej tyle, co kot napłakał, więc może to i prawda, kto wie?

– Nie ciekawiło to pana? Zbadać temat, wyjaśnić, obalić lub potwierdzić?

– Owszem, ciekawiło. Tutaj jednak wpadamy w pułapkę lokalnych zależności i trzeba zadać sobie ważne pytanie: Czy komukolwiek zależy na prawdzie? Katolicy, jak to oni: wierzą. Kościół tradycyjnie: dystansuje się od sprawy. Niewierzący oczywiście śmieją się z zabobonu. Jeśli wykryję oszustwo, to katolicy i tak to zignorują, bo im dowody niepotrzebne, liczy się wiara, choć szukają dowodów nieustannie. Jeśli potwierdzą brak oszustwa, to niewierzący tego nie uznają, bo i tak wiedzą swoje. Błędne koło wzajemnej ignorancji i zapatrzenia w siebie.

– I tak od wieków i na wieki wieków, czyż nie?

– Amen. To teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego o tę sprawę pyta policja.

– Szukam informacji o pewnym człowieku, który zjawił się tutaj dwudziestego dziewiątego maja, by sporządzić raport dla Kościoła w kwestii rzekomego cudu.

– W tym chyba nie pomogę – odpowiedział dziennikarz.

– Dziś nie, ale prześlę panu zdjęcie tego mężczyzny, może rzuci się komuś w oczy.

– Wątpię, czy zaowocuje to jakimś mocnym artykułem.

– Wie pan, warto spróbować. Na zachętę powiem, że ten człowiek został zamordowany i bardzo możliwe, że jego wizyta w Hryniewiczach ma jakiś związek ze sprawą.

– To zmienia postać rzeczy. – Dziennikarz się uśmiechnął. – Różaniec odbywa się tutaj tylko w piątki, pojutrze zajrzę i wypytam rozmodlone towarzystwo. Znają mnie i lubią, bo nigdy nie napisałem o tych krwawych łzach złego słowa.

- Lokalne zależności, co? – Kosma uśmiechnął się pobłaźliwie.
 - Jakoś trzeba żyć – odpowiedział dziennikarz. – Wyśle mi pan to dzisiaj na maila?
 - Tak.
 - Jak sobie pan władza życzy – odparł Łukasz Pawlicki.
- Uścisnęli sobie dłonie i wsiedli do samochodów. Kosma ruszył do Białegostoku, gdzie czekał na niego pokój w hotelu.

ROZDZIAŁ 2

BENIOWA, 1 CZERWCA 1946 ROKU

Znienawidzone Bieszczady powitały go piękną pogodą, pieszczącą oczy zielenią i śpiewem ptaków. Samochodem okrutnie rzucało na wybojach, zawieszenie wysłużonego gazika wydawało iście potępieńcze jęki, ale radziecka konstrukcja z mozołem pokonywała kolejne zakręty gruntowej drogi. Wyjechali na małe wzniesienie i major Lew Koroniewski nakazał zatrzymać samochód, co nastąpiło z piskiem hamulców i zgrzytem wybijanego biegu. Jadące za nimi auta dopiero wyłaniały się zza zakrętu drogi.

– Towarzyszu majorze? – zapytał kierowca w stopniu kaprała, spoglądając na oficera.

– To ta wieś? – Koroniewski wskazał chałupy majaczące w oddali.

– Tak jest – zameldował kapral.

Major obejrzał się; jadąca z nim kolumna docierała do miejsca postoj, samochody kolejno się zatrzymywały, ale kierowcy nie gasili silników. Z pierwszego z nich wyskoczył chorąży Marcel Czerwiński i podbiegł do samochodu majora, po czym bez pytania wszedł na tylną część pojazdu i stanął obok swojego dowódcy, spoglądając we wskazanym przez kierowcę kierunku.

– Beniowa – oznajmił chorąży. – Ostatni raport wskazuje na dziewięćdziesiąt siedem chałup i sześciuset siedemnastu mieszkańców. Cerkiew, folwark, młyn i tartak.

– Nasi?

– Głównie Rusini, Łemkowie i Bojkowie, trochę Polaków, ale głównie małżeństwa mieszane.

– Spokojni?

– Bardzo – zapewnił chorąży.

– UPA?

– Kto to wie. – Czerwiński wzruszył ramionami. – Informatorzy wskazują na czołę „Orła” i sotnię „Bira”, ale raczej w okolicznych lasach. Ot, spokojna wieś.

– Spokojna wieś, powiadacie... – westchnął major.

Co prawda sam powinien dokładnie przejrzeć raporty wywiadu, donosy sąsiadów i mapy z zaznaczonymi ruchami sotni Ukraińskiej Armii Powstańczej, ale miał to w dupie. Został skierowany tutaj tylko dlatego, że był już oficerem w przedwojennej Polsce, a takich Rosjanie nienawidzili. Niewdzięczne zadanie, jakie mu wyznaczono, doprowadzało go do szału, urągało honorowi oficera Wojska Polskiego, no, ale przecież teraz byli w Ludowym Wojsku Polskim, tworze całkowicie podległym Stalinowi. Na szczęście towarzyszący mu chorąży doskonale zdawał sobie sprawę z tego nastawienia, a że w trakcie marszu na Berlin żyli się niemal jak bracia, to teraz spokojnie załatwiał za niego kwestie przygotowania.

– Wódki, obywatelu majorze? – Pytanie było czysto retoryczne, bo Czerwiński już trzymał butelkę w ręce, a kierowca wyjmował ze schowka szklanki.

– Lej, Marcelku – odparł Koroniewski, po czym przyłożył do oczu lornetkę i spojrzał na wieś zatopioną w miękkim słońcu zachodzącym nad Bieszczadami.

Drewniane chaty, zwane przez miejscowych chyżami, bardzo pasowały do krajobrazu pełnego zielonych lasów i błękitnego nieba. Przysadziste chałupy otaczały wielką lipę, która stała w centrum wsi, wokół obejść krzątali się gospodarze, zganiano krowy z pól. W podmokłej części wsi dzieciarnia zabierała się do zganiania gęsi i kaczek. Spojrzał w lewo, ale kopuły cerkwi ledwie majaczyły przez gęste listowie, przebijały się jedynie słoneczne odbłaski odbite od wypolerowanej blachy.

Lornetka zawisała na skórzanym pasku i major wyciągnął dłoń po kieliszek.

– „Wsi spokojna, wsi wesola! Który głos twej chwale zdoła?” – wyrecytował z pamięci fragment pieśni Jana Kochanowskiego i wypił wódkę jednym haustem.

– Na zdrowie – rzucił szybkim toastem kierowca.

– Baczewski? – zdziwił się major, smakując gorzki trunek. – Skąd wyście dorwali wódkę od Baczewskiego?

– Okazało się, że tutejszy kwatermistrz to mój ziomek z Sandomierza – poinformował z radością w głosie chorąży. – Tak siedliśmy wieczorem wznieść toast za stare czasy, a ten wyjmuje baczewskiego. Przecież Lwów o rzut kamieniem, to jeszcze sporo po magazynach wojskowych zarekwirowanych skarbów, tak mówił. No i udało mi się kilka butelek wydębić od niego.

– No to na drugą nóżkę – zarządził major, nadstawiając kieliszki. W wojsku wódki było w bród, ale była to zazwyczaj najpodlejsza ruska berbelucha, która nie musiała ani pachnieć czy też smakować, za to musiała podnosić odwagę i zabijać sumienie. W żołnierzu radzieckim jednak zabijać nie było czego, bo o sumieniu nie słyszał, odwagę zastępowano głupotą i przymusem, a do ogłupiania cuchnąca gorzałka nadawała się idealnie.

Wypili, kieliszki powędrowały do schowka, major Koroniewski skinął głową, na co chorąży natychmiast zeskoczył z gazika.

– Rozkazy przekazane? – zapytał go Koroniewski.

– Tak jest, obywatelu majorze. – Zasalutował mu do orzełka bez korony przyszytego na czapce. Chorąży uwielbiał tytułować swojego przyjaciela obywatelem lub towarzyszem i robił to zawsze z tak cynicznym uśmiechem, że dobry humor udzielał się także i majorowi. Obecnie nie wolno było mówić „panie majorze”, bo panowie to byli za sanacji, z polskimi panami komunizm walczył bohatersko i z poświęceniem.

– Powtórz im jeszcze raz, że we wsi nikt nie ma prawa nawet spojrzeć na dziewczuchy, prosimy o gościnę i ją przyjmujemy. Można potańczyć, wypić, zjeść, ale jak mi który chociaż w policzek pocałuje albo po dupie klepnie którąś kobitkę, to osobiście wyprowadzę za chałupę i zastrzelę.

– Tak jest, obywatelu majorze! – krzyknął, prężąc się niczym struna chorąży, po czym regulaminowo odwrócił się, stukając oficerkami, i ruszył w stronę kolumny samochodów.

Koroniewski klepnął w ramię szofera, ten wrzucił ze zgrzytem bieg i samochód ruszył z warkotem czterocylindrowego silnika skopiowanego przez radzieckich inżynierów z amerykańskiego forda AA. Jechało za nim kilka gazików i cztery ciężarówki marki Studebraker, z czego dwie wypełnione żołnierzami. Major celowo zarządził postój na górcie, aby we wsi ich dostrzeżono, co też się stało, bo im bliżej byli zabudowań, tym głośniejsze dochodziło ich szczekanie psów. Major chciał dać czas mieszkańcom Beniowej na spokojne działania, jakie przeprowadzano w każdej wsi na widok zbliżającego się wojska. Po pierwsze, ukrywano wszystkie młode dziewczyny, aby nie rzucały się w oczy, następnie podobnie czyniono z chudobą, aby któremuś z wojaków nie wpadła w oko szczególnie tłusta gęś. Potem zostawało zawołać starszego nad wioską i księdza, aby mogli rozmówić się z gośćmi.

Droga była prosta, koleiny coraz równiejsze, więc jechało się wreszcie całkiem przyjemnie. Lipa górująca nad wsią rosła w oczach, pierwsze psy już biegły w ich kierunku, oszczekując intruzów, za nimi biegły co odważniejsze dzieci, ciekawe niecodziennych gości. Gdy podjechali pod pierwszą chałupę, na drodze pojawił się rosły mężczyzna o potężnych przedramionach skrzyżowanych na piersiach. Wąsy i broda nadawały mu wygląd uczonego męża, chociaż szeroka klatka i sękate dłonie jasno wskazywały, że do ksiąg zasiada dużo rzadziej niż do pługa. Z lewej strony zza kutego ogrodzenia otaczającego cerkiew i cmentarz wyszedł ksiądz i szybkim krokiem zmierzał w ich kierunku. Major zeskoczył z samochodu, poprawił mundur i podszedł w stronę czekającego na niego mężczyzny. Nie śpieszył się, chciał, aby ksiądz do nich dołączył.

– Major Lew Koroniewski, Trzydziesty Czwarty Pułk Piechoty – przedstawił się gospodarzowi wsi.

– Wasyl – odpowiedział spokojnie mężczyzna. – Co to, znowu wojna? – zapytał po polsku, ale z bardzo silnym akcentem rosyjskim. Koroniewski doskonale władał rosyjskim, ale byli w Polsce i nie zamierzał zmieniać języka.

– Gdzie tam. – Major machnął ręką. – Jesteśmy tutaj ze względów bezpieczeństwa.

– Chrystos woskresie – powitał ich lekko zdyszany ksiądz.

– Prawdziwie zmartwychwstał – odpowiedział major, doskonale obeznany ze zwyczajami katolików ze Wschodu.

– A, Polacy – stwierdził duchowny, nie wiadomo, czy ciesząc się z tego faktu, czy też nim smucąc. – Ksiądz Antoni Lutyj. Panie majorze, co was sprowadza?

– Zabezpieczamy te tereny w związku ze wzmożoną działalnością UPA – poinformował Koroniewski. – Zmierzcha się i chcielibyśmy poprosić o gościnę. Rano jedziemy dalej. Muszę dać ludziom odpocząć.

– Ale to u nas? – zdziwił się ksiądz. – Toż może lepiej do dworu? Tam wygodniej będzie. I ludzi łatwiej rozmieścić.

– Nie bójcie się – uspokoił go Koroniewski z szerokim uśmiechem. – Żołnierze mają przykazane, aby nikomu włos z głowy nie spadł. Ugościcie w chatach? Podziękujemy. Jak każecie na podwórzu spać, też dla nas to żadna hańba, w drodze na Berlin spało się i w rowach z wodą. Przywykliśmy.

– Gość w dom, Bóg w dom – odpowiedział ksiądz, skłaniając się lekko. – Gdzie tam w rowach, czerwiec, ale nocki chłodne. Pana majora zapraszam do siebie na kwaterę, może jeszcze z jednym czy dwoma oficerami, miejsce się znajdzie, a resztę po chałupach rozmieścimy.

– Dziękuję. – Major skłonił się krótko. – Słowem oficerskim gwarantuję, że moi ludzie do rana nikomu żadnej nieprzyjemności nie uczynią, o córki i żony się nie bójcie. Nawet jakby której amory były w głowie, to u nas celibat, i to pod karą śmierci. Prowiant mamy swój, spiżarniom nie zaszkodzimy.

– Wasylu? – zwrócił się ksiądz do rosnącego mężczyzny, z którego twarzy gęsto pokrytej brodą ciężko było coś wyczytać.

– Gość w dom, Bóg w dom – powtórzył gospodarz. – Zajeżdżajcie lekkimi samochodami między chałupy, ale duże lepiej ostawić. Ziemia miękka.

Koroniewski spojrział na chorążego, ten tylko skinął głową i ruszył wydać odpowiednie rozkazy.

– A ja zapraszam na kolację, jak już wojsko się rozlokuje – powiedział ksiądz.

– Wybaczcie, ale zwykłem jadać ze swoimi żołnierzami – odpowiedział major. – Razem się wojuje, to i razem biesiaduje.

– Stoły wystawimy na majdan, razem siądziemy – zarządził tym razem Wasyl, po czym odwrócił się i ruszył w stronę chałup.

Major nie poszedł za nim, chciał mu dać czas, aby uspokoił pozostałych mieszkańców, którzy pewnie obawiali się wojska. Oczywiście tylko dzieci nie trzeba było uspokajać, te wystawiały ciekawskie głowy zza węglów chałup. Ksiądz też coś mruknął pod nosem i szybkim krokiem udał się w kierunku plebanii, która stała po drugiej stronie drogi, naprzeciw kościoła.

– Obywatelu majorze, rozkazy wydane – zameldował chorąży.

– Czekoladę jakąś mamy?

– Kilka tabliczek, jeszcze ponemiecka.

– Gdzie ty to wszystko mieścisz? – zapytał się z uśmiechem major.

– Trzeba mieć, nigdy nie wiadomo, czym przyjdzie pohandlować.

– Poświęcimy jedną.

– To droga rzecz.

– Marcelku, te dzieciaki pewnie w życiu czekolady na oczy nie widziały, zrób to dla mnie.

– Wedle rozkazu. – Chorąży westchnął z cieniem żalu w głosie.

Wieś wyglądała dość bogato, chałupy miały spadziste dachy, by śnieżne i surowe bieszczadzkie zimy im nie zaszkodziły. Okna, najczęściej dwa lub trzy, wstawione w ściany z ciemnego drewna, były ozdobione okiennicami pomalowanymi na niebiesko, biało lub żółto, niektóre dodatkowo wzbogacono ornamentami złożonymi z kropek, zygzaków i kółek. Łączenia poziomych belek

również w wielu przypadkach były pokryte kolorowym wypełnieniem, stąd też każde domostwo harmonijnie wpasowywało się w wieś, a jednocześnie było jedyne w swoim rodzaju. Widać było, że każdy z gospodarzy bardzo dba o swoje siedlisko: a to pomalowano fantazyjnie drzwi, gdzie indziej zręby belek, tu umieszczono w wyciętej wnęce ikonę, tam stał wyrzeźbiony z drewna świątek. Obejścia także były bardzo zadbane, aż miło wchodziło się do wsi, gdzie gospodarze kochali każdy centymetr swojego dobytku.

Gdy żołnierze rozstawiali samochody i namioty dla tych, którzy mieli trzymać wartę, do Koroniewskiego przysłała kobieta w błękitnej spódnicy, białej koszuli i czarnej kamizelce, z głową okrytą wzorzystą chustą i uśmiechem szerokim niczym sierp księżycy. W wyciągniętych przed siebie rękach trzymała bochen chleba, rumiany i dobrze wypieczony.

– Szczęść Boże – powiedziała. – Chlebem was witamy, gościnę ofiarujemy. Dla was i waszych ludzi.

Także mówiła po polsku, i to z całkiem dobrym akcentem. Major uśmiechnął się, zdjął czapkę i schował ją pod pachą, odebrał chleb z jej dłoni, ucałował go i oderwał kawałek. Ugryzł i w tej chwili przeniósł się do rodzinnego domu, gdzie babcia co tydzień piekła świeży bochen chleba i zawsze dawała pierwszą kromkę właśnie jemu, jeszcze gorącą i chrupiącą, a jeśli posmarowała ją świeżym solonym masłem, to była prawdziwa uczta.

Mieszkańcy nieśmiało wychodzili z chałup, mężczyźni wynosili ławy i zydle, kobiety chleb, sery, jaja, trochę wędzonego mięsa, kamionki z miodem i co tam która mogła uszczknąć ze spiżarni. Kilka butelek świadczyło o tym, że postanowiono także poczęstować gości czymś mocniejszym. Kolorowe stroje jasno mówiły, że zdążyły się na ich przybycie przebrać w odświętne ubrania, niektóre nawet miały buty, chociaż jak w każdej wsi chodzono tutaj na co dzień boso.

Nie minęło pół godziny, gdy mieszkańcy Beniowej i żołnierze Trzydziestego Czwartego Pułku Piechoty siedzieli przy ławach, choć panowało jeszcze morze nieśmiałości. Rozmowy były ciche,

głównie w swoich kręgach, ale Koroniewski i na to miał sposób. Zabrał ze sobą kaprała, który wyśmienicie grał na akordeonie. Przed wojną studiował grę na tym instrumencie, ale dłonie przemarzły mu na czołgu, gdy obchodzili armię Guderiana, i zatracił dawną sprawność. Na uniwersytety już się nie nadawał, ale na wojskowe granie jak najbardziej. Gdy zagrała akordeonowa muzyka, zaraz podniosły się śpiewy i pojawiły się szersze uśmiechy. Nagle pojawił się jakiś dziadek z bębniem, dołączyło dwóch młokosów z fujarkami, a jeden młodzik przyniósł owinięte w królicze skóry skrzypce. Muzyka zaczęła wznosić się ponad dachy chałup i nieść razem z krzykami biesiadników po Bieszczadach.

Niedaleko stołów gospodarze rozpalili wielkie ognisko i poczęli przygotowywać na nim ubitego wieprzka. Z zapasów wojskowych chorąży Czerwiński wygospodarował konserwy, suchary, ale i dobrze podsuszaną kiełbasę, wódkę, no i czekoladę dla dzieci. Piski radości najmłodszych mieszkańców Beniowej do końca uwiarygodniły, że żołnierze nie mają złych zamiarów. Noc gęstniała, brzuchy się napełniały, wódka szumiała w głowie.

Major wiedział, że żaden z jego żołnierzy się nie upije. Znali go aż za dobrze i mieli z nim też rajskie życie jak na armię. Nie wymyślał nikomu głupich zajęć, dbał, aby kuchnia gotowała porządnie, za sprawą obrotnego chorążego byli zawsze dobrze zaopatrzeni. Ale wiadomym było, że za pierwsze złamanie rozkazu major daje po pysku, a za drugie wilczy bilet z jego oddziału, i to najczęściej z przeniesieniem do miejsca, którego nikt nie chciał. I było spokojnie. Kilku młodszych żołnierzy przyszło poprosić o pozwolenie na zatańczenie z dziewczynami, otrzymali je dopiero wtedy, gdy Wasyl, jak się okazało: tutejszy wójt, wyraził zgodę.

– Pamiętam jeszcze takie wojsko – powiedział ksiądz siedzący po prawicy majora. – Przedwojenne. Chłopcy jak malowani, mundury niczym prosto od krawca, a zachowanie... Jak z podręcznika.

– U mnie panują takie same porządki – oznajmił major. – Dyscyplina jak w pruskiej armii, ale siłą przeszliśmy razem. Wiedzą, że mogą na mnie polegać, a ja na nich.

– I naprawdę idziecie na bandy?

– Batuszka, nie mówmy o tym – odparł Koroniewski. – Służbę mamy ciężką i niebezpieczną, stąd dziś świętujemy. Wiecie, co teraz każdy myśli? Że na wojnie nie zginął, przeszedł cały szlak, aż do Berlina, a tu może w czasie pokoju dostać z krzaków kulę w plecy. I to po co? Za co? Że jakiś ukraiński watażka postanowił sobie porządzić Lachów, a teraz kryje się w norach i myśli, że mu się jakoś upiecze. My byśmy chcieli w domu siedzieć, on też, ale żadna strona nie odpuszcza.

– Niby wszystko boża wola, ale czasem... – Westchnął ksiądz.

– Napijmy się, batuszka – zarządził major, rozlewając resztkę wódki Baczewskiego do kieliszków przyniesionych z plebanii przez duchownego.

Noc przebiegała tak, jak powinna w czerwcu. Była krótka, czarna i wypełniona zapachami, a na dodatek śpiewem szczęśliwych ludzi. Gdy na zegarku majora pokazała się godzina pierwsza, zarządził koniec gościny. Żołnierze karnie zaczęli po sobie sprzątać, choć mieszkańcy gorąco protestowali, szczególnie młodzież, zawsze skora do zabawy.

– Służba nie drużba! – rzucił gromko major. – Za gościnę dziękujemy, zachowamy ją w pamięci. Ale jak tylko słońce pocnie wstawać, musimy ruszać.

Mieszkańcy niechętnie przyłączyli się do sprzątanego i prosili żołnierzy na przygotowane w międzyczasie kwatery. To była krótka i piękna noc, po której nie miały prawa nikomu śnić się koszmary.

Te zaczęły się dopiero nad ranem.

ROZDZIAŁ 3

BIELMA. TERAZ

1.

Do Bielm nie jechało się przyjemną asfaltową szosą wijącą się malowniczo wśród gór, do czego mogła przyzwyczać mała i duża pętla bieszczadzka. Droga była co prawda szeroka, ale bez chociażby cienia asfaltu, o podwozie samochodu waliły niestrudzenie małe kamyki i było tak przez całe dziesięć kilometrów od momentu, gdy Kosma opuścił ostatnią ostoję cywilizacji, czyli Tarnawę Niżną. Co jakiś czas po lewej lub prawej znajdowały się małe zatoczki, na których można było dostrzec samochód turystów, potem mały parking z punktem informacji turystycznej i toaletami, po czym droga skręcała nagle w prawo i Kosma wyjechał na bardziej otwarty teren, ale nawierzchnia wciąż nie rozpieszczała. Widocznie nie opłacało się wylewać asfaltu dla kilkudziesięciu mieszkańców najdalej położonej na południe wsi w Polsce.

Gdy dostrzegł w oddali rozproszone zabudowania i najbardziej charakterystyczny punkt, czyli kopuły cerkwi zatopione w leśnej otulinie, odetchnął z ulgą. Miał wrażenie, że ten jednostajny szum szutrowej drogi w pewnym momencie go uśpi i wpadnie do torfowiska ciągnącego się wzdłuż drogi. W Bielmach powitała go nie łemkowska zabudowa czy którykolwiek z mieszkańców, ale znajdująca się po prawej stronie drogi rozłożysta lipa, nasycona zielenią aż do przesady, jakby chciała pokazać innym drzewom, jak powinno się korzystać z wody i słońca. Po plecach Kosmy przebiegł dreszcz, od jakiegoś czasu nie lubił drzew, szczególnie tych samotnych, rozłożystych i, nie daj Panie Boże, symbolicznych i powiązanych z miejscową legendą.

Kościół stał po lewej stronie drogi, otoczony zielenią i plackiem zimnego cienia skrywającego zabytkowy cmentarz. Po drugiej stronie trasy przecinającej Bielma na pół pysznił się budynek

plebanii, wzniesiony w mocno góralskim stylu, nasłoneczniony, z małym tylko sadem dającym nadzieję na odrobinę cienia w tak upalny dzień.

Zaparkował bmw na małym parkingu przed kościołem, szukając cienia, aby samochód zbyt nie nagrzał, po czym wysiadł z grymasem zniechęcenia, gdy musiał zderzyć się z gęstym powietrzem. Stał przed drewnianym kościołem pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła i zmrużył oczy przed słońcem. Wszystko zgadzało się z opisem i zdjęciami otrzymanymi w kancelarii biskupa. Bardzo zadbane trawnik, brukowana alejka dookoła świątyni, krzyż postawiony na pamiątkę wizyty Jana Pawła II w Polsce. Zestaw obowiązkowy zapadłej, lecz zadbanej parafii. Biednie, ale czysto i schludnie. Jak to zwykł mawiać jego kolega Kacper: „Firma bidna, ale solidna”. Kościół składał się jakby z czterech połączonych ze sobą wież i nieodmiennie kojarzył mu się z domem Muminków. Była to niegdyś cerkiew, po czym został dość mocny ślad w postaci przyległego cmentarza pełnego prawosławnych krzyży.

Uprzedzono go, aby przyjechał możliwie wcześniej rano, gdy jeszcze pielgrzymi nie zdążą się zejść i będzie można spokojnie porozmawiać z proboszczem, a może nawet i ze świadkiem cudu. Naturalny i zarazem do dzisiaj niezbadany instynkt stadny spędzał wszystkich wiernych dopiero pod wieczór.

Kościelne wrota uchyliły się i wyszedł z nich starszy mężczyzna w cywilnym stroju, zatrzymał się na chwilę, spoglądając w stronę furtki. Podniósł rękę i zamachał przyjaźnie, uśmiechnął się szeroko, po czym ruszył rażnym krokiem.

– Paweł Janiak – rzucił, zanim jeszcze dotarł do Kosmy z wyciągniętą na powitanie ręką. – Tutejszy proboszcz.

Uścisnęli sobie dłonie. Nie było to charakterystyczne dla księży przywitanie przypominające zdejmowanie z talerza zdechłej ryby, ale mocny uścisk człowieka żyjącego z pracy rąk. Zresztą może i kapłan miał swoje lata, według papierów winien powoli szykować się do przejścia na emeryturę, ale włosy mu jeszcze całkiem nie posiwiały, wyglądała spod nich dawna czerń. Twarz miał ładną i proporcjonalną, a pod koszulą kryła się szeroka

klatka piersiowa. Oj, musiały niegdyś do niego wzdychać parafianki.

– Kosma Ejcherst. Jestem tutaj z polecenia...

– Tak, wiem, uprzedzono mnie bodajże wczoraj. Przyznam szczerze, że gdy usłyszałem, że to dzwonią z kurii od samego biskupa, to myślałem, że to jakiś żart. Pierwszy raz od czterdziestu lat nas taki zaszczyt kopnął. Musiał się sam Jezus Chrystus objawić, żeby się ktoś Bielmami zainteresował.

– Niezbadane są ścieżki Pana – odparł Kosma. – Ale ja raczej tutaj w sprawie Adama Kamińskiego.

– Nieszczęśnika topielca.

– Otóż to.

– Trochę się zdziwiłem, bo policja zakończyła czynności, tak mi się przynajmniej wydawało. Łazili, pytali, sprawdzali, zbierali ślady i orzekli, że to nieszczęśliwy wypadek. Ot, łaził wieczorem po okolicy, pośliznął się i wpadł do jednego z naszych bajerek.

– Tak, wiem, czytałem akta, jednak poproszono mnie o konsultacje – odpowiedział Kosma. – Sam biskup.

– Ano tak, wyższa instancja. Taki to może więcej niż sam Najwyższy. – Proboszcz wskazał palcem w niebo. – Jego eminencja Marian Kawęcki, purpurat i dobrodziej.

– Ekscelencja.

– Jak zwał, tak zwał. – Proboszcz puścił do Kosmy oko.

– Ten sam.

– Byłem pewien, że chodzi raczej o nasze objawienie.

– Jestem z policji, a nie z łowców duchów.

– Cieszy mnie to, z chęcią wszystko opowiem. Zarówno to, co wiem o tym wypadku, jak i nieszczęsnym objawieniu.

– Zeznania złożone policji już mam, natomiast o cudownej manifestacji Jezusa Chrystusa wiem tyle, ile przeczytałem w internecie. Możliwe, że jedno łączy się z drugim.

– Dobrze, to o objawieniach. Zapraszam na plebanię, mam taką przyjemną altankę, nie będziemy przecież tu stali, bo to nie będzie krótka opowieść.

Stojąca po drugiej stronie ulicy chatka kusila Kosmę coraz bardziej, miał chęć zasiąść w spokojnym miejscu i przeczekać skwar, a po tym, jak weszli do sadu otaczającego plebanię, już wiedział, że trafił w dobre miejsce. Skryta dotychczas za krzakami bzu altanka porośnięta winoroślą zachęcała cieniem i kojarzącym się z Toskanią zaproszeniem do relaksu z butelką dobrego wina pod pachą. Kosma miał jeszcze świeżo w pamięci Wnyki i tamtejszą parafię przy Kościele Chrystusa Mściwego, trudno mu było nie porównywać tych dwóch miejsc. Bieszczadzki kościółek był większy, wszak przerobiono go z dość okazałej drewnianej cerkwi, jednak plebania była dużo skromniejsza. Atmosfera była też bardziej wiejska i wakacyjna, a może trauma ostatnich wydarzeń nieco zdemonizowała tamto miejsce?

Podeszli pod altankę, ksiądz wskazał Kosmie miejsce i ruszył do domu, z którego wyszedł po chwili z talerzem, dzbankiem i dwoma szklankami. Postawił prowiant na stole, było to ciasto ze śliwkami i kompot.

– Proszę wybaczyć, ale gospościa śmiertelnie się na mnie obraziła, przez ten cud właśnie. Muszę radzić sobie sam, ale jestem przyzwyczajony. Na co dzień i tak muszę sam obrobić wszystko, w zimie drewna narąbać, węgla nanieść. Niektórym gospodarzom to i w żniwach pomagam. Tu po prostu żyje się inaczej. Jednak gospościa obrażona.

– To aż tak?

– Jest pan żonaty? – zapytał proboszcz, uśmiechając się pod nosem.

– Nie.

– To nic pan nie wie o kobiecych humorach czy jak to teraz modnie się mawia, fochach. Dodam tylko, że te u góralek są potężne i trwałe niczym góra Synaj.

– Czyli jest pan wrogiem numer jeden?

– Tak, wróg publiczny numer jeden. Tylko czekać, aż ludzie przestaną na msze przychodzić. No bo jak to tak, w ich wiosce objawił się Jezus Chrystus, a ja nie wierzę, nie padam na kolana, tylko zaprzeczam, sprowadzam komisję diecezjalną i naukowców? To ludzie z całej Polski już tutaj przybywają, a ja nic? Nie może to być.

– Naukowców? – zapytał Kosma.

– No tak. Od kilku dni siedzi tutaj taki młody chłopak z Akademii Górniczo-Hutniczej, z wydziału informatyki.

– Co ma informatyka wspólnego z objawieniami? – zaciekał się autentycznie Kosma.

– Chłopak jest adiunktem, pracuje na kierunku nowoczesne techniki w kryminalistyce. Skorzystałem ze swoich znajomości, aby go tutaj sprowadzić. Zależy mi na udowodnieniu, że cała ta historia to jeden wielki cyrk. Jednak do pobudek, wniosków i podsumowań może przejdziemy na końcu?

– Zgoda. Zatem od czego się zaczęło?

– Pozornie błaho, bo od samobójstwa.

– Co? – zdziwił się Kosma.

– Spokojnie, nieudanego. Ale nie jest to bez znaczenia dla całej historii. Zenkowi, czyli naszemu organiście, zmarła żona, a było to ponad rok temu. Bardzo byli życzliwi, to taka miłość aż po grób, no a Zenek potraktował to poważnie i chciał dołączyć do małżonki. W pierwszą rocznicę jej śmierci postanowił się powiesić, wybrał sobie na tę okoliczność dwustuletnią lipę rosnącą o tam. – Proboszcz wskazał ręką na oddalone o jakieś sto metrów od altany potężne drzewo.

– Nieco romantycznie, choć głupio – skwitował Kosma. – Przecież samobójcy nie trafiają do nieba.

– Depresja, żal, rozpacz, samotność – zaczął wyliczać ksiądz. – Te wszystkie składowe mogą pchnąć człowieka w ramiona śmierci szybko i podstępnie, a samobójcy ciężko jest patrzeć na świat z rozsądkiem, nie uważa pan?

– Niby tak – zgodził się Kosma. – Nie mieli dzieci?

– Niestety, dlatego też tak byli zżyci ze sobą.

– Bywa.

Proboszcz skinął głową i mówił dalej.

– Zatem Zenek wybrał sobie naszą atrakcję turystyczną na miejsce swej gwałtownej śmierci, dość solidne drzewo. Jednak sznur miał już mniej solidny, bo jak się biedaczysko rzucił z gałęzi, to powróż pękł, a ten huknął o ziemię. No i w tym momencie ukazał się mu Jezus. Wieształ się w sobotę w nocy, a w niedzielę rano gosposia Zosia szła otworzyć i przewietrzyć kościół przed nabożeństwem. Patrzy, a tu stoi Zenek pod lipą, w rękę trzyma zerwaną linę, pętla nadal na szyi, z gałęzi zwisa reszta sznura. Stoi tak i ani drgnie, tylko usta mu się ruszają, jakby coś mamrotał, wpatrzony w koronę drzewa jak w malowany obrazek. Zaraz się pojawił stary Malinowski, który wracał z ryb, potem kolejna osoba i jeszcze jedna. Jak szedłem do kościoła przygotować się do mszy, to już pół wsi stało, wszyscy szeptali, że Zenka od śmierci i grzechu śmiertelnego sam Jezus uratował, a teraz z nim rozmawia. Podchodzę, a Zenek siedzi pod drzewem i płacze. „Zenuś, co się dzieje, karetkę wołać?”, pytam go. „Nie karetkę, a o zmiłowanie wołać”, on mi na to odpowiada. „Wszyscy musimy wołać o zmiłowanie!”, zawodzi, ręce składa do modlitwy.

– Zawsze był religijny? – wtrącił Kosma.

– Oczywiście, często, jak wchodziłem do kościoła, to on się modlił przed ołtarzem, regularnie się spowiadał, chociaż nie za bardzo miał z czego. Wracając do tematu, to ktoś jednak wezwał karetkę, zbadali go, ale on tylko siedział pod drzewem i płakał. Niczego mu ta lina nie uszkodziła, nawet bardzo nie obtarła szyi. Lekarz powiedział, że wyjątkowo spartaczona próba samobójcza, aż wstyd. Ale zaszumiało, zamruczało w tym wiejskim tłumie i nikt już nie chciał słuchać, każdy tylko mówił. „Jezus przyszedł do nas, to sam Zbawiciel, to Pan nasz, odkupiciel, Wieża z Kości Słoniowej”. A Zenuś mamrotał, płakał, a potem... Poczul rolę, powołanie.

– Jednak pan nie wierzy w jego objawienie?

– Kochany mój, jakim trzeba być impertynentem, jak pysznym zarazem i butnym człowiekiem, żeby uzurpować sobie prawo do rozmawiania z Bogiem? Jakim trzeba być bezdennym głupcem, żeby w ogóle dopuszczać myśl objawień Boga w postaci zacieku na desce, układzie kory na drzewie, cienia na szybie czy ukazania się dziecku lub jakiemuś Zenkowi z zapadłej bieszczadzkiej wsi. To jest Bóg Wszechmogący! I co, objawia się jedynie jako zaciek na ścianie? Jakimż to jest świętokradztwem, jakimż bluźnierstwem! Najpotężniejszy w świecie jako plama na szybie?! To jaki z niego Wszechmogący? Nie, tak Bóg nie działa, to jest aż uwłaczające nam, ludziom, wiernym Kościoła katolickiego. Tylko na tyle zasługujemy? Na jakieś plamy, mazaje i podejrzone objawienia? Przez tysiące lat modlitw zasługujemy tylko na organistę Zenka? Jeśli to prawda i tak ma być, to ja nie chcę takiego boga, wypieram się go, bo on nic nie może i ma nas na końcu swej listy spraw codziennych.

Ksiądz nalał sobie szybko kompotu, wypił nerwowym ruchem i kontynuował:

– Jednak ludzie pragną Boga, jego obecności, słów. Od dwóch tysięcy lat czekamy, a tu ani słowa. Ani jednego znaku. Jesteśmy zwierzętami stadnymi, a nasz przewodnik zniknął, powiedział, że wróci, i go nie ma. Cierpimy, błądzimy, szukamy po omacku. Zatem wypatrujemy Boga, jak dziecko oczekuje powrotu rodzica; każde stuknięcie drzwi, każde skrzypnięcie podłogi bierze za kroki ojca wracającego z pracy. Tak my traktujemy ten każdy zaciek i każdą plamę. I jak to dziecko, możemy usnąć na chwilę przed powrotem rodzica, a na to my, Kościół, pozwolić nie możemy. Zatem trzeba sprawę wyjaśnić. Kościół oficjalnie wyda swoje stanowisko, środowiska naukowe swoje. Będą tożsame, zatem nikomu nie przyjdzie na myśl z tym walczyć, bo braknie argumentów. Braknie też cudów, o Zenku za rok, dwa, wszyscy zapomną.

– No dobrze, czyli muszę porozmawiać z naszym kościelnym, to pewne, ale w sumie pierwsza na miejscu zdarzenia była owa śmiertelnie obrażona gosposia. Pogadam z nią.

– Powodzenia! – Ksiądz nalał kompotu do szklanek.

– Z kim jeszcze powinienem porozmawiać?

– W sumie to nie wiem, Bielma to raczej spokojna wioska, kilkanaście chałup, to prawdziwy koniec świata. Może w przyszłym roku nam podciągną asfalt, bardzo na to liczymy, chociaż to teren Bieszczadzkiego Parku Narodowego, więc jest z tym kłopot. Do wsi należy jeszcze schronisko Dwór Hrabiny, czyli dawny dworek Stroińskich. Kilka lat temu wydzierżawiło go takie wesołe małżeństwo i prowadzi do dziś. Paulina i Łukasz Ramka. Pięć kilometrów stąd, nad Sanem, po jego drugiej stronie już Ukraina. Jak się dobrze wziąć do przesłuchania, to człowiek się wyrobi za jeden dzień.

– Dzieje się coś po tych objawieniach, kolejne wizje, uzdrowienia? – zapytał Kosma, sięgając po szklanę.

– Widzi pan, gdyby on uzdrawiał, to zdemaskowanie byłoby w sumie proste, nawet przez prowokację. Ostatnio trochę badałem przypadki innych uzdrowień i tutaj Kościół ma twarde stanowisko, muszą być one udokumentowane medycznie i mieć wymiar stały. Jest wielu oszustów jeżdżących po świecie, ale i po naszej skromnej Rzeczypospolitej, którzy na spotkaniach modlitewnych uzdrawiają. Ludzie przestają odczuwać ból, odrzucają kule i tak dalej. To bardzo częste, działa pewien fenomen chwilowego uniesienia i mocnej sugestii. Jednak po kilku dniach wszystkie objawy wracają, i to nasilone. Sprawdzić sobie, proszę, potem choćby sprawę Marcina Zielińskiego, który przypisuje sobie tysiące uzdrowień, na jego spotkaniach ludzie nagle odzyskują nawet słuch, ale potem jest zapaść, ból i choroby wracają, nasilają się. Nie ma ani jednego potwierdzonego trwałego uzdrowienia. Tak jak mówię, to byłoby proste do zdemaskowania.

– Czyli sprawa nie jest taka łatwa?

– Nie jest. Wymyślił sobie niezłą bajkę, praktycznie nie do podważenia. Nie ma tutaj figury płaczącej łzami lub krwią, co jest dość częstą mistyfikacją, także prostą do wykrycia. W Lomello we Włoszech spryskiwano figurkę przez szparę w drzwiach, w Karup, Bernu czy Amium w wydrążonej głowie figurki był olej orzechowy lub oliwa z oliwek. W Brazylii w Louveira była to woda z przykościelnej studni. Podobnym oszustwem był przypadek Rosa

Mystica, a w Kanadzie, podczas tak zwanego cudu świętej Marty, była to krew właściciela figurki wymieszana z łojem wieprzowym. Setki przypadków.

– Nieźle jest pan obeznany z tematem – zauważył Kosma.

– Tak, zamiast spokojnie pełnić posługę, to siedzę nad tymi materiałami, na okrągło. Łeb już mi pęka.

– Czyli tutaj nie ma żadnych krwawych łez, nikt też nie leczy?

– Można powiedzieć, że nie leczy, jednak w pewnym sensie... leczy.

– Nie rozumiem.

– Nikt tu nie odrzuca kul, nie wstaje z wózka, a jednak każdy czuje się uleczony. On wysłuchuje chorych, rozmawia z nimi, a ci odchodzą szczęśliwi i gadają, że poczuli wreszcie Boga, pierwszy raz w życiu go poczuli. Ale spytaj kogoś, co się wydarzyło, nie powie nikt. Dlatego tu przychodzą, modlą się, odmawiają różaniec, proszą o łaski.

– Płacą? – zapytał Kosma, bo kasowanie wiernych było cechą wspólną dla samozwańczych uzdrowicieli.

– Nie, on nie chce żadnych pieniędzy. Oficjalnie, bo kto tam wie, co się dzieje na rozmowach w cztery oczy. Doszło do tego, że jakiś elegancik zaoferował pobudowanie specjalnej kaplicy obok drzewa. Ludzie szaleją.

– Muszę spytać jeszcze o jedną kwestię.

Proboszcz spojrział na niego badawczo, Kosma zauważył w jego oczach niepokój.

– Zjawił się tutaj ksiądz, żeby zbadać sprawę, podobno później zrzucił sutannę.

Rysy proboszcza zelżały. Czyżby spodziewał się innego pytania?

– No tak, ksiądz Roman, zrzucił sutannę, dzieje się to obecnie coraz częściej.

– Było to po rozmowie z tym Zenkiem?

– O tak, po rozmowie, he, he. – Pleban się zaśmiał. – Co ciekawe, odkrycie tej jakże intrygującej tajemnicy powinien pan zacząć od naszego schroniska. Ja więcej nic nie powiem, lepiej samemu to zobaczyć. Jednak można powiedzieć, że był to jeden z pierwszych znaków, że wokół Zenka dzieją się dziwne rzeczy.

Kosma zmarszczył brwi, poczuł, jak blizna nabiega mu krwią, ale na proboszczu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Dobrze, dopytam w schronisku – powiedział w końcu.

– Tak będzie najlepiej, ja nie lubię rozsiewać plotek.

– A co do Adama Kamińskiego, to strasznie zagadkowa śmierć, nieprawdaż?

Zmiana tematu nie wzruszyła proboszcza. Westchnął zmartwiony i ponownie napił się kompotu.

– Dla mnie to tragedia podwójna – powiedział. – Po pierwsze, zginął człowiek, ksiądz na dodatek, i to gdzie? Tu, u nas, w Bielmach. Straszna rzecz. Ale osobnym faktem jest to, że bardzo liczyłem na jego działanie i szybkie zdemaskowanie oszusta, no a teraz sprawy się pokomplikowały.

– Zdążył coś sprawdzić?

– Nie wiem. Przyjechał, chciał ze mną rozmawiać, ale akurat nie było mnie na miejscu, spotkał się tylko z gosposią. Samochód zostawił na parkingu dla turystów i jak kamień w wodę. No dosłownie, bo rano znaleźli go turyści w stawie przy szlaku. Pływał po wierzchu jak śnięta ryba.

– Gdzie miał nocować? Tutaj? – Kosma wskazał głową budynek plebanii.

– Nie, gdzie tam. Za ciasno. W dworku, czyli w schronisku, jak wszyscy, pewnie i pan też.

– Dokładnie.

– Nie ma tu innych miejsc noclegowych. Tylko pokój w dworku albo namiot na ich trawniku. Tyle.

– Dobrze, dziękuję. Pojadę się w takim razie zameldować. O której odbywają się te całe spędy objawieniowe?

– Zenek zaczyna najczęściej przed zachodem słońca, a te są u nas wyjątkowo piękne. Wierni zbierają się pod drzewem, rozmawiają, modlą się, a gdy przychodzi Zenek, zaczynają wspólny różaniec. Modlą się tak i modlą, czasem nawet kilka godzin. Ale całość zaczyna się późnym wieczorem, dopiero po osiemnastej można się kogoś spodziewać.

– A kiedy robi te swoje cuda?

– Tego dostępują jedynie wybrani.

– Wybrani?

– Zenek od razu powiedział, że chciałby z każdym porozmawiać, ale czasu ma za mało, zatem trzeba się zapisać. Mnie się wydaje, że to za sprawą dziennikarzy, którzy nieco sobie z niego kpili na początku. Udawali wiernych, chodzili na rozmowy, no a potem śmiali się z niego. Teraz nie ma lekko, jego szwagier został niejako asystentem świętego i notuje w zeszycie, kto ma być na drugi dzień przyjęty, ustala godzinę.

– Nawet cud nie uniknął biurokracji.

– Takie życie. Trzeba podać imię, nazwisko, zawód i miasto, z którego się pochodzi. Zenkowy szwagier, Rysiek, wszystko sprawdza, czy aby nie dziennikarz, czy jakaś inna hiena i dopiero zezwala na audiencje. Te są rano i po obiedzie. Nie więcej niż dwanaście osób w sumie, tak podobno zalecił sam Jezus.

– Czyli muszę się zapisać.

– I ponownie powiem to samo: powodzenia. Proszę przyjść wieczorem, wszystko panu pokażę.

– Zgoda.

– Z Panem Bogiem.

Kosma wstał i wyszedł przed plebanię. Wsiadł do swojego bmw, po czym ruszył w stronę schroniska. Droga była cały czas taka sama, szutrowa, ale dosyć szeroka, widać, że używana. Minął po drodze wolno jadący patrol straży granicznej, a po trzech kilometrach dotarł do małego parkingu przy wiacie turystycznej. Kilkoro turystów siedziało przy niej, jedząc kanapki. Od parkingu odchodziła w lewo wąska droga leśna ze znakiem zakazującym

wjazdu z wyjątkiem zaopatrzenia i osób posiadających zezwolenie Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Oczywiście takowe posiadał, dla kancelarii wuja była to zwyczajna formalność.

2.

W lecie droga przez las była przyjemna, zacieniona, minął kilkoro turystów, swoimi minami informujących go, co myślą o samochodzie w tak dzikim zakątku kraju. W zimie pewnie trzeba było mieć tutaj terenówkę z łańcuchami lub skuter śnieżny. Podobało mu się tutaj, nie tylko góry i las, ale nawet kościół sprawiał przyjemne wrażenie, no i ten przyległy do świątyni cmentarzyk. Zabytkowe prawosławne groby były oczyszczone i zadbane, a rozmieszczone nieco za nimi współczesne niezbyt upstrzone tandetnymi zniczami, co nigdy mu się nie podobało.

Jechał spokojnie przez las, tęskniąc za swoim motocyklem, z którego mógłby cieszyć się zapachami panującymi nad bieszczadzką zielenią i śpiewem ptaków. Dosłownie po chwili wyjechał z lasu i za zakrętem, nieco w dole, jego oczom ukazał się drewniany dwór zaadaptowany na schronisko turystyczne.

Dworek Stroińskich położony był nad samym brzegiem raczkującego Sanu. Dookoła niego znajdowało się kilka małych zabudowań gospodarczych, ale utrzymanych w stylistyce głównego budynku, jedynie położone na ich dachach panele słoneczne burzyły wrażenie cofnięcia się w czasie. Zarówno po polskiej, jak i ukraińskiej stronie stało kilka budyneczków będących pozostałością po majątku Stroińskich.

Przez San wiodła tu kładka z opisem, iż jest to turystyczne przejście graniczne, po ukraińskiej stronie stał drewniany budynek straży granicznej, samochodem na drugą stronę nie dało się przejechać.

Przed schroniskiem siedziało kilkunastu turystów, niektórzy pili piwo, inni coś jedli, dwóch spało na karimatach rozłożonych w cieniu rzucanym przez drzewa.

Kosma zaparkował na jednym z miejsc oznaczonych literą „P” obok dużego pick-upa Dodge Ram mocno uwalanego błockiem. Wysiadł i ruszył do recepcji schroniska.

– Kosma? – usłyszał od wychodzącej ze środka kobiety. Szczupła brunetka z równo przyciętą grzywką, uśmiechnięta, ubrana w krótkie spodenki i koszulkę z napisem „Schronisko u Hrabiny”.

– Tak – odpowiedział lekko zaskoczony.

– Właśnie byłam ciekawa, jak wygląda ktoś o tak niecodziennym imieniu, a tu proszę, normalny mężczyzna. Paulina Ramka – przedstawiła się, lekko dygając. – Szefowa tego skromnego przybytku. Witamy na końcu Polski. Masz bagaże?

– Mam.

– To zabieraj od razu i chodź, pokażę ci pokój. Muszę pojechać zaraz po zaopatrzenie, wieczorem mamy tutaj ognisko ekipy z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, a oni lubią zjeść. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, zajęli całe schronisko, tylko dwa pokoje mi zostały, jeden dla ciebie, no a drugi dla tego młodego Einsteina. Zjedzą, coś tam wypiją, porzepolą na gitarach, może potańczą, ale pokojowo nastawieni.

Kosma otworzył bagażnik i zabrał ze środka swój plecak, po czym ruszył za właścicielką, która szybkim krokiem zmierzała na górę.

– Dworek pierwotnie był parterowy, ale zaraz po wojnie dach się spalił, więc go rozebrali, a przy okazji remontu dobudowali piętro. Za komuny była tutaj baza wypadowa myśliwych za dewizy, płacili dolarami, żeby sobie odstrzelić jakiegoś żubra czy niedźwiedzia. Na szczęście ukrócono to i teraz mamy schronisko.

Weszli po trzeszczących i dość wąskich schodach na piętro i Paulina wskazała mu jego pokój oznaczony na drzwiach drewnianą jedyką.

– Kibełek wspólny, prysznic też, na dole. Na górze mamy tylko pokoje. Śniadanie rano, obiadokolacja wieczorem. No, muszę spadać. Pa.

Odwróciła się i zbiegła, tupiąc po drewnianych schodach. Kosma wszedł do pokoju, małego i wyposażonego tylko w wąskie łóżko, stolik z lampką, wieszak i szafę. Dobre i to. Rzucił plecak na łóżko, wyjął z niego turystyczną nerkę, w którą

zapakował telefon, policyjną blachę i portfel. Chwilę ważył w dłoni służbowego glocka. No nie, raczej nie spodziewał się konfrontacji, ale też nie mógł zostawić broni ot tak, w pokoju. W bagażniku bmw miał kasetkę zamykaną na klucz i tam postanowił schować pistolet.

Zszedł na dół i skręcił do głównej sali schroniska. Powitały go wysłużone drewniane stoły i ławki, lada z krótkim menu, nalewak do piwa. Na ścianach wisiało sporo pamiątek, a to ciupaga z czymś autografem, obok stare, drewniane narty, poroże jakiegoś jelenia i kilka starych, jeszcze czarno-białych fotografii ukazujących dwór przed wojną, ale także chyba jego odbudowę. Młodzi ludzie na zdjęciach uśmiechali się szarymi ustami, a Kosmę naszała jak zawsze przy takiej okazji refleksja, że już pewnie nie żyją. Za barem natomiast stała bardzo ładna i młoda dziewczyna ubrana w fartuch z logiem schroniska.

– Piwko? – zapytała ze śpiwnym akcentem. – A może coś do jedzenia?

– Jeśli znajdzie się butelka wody, to będę wdzięczny.

– Znajdzie się! – zawołała wesoło, po czym jej twarz stężała, a ona sama nabrała powietrza i ryknęła. – Żurek!

Kosma aż podskoczył z wrażenia i rozejrzał się nerwowo, wypatrując znajomego dziennikarza, Kazimierza Barszczyka, którego zwano właśnie Żurkiem.

– To dla mnie – usłyszał jednak od spoconego turysty, który rączo wbiegł do schroniska, po czym złapał tacę z miską parującej zupy.

– Smacznego – powiedziała dziewczyna. – Zatem woda? – zapytała Kosmy.

– Tak.

– Może jednak piwo? Dobre mamy! Lokalne. Duch Sanu, produkowane w Bachórze, to niedaleko Dubiecka. Szczególnie polecam ciemne.

– Nie, dziękuję.

– Naprawdę dobre.

Kosma westchnął z rezygnacją. Był w pracy, ale w sumie dopiero wieczorem czekało go główne zadanie.

– Niech będzie.

– Nie pożałujesz! – zapewniła dziewczyna. Miała zdecydowanie wschodni akcent, była Ukrainką, mógł się założyć. Znowu nabrała powietrza i ryknęła: – Romuś!

Usłyszeli tupot i za barem pojawił się chłopak, mocno opalony, o bardzo delikatnej urodzie i niemal dziewczęcym uśmiechu.

– Tak, skarbie? – zapytał z czułością.

– Przynieś skrzyneczkę piwka z piwniczki.

– Już biegnę – odpowiedział i nie zwracając uwagi na Kosmę, zawinął na pięcie.

– Niech siądzie na leżaku, przyniosę.

– Można dopisać do rachunku? – zapytał Kosma. – Śpię u was, pod jedyneką.

– A pewnie. Kosma?

– Tak.

– Luba. – Podała mu dłoń i nachyliła się przez bar, pokazując głęboki dekolci skryty dotychczas pod fartuchem.

Kosma uśmiechnął się, bo chyba rozwiązał zagadkę zrzucenia sutanny przez księdza Romana. Dwa bardzo mocne argumenty zaświeciły mu właśnie prosto w oczy. Proza życia, nie ma co. Dziewczyna chyba zwróciła uwagę, że nieco za długo zatrzymał wzrok na jej dekolcie, co tylko wywołało uśmiech na jej pięknej twarzy, ale Kosmę wprowadziło w małe zakłopotanie.

– Czy ten Romuś, to... – zapytał szybko, aby przegonić swój wstyd.

– No kto? – pociągnęła z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Ten ksiądz?

– Już nie ksiądz – odpowiedziała. – Zaraz przyniosę piwo.

Wyszedł przed schronisko i zobaczył puste leżaki ustawione na brzegu Sanu. W tym miejscu można było rzeczkę przeskoczyć bez większych problemów, dopiero nabierała swej mocy. Siadł na jednym z leżaków, materiał zatrzeszczał ostrzegawczo, ale nie doszło do żadnej wstydlivej wpadki. Po chwili usłyszał za sobą kroki, niestety nie była to Luba, ale jakiś mężczyzna niosący dwa piwa. Jedno wręczył Kosmie, a sam z drugim usiadł na sąsiednim leżaku.

– Łukasz jestem, właściciel tego ambarasu – przedstawił się.

– Kosma.

Mężczyzna był szczupły, miał lekko rude włosy i oszczędny zarost, spokojny uśmiech człowieka, któremu nigdzie się nie śpieszy, życie na niego czeka, aby sobie z gracją je przeżył.

– Tak, wiem, Luba już wszystkim rozpowiedziała. Wysłała mnie, bo Romuś jest strasznie o nią zazdrosny.

– To ten ksiądz, który zrzucił sutannę? – postanowił się upewnić Kosma.

– Widzę, że jesteś dobrze poinformowany.

– Taka praca.

– Policjant – stwierdził Łukasz i w tym słowie był zaszyty zarówno podziw, jak i obawa.

– Dokładnie.

– Na służbie.

– Taki miks służby i urlopu.

– To jak nasze życie. Siedzimy w tym schronisku i pracujemy od rana do rana, ale to jednocześnie urlop. Przejęliśmy je po moim wujku, ot tak, na próbę, i nagle minęło dziewięć lat. Krótkich, cholera.

– To cudowne objawienie wpłynęło na ruch?

– Nie, do nas trafiają tylko górskie łążęgi. Pielgrzymi trzymają się głównej wsi. Zawsze to była ostatnia wieś w Polsce, teraz

urasta do jednej z pierwszych, tylko czekać telewizji. To miejsce mieszkańcom nigdy nie służyło.

– Dlaczego?

– Wiesz, Bielma to nazwa powstała dopiero w latach sześćdziesiątych. Kiedyś była tu Beniowa, ale w akcji „Wisła” wysiedlono wszystkich. Do lat sześćdziesiątych pies z kulawą nogą się nie interesował tym miejscem, ale powstała koncepcja tajnego obiektu urlopowego dla oficjeli partyjnych i zapraszanych gości. Pierwszy pomysł padł właśnie na Beniową, no bo łatwo ten teren odciąć od reszty kraju, z trzech stron Ukraina. Ojcem owego założenia był niejaki Henryk Bielmowski, członek Biura Politycznego PZPR, pochodził z Ustrzyk i chciał ten region nieco podciągnąć, bo bieda tu była niesamowita. Od jego nazwiska wieś nazwano Bielmami i zaczęto doprowadzać ją do porządku. Przesiedlono tu garstkę ludzi, którzy mieli stanowić obsługę placu budowy, nawet księdza ściągnięto i przerobiono cerkiew na kościół. Niestety, Bielmowski zmarł na zawał, do planów dorwał się ktoś inny i od razu zmieniono miejsce na Arłamów. Tam scalono kilka wysiedlonych wsi i zaczęto budować kompleks. Bielma natomiast zostały ze swoimi nowymi mieszkańcami. Dwadzieścia osób i ksiądz. Znasz mniejszą parafię?

– Tylko dwadzieścia? – zdziwił się Kosma. – Wydawało mi się, że Bielma są większe.

– To po upadku komuny zaczęło się zaludniać. Ludzie uciekali w Bieszczady przed prawem, to raz. Kilka osób wróciło w rodzinne strony, aby sobie umrzeć w spokoju na ziemi przodków, zaraz za granicą mamy ukraińskie miasteczko Sianki, więc kilku Polaków, którzy tam pracują, mieszka sobie tutaj. No może setka ludzi w komplecie.

– Dobre piwo – stwierdził Kosma, bo mężczyzna zamilkł.

– Najlepsze – zgodził się Łukasz. – Za jakieś dwie godzinki zapraszam na obiad, mamy dobrą kucharkę.

– Dziękuję za zaproszenie, ale muszę ruszyć do wsi na rozpytanie.

– Nie ma sensu. Do wieczora nikogo nie zastaniesz, większość pracuje poza Bielmami. Interesuje cię pewnie kwestia tego topielca?

– Tak.

– Znaleźli go turyści, chyba jacyś z Poznania. Żywego widziała go tylko gospoia, miał nocować u nas, ale nie dotarł.

Kosma wiedział to wszystko z akt sprawy, ale słuchał uważnie; nie wiedział, jak dobrą robotę zrobili policjanci na miejscu. Dopiero jutro planował pojechać do Ustrzyk i porozmawiać z funkcjonariuszami oraz patologiem i zestawić swoje ustalenia z tymi z akt.

– Jesteś dobrze zorientowany.

– Dworek pełni rolę tutejszej karczmy. Wieczorem wielu miejscowych wpada na piwo, mamy tutaj nawet takiego lokalnego artystę, zagra czasem na gitarze, przyjemna atmosfera, szczególnie zimą, gdy turystów jest zdecydowanie mniej. No i następuje wymiana informacji, jak za dawnych czasów. Nie musisz nigdzie jechać, poczekaj do wieczora i wszystkiego się dowiesz.

– Chciałem zobaczyć słynne objawienia.

– Nudy. Dobrze, muszę zmykać, robota czeka. Wieczorkiem impreza pod wiatą, muszę wszystko przygotować.

Łukasz wstał, przeciągnął się, dopił piwo i ruszył w stronę schroniska. Kosma opuścił swój leżak na najniższą pozycję i przymknął oczy, wsłuchał się w szemrzący San i odpłynął.

3.

Nie było mu dane oddać się błogiemu odpoczynkowi nad szemrzącym cichutko Sanem, bo obudził go z płytkiej drzemki wibrujący w kieszeni telefon. Sięgnął po niego z westchnieniem i zerknął na wyświetlacz. Wielka gęba przedstawiająca diabła z fantazyjnymi rogami informowała, że to Kacper, przyjaciel jeszcze z czasów seminarium. Kosmę wywalili tuż przed święceniami, a on wytrwał i nadal działał prężnie w strukturach duchowieństwa. Pomógł mu bardzo przy ostatniej sprawie we

Wnykach i kibicował podczas pobytu w szpitalu, a teraz pewnie zżerała go ciekawość, co też zlecił mu wuj biskup.

Kacper był księdzem oddanym posłudze, mimo iż jego powierzchowność oraz zdolność do wzbogacania wszelkich wypowiedzi przekleństwami były tyleż denerwujące, ile budziły w Kosmie podziw. Jako że wuj zlecał mu sprawy dotyczące struktur kościelnych, przyjaciel z seminarium okazywał się na wagę złota.

– Czy dodzwoniłem się do wydziału apostolskiego? – powitał go głos przyjaciela.

– Tak. W czym mogę pomóc?

– Ty? Pomóc? – zdziwił się Kacper. – Możesz się rozejrzeć?

– Co?

– Rozejrzyj się.

– Po co?

– Zaprawdę, Panie dobry jak chleb, głupich nie zasiałeś, sami się urodzili, tylko dlaczego stawiasz ich na drodze swego pokornego sługi?

Kosma westchnął i rozejrzał się, unosząc na łokciu, leżak zatrzeszczał ostrzegawczo.

– Jeśli chciałeś mi zrobić niespodziankę, to nie wyszło – powiedział. – Nigdzie cię nie widzę.

– Jak zawarto w psalmie czterdziestym dziewiątym: jednakowo ginie mędrzec, jak i głupi. A szkoda. Nie mnie wypatruj, ale niedźwiedzi.

– Kacperku, zlituj się. Czego ty ode mnie chcesz?

– Gdy zgraja dzieci obraziła proroka Elizajasa, ten zesłał na nich cztery niedźwiedzie, a te rozszarpały owe dzieci, dokładnie było ich czterdzieścioro dwoje. Wpierdoliły ich z butami. Tak chciał dobry Bóg. Sędzia sprawiedliwy. Ja co prawda prorokiem nie jestem, ale liczę chociażby na małego, lichego, może i starego niedźwiadka, który tam wyskoczy i cię capnie w dupę.

– Z tego, co pamiętam, to dzieci wyzywały owego proroka od łysoli. Ja cię nie obrażam.

– Urągasz naszej przyjaźni, mojemu poczuciu uczciwości i ogólnie lecisz w chuja. Opowiadaj!

– O czym?

– Wuj wysłał cię na misję i słowem jeszcze o niej nie powiedziałaś. Czuję się zdradzony. A bez kogo nie rozwiązałybyś poprzedniej sprawy? No powiedz, bez kogo?

– Nic wielkiego, Kacperku. W Bieszczadach jestem, ale daleko od ciebie. W Bielmach.

– Gdzież to?

– Koniec Polski, ten taki cycek na mapie na samym dole.

– I nie zajrzałeś do mnie?

– Po sprawie, obiecałem ci.

– Ale jeszcze nawet jej nie ruszyłeś, co?

– Może ruszyłem, może nie.

– Gówno tam. Gdybyś już coś wiedział, to dzwoniłbyś po pomoc. Ot co! Pies ci mordę lizał, tyle ci powiem. Właśnie, jak tam twoja mordą? Zrosła się?

Kosma odruchowo potarł bliznę, wyczuwając pod palcami delikatne zrosty.

– Goi się.

– Kosma, powrót do Pana! On cię zranił i On też uleczy, On cię pobił, On ranę zawiąże.

– Księga Ozeasza. Kacperku, zawsze byłem lepszy z Biblii od ciebie.

– Dobra, koniec pierdolenia. Kosmyk, mam zaraz kółko oazowe, będę musiał napierdalać godzinę w tamburyn do taktu jakimś szczypiorom grającym *Barkę* na gitarach. Po czymś takim powinny się należeć darmowe wizyty w poradni zdrowia psychicznego. Opowiedz mi, co to za sprawa, żebym mógł podczas tego rzępolenia uciec gdzieś myślami.

Kosma westchnął i opowiedział ze szczegółami, po co został tutaj przysłany, i o wizytach dzień wcześniej w miejscach rzekomych objawień. Kiedy skończył, Kacper był w o wiele lepszym nastroju.

– No i widzisz, wiem, na czym stoję – powiedział. – Podpytam tu i ówdzie w kwestii tego całego świętego śledczego. Dobra, spadam nakurwiać *Barkę*. Na łączach!

Rozłączyli się, a Kosma westchnął i ponownie rozłożył się na leżaku. Kapkę się zdrzemnie.

4.

– Obiad! – rozbrzmiało nad jego uchem.

Poderwał się z leżaka i spojrzął za siebie, może nazbyt nerwowo. Zobaczył Lubę, stała z założonymi na piersiach rękami i uśmiechała się szeroko.

– No chodź, zjesz – powiedziała, po czym odwróciła się po prostu na pięcie i poszła w stronę tarasu, klepiąc po blacie jeden ze stolików.

Usiadł przy nim, ziewając; stała przed nim miska czegoś w rodzaju bigosu, ale zrobionego ze słodkiej kapusty. Pachniało niesamowicie, w delikatnie zielonych kapuścianych pasmach dostrzegął spore kawałki ciemnego mięsa, czerwieniły się rozgotowane pomidory, brunatnie mrugał przesmażony boczek. Obok miski czekał na niego pokrojony chleb, rumiany i jeszcze ciepły. Zaburczało mu w brzuchu i nawet nie zanotował tej ulotnej chwili od momentu chwycenia za łyżkę do opróżnienia talerza. Wytarł miskę chlebem, po czym odchylił się na krześle.

– Smakowało? – zapytała Luba, pojawiając się nagle przy stoliku.

– Bomba – odparł całkiem szczerze.

– Proste jedzenie najsmaczniejsze – stwierdziła. – Teraz możesz iść i łapać przestępców, z pustym brzuchem to żadna robota. Pewnie do wsi jedziesz?

– Tak. Macie tu może jakąś wypożyczalnię rowerów?

- Takiej oficjalnej to nie, ale zaraz dam ci jeden z naszych.
- Dziękuję.

Kosma stwierdził, że otrzymane od wuja służbowe bmw zbyt szybko przyciąga wzrok, lepiej będzie wtopić się choć trochę w tłum turystów. Po chwili Romuś przyprowadził mu całkiem niezłe prezentujący się rower górski, postawił go przy stoliku i odszedł bez słowa. Kosma wrzucił pistolet do schowka w samochodzie, w zamian zabierając z niego butelkę wody, i ruszył leśną drogą w stronę Bielm.

5.

Podjechał rowerem pod kościół, zaparkował w przeznaczonym do tego stojaku. Niestety nie miał zapięcia, więc zaczął się bezradnie rozglądać, ale z opresji wybawił go nie kto inny, jak sam proboszcz.

- Można spokojnie zostawić, tu nie kradną. Przyjechał pan na objawienia? Trochę wcześniej.
- Chciałem jeszcze kościół zwiedzić.
- Zapraszam.

Ksiądz pchnął drzwi i weszli do chłodnego wnętrza. Drewniany kościół miał całkowicie inną atmosferę niż kamienne świątynie – lekką, niemal leśną. Miało się wrażenie, że oto człowiek wcale nie wyszedł z lasu, ale po prostu stoi przed nim kolejny zagajnik i zaraz rozlegnie się śpiew ptaków.

- To była cerkiew i sporo pozostałości po niej mamy tu cały czas – zaczął opowiadać proboszcz.
- Duże wnętrze – zauważył Kosma. Nie chciał się zdradzać ze swoją wyniesioną z seminarium wiedzą na temat świątyń, dlatego też postanowił udawać laika.
- To cerkiew średniej wielkości. Ważna jest liczba kopuł, w tym przypadku trzy, co symbolizuje Trójcę Świętą.
- Jakoś tak ogólnie inaczej jest w środku, całkowicie nie po kościelnemu.

Proboszcz pokiwał głową ze zrozumieniem, jakby zgadzał się z każdym słowem i nie pierwszy już raz objaśniał historię swojej parafii.

– W obrządku prawosławnym nabożeństwo sprawuje się tyłem do wiernych za specjalną zasłoną, czyli ikonostasem. Zazwyczaj nie ma też ławek, co najwyżej po bokach świątyni. Trzeba było wszystko przerobić, no, ale ikon nie wyrzucono. Na szczęście, bo to małe dzieła sztuki. Te ze złotem pokradziono, ale wiele zostało, te proste nie stanowiły żadnej wartości dla złodziei. Pierwszy proboszcz przerobił, co mógł i jak potrafił, na miarę swoich skromnych możliwości i całkowitego braku środków. No a potem co się dało, to się dorabiało, a to ławki, to klasyczny krzyż z Jezusem.

Kosma spojrzął z lekkim drżeniem na wskazaną przez księdza sylwetkę Zbawiciela, ale na szczęście była ona nieco mniejsza niż ta we Wnykach i miał nadzieję, że nie schodziła z krzyża, by karać grzeszników.

– A to? – Wskazał olbrzymie naczynie wykute z kamienia, przypominające wielką wannę z wyrytą na nim rybą.

– Aspersion – wyjaśnił proboszcz. – Naczynie na wodę święconą i chrzcielnica zarazem. W cerkwiach niezwykle często były wykute z kamienia i takie właśnie mamy tutaj. Kamienna podstawa i na niej taka sama misa. Pierwszą cerkiew wybudowano tutaj w szesnastym wieku, dokładnie w roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym dziewiątym, i podejrzewam, że ten kamienny zestaw pochodzi właśnie z tamtego okresu. Potem postawiono kolejną, niemal dwieście lat później, w tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym, przetrwała do tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego, rozebrano ją. Ta, w której stoimy, pochodzi z roku tysiąc dziewięćset dziewiątego.

– Piękna świątynia – ocenił Kosma. – Jakies katakumby są?

– Nie.

– I całe szczęście. A ludzie od objawień przychodzą tutaj?

– Nie bardzo. Chyba to pokłosie mojego sceptycznego podejścia do całej sprawy. Nie wiem, czy Zenek otwarcie odradza wizyty

tutaj, nie bywam na tych mityngach, ale wie pan, jak jest, od ucha do ucha i ludzie już wiedzą, że ksiądz uważa go za oszusta. Pielgrzymi przybywają tu dla cudu, więc nie chcą słuchać, że to może być oszustwo.

– I całość odbywa się pod tą dwustuletnią lipą?

– Dokładnie.

– Nie lubię starych drzew. Pewnie związana z nią jest jakaś legenda.

– Nie, akurat nic ciekawego. Z kościołem natomiast jak najbardziej. Podobno w tej pierwszej cerkwi ukrył tuż przed śmiercią swój poświęcony nóż Aleksy Dobosz. Działał tutaj w osiemnastym wieku, zbójnik jak malowany, taki, co zabierał bogatym, a dawał biednym. I jeśli zna pan podanie o Janosiku, to różni się ono jedynie tym, że działał w regionie Czarnohory. Koniec miał nieco inny, ale jak zawsze winna była zdrada i kobieta. Zabił go chłop Dźwinka, któremu to Dobosz uwiódł żonę. Niewierna niewiasta, gdy już zrozumiała swój błąd i mąż wymierzył jej solidną karę, powiedziała, że chcąc Dobosza zgładzić, trzeba „strzelbę nabić kulą srebrną, a na wierzch nałożyć 9 ziarn pszenicy poświęcone przez popa, który nad nimi 12 ewangelii odmówi”¹. Dźwinka tak uczynił i Dobosza postrzelił. Zbój dokonał żywota od rany postrzałowej w swej kryjówce w Czarnohorze. Co ciekawe, przed śmiercią sam ułożył i odśpiewał towarzyszom balladę, która miała go upamiętniać:

(...) Oj, popid haj zełeneńki

chodyt Dobosz mołodeńki

taj na niżku nalehaje, topircem sia pidperaje(...) ²

– Każde góry mają chyba swego zbójnika.

– I skarby. Miejscowi gadają, że Dobosz nie tylko pozostawił nóż w cerkwi, ale ukrył część zrabowanego złota właśnie tutaj, w Bielmach, znaczy wtedy jeszcze w Beniowej. Jedna wersja głosi, że znalazł je właśnie Stroiński i stąd pobudował dwór, w którym dziś jest schronisko, a reszta klejnotów nadal tam spoczywa, gdzieś w podziemiach.

- I jest gdzieś ten nóż Dobosza? – zapytał Kosma.
- Podobno rozpląnął się w powietrzu i pojawi się w ręku sprawiedliwego, który upomni się o biednych. Taka legenda, nawet i ciekawa, nie powiem.
- Dobrze, dziękuję za te ciekawe opowiadania. Idę teraz posłuchać kolejnych dziwów i fantazji.
- Z Bogiem. Zapraszam jutro na śniadanie. Omówimy sobie to, co pan widział.
- Nie obiecuję, chcę odwiedzić komendę w Ustrzykach.
- Będzie po drodze.
- Postaram się, a jak nie, to na powrocie.
- Proszę sobie zabrać z mojej altany krzesło albo leżak, przyda się panu.

Ksiądz mocno uściskał mu dłoń na pożegnanie, a potem odwrócił się i ruszył do swoich spraw. Kosma natomiast do swoich.

6.

Kosma musiał zdecydowanie zgodzić się opinią proboszcza, że objawienia w wykonaniu Zenka są nudne. Przyszedł jakieś dwie godziny przed zachodem słońca, ale i tak już kilka osób czekało pod rozłożystym drzewem, które później w tłumie zaczęto nazywać „świętą lipą”. Przybywali kolejni pielgrzymi, niektórzy pieszo, część rowerami, zajechało także kilka samochodów, a nawet pojawił się jeden nieduży bus. Ciżba gęstniała, jednak atmosfera przypominała raczej piknikową. Rozłożono koce, ktoś miał gitarę i śpiewał przeboje Sanah, oczywiście pozostawiając melodie, lecz zmieniając tekst na mocno maryjny. Panowała atmosfera święta, jedności i zrozumienia, Kosma widział to samo w miejscach, gdzie odbywały się msze papieskie. Ktoś nawet okazał się na tyle uczynny, że widząc, iż dysponuje tylko butelką wody, poczęstował go piwem. Ot, nowoczesne pielgrzymowanie. Całkiem przyjemne.

Gdy słońce zaczęło się chować za bieszczadzskimi bukami, tłumek ożył, zbliżała się godzina przybycia tego, któremu objawił

się zbawiciel. Kosma poprawił się na leżaku przytarganym za pozwoleniem proboszcza z jego altany, jednak pozostawał z tyłu, aby nie rzucać się w oczy.

W końcu pojawił się Zenek, zwany przez wiernych „prorokiem”, czego Kosma dowiedział się podczas podpytywania mężczyzny, który to poczęstował go wcześniej piwem.

– Zenek? – Lekko spłoszył się mężczyzna, mocniej ściskając swoją puszkę z piwem. – No, nie mówimy tak.

– Nie? – zdziwił się Kosma. – A jak?

– Proszę pana, to przecież prorok.

– Zatem jak wypada się do niego zwracać?

– Sam Chrystus mu się objawił, to nie są żarty – tłumaczył ściszym głosem mężczyzna, jakby za sam fakt użycia imienia kościelnego groziła natychmiastowa egzekucja pod lipą. – W jednym z pierwszych widzeń powiedział prorokowi, że nie przypadkiem na chrzcie matka nadała mu drugie imię Samuel, bo tak właśnie mamy się do niego zwracać.

– Czyli prorok Samuel? – zapytał Kosma, siląc się na powagę, aby nie spłoszyć uczynnego pielgrzyma.

– Otóż to! – odparł mężczyzna, wznosząc w lekkim toście puszkę z piwem.

Prorok Samuel. Zatem tak polecił mówić o sobie przybywającym pod lipę i nic w tym dziwnego, było to zdecydowanie dużo bardziej poważne miano, nie tak plebejskie jak Zenek, biblijne, majestatyczne. Prorok Samuel spod Świętej Lipy.

Pojawienie się wspomnianego – do niedawna Zenka, dziś już Samuela – wywołało poruszenie, ale później powiało nudą. Święty człowiek przeszedł ze spuszczoną głową przez tłum pielgrzymów, zatrzymał się przed Świętą Lipą, spojrzął w górę na gałąź, którą – jak domniemywał Kosma – feralnego wieczoru obwiązał liną, po czym przeżegnał się i odwrócił.

Wszyscy wstali. Kosma też, ale głównie dlatego, żeby niczego nie uronić, ale Zenek ukląkł i zaczął się modlić. Po prostu. Nie

przemęczał się, mówił głośno początek modlitwy, a potem mamrotał bezgłośnie pod nosem, pielgrzymi zaś szeptali lub modlili się całkiem głośno. Przez godzinę.

Kosma niemal usnął. Już w seminarium miał olbrzymi problem, aby skupić się na modlitwach, a modlono się nieustannie. Modlitwa i msza przed śniadaniem, potem kolejne modły przed obiadem, następnie popołudniowe i wieczorne w kaplicy, przed snem. Najnudniejsza religia świata.

Z płytkiego snu wyrwało go jakieś poruszenie i z ust pielgrzymów dało się wyłoić informację, że „prorok będzie przemawiał”. A to ciekawe.

I faktycznie, Samuel przemówił.

– Wszyscy pytacie, dlaczego Jezus Chrystus nie ukazał się w kościele, o tu, niedaleko. Dlaczego? Pytacie.

W tłumie zaszumiało. Mówił głośno i wyraźnie, jak ksiądz. Nawet intonował podobnie, a nie była to łatwa sztuka.

– Dlaczego nie przemówił do kapłana, księdza, człowieka, który rości sobie prawo do reprezentowania Boga tutaj, na ziemi. Dlaczego? Pytacie.

Zaszumiało nieco głośnie. Jednak nie było tak nudno, jak opowiadał proboszcz. Może same modły nie wystarczały, może kościelny Zenek poczuł misję. Zapadła cisza, prorok opuścił głowę w skupieniu, jakby czekał na mądrość, która za chwilę powinna na niego spłynąć. W końcu przemówił:

– Bóg zawsze ukazuje się ludziom prostym i biednym, bo tylko ci mają czyste serca. Bogaci mają swojego bożka, złotego cielca, a nie ma w sercu człowieka miejsca dla więcej niż jednego Boga. Dlatego kapłani nie są objęci łaską ujrzenia Pana. Bóg wybrał biedną dziewczynę Marię na matkę dla swojego syna, a jej męża, ubogiego cieślę Józefa, na kogoś, kto ma zadbać o wychowanie Boga na ziemi. Jezus biednie żył i tak też umarł. Nie urodził się w świątyni wśród złotych figur, ale w stajence. Do takich ludzi właśnie mówi Bóg.

Prorok zamilkł i znowu spuścił głowę. Wierni wydawali się poruszeni, może sprawdzali w pamięci stan konta, zastanawiając

się, czy jest szansa, aby Bóg do nich przemówił.

Tymczasem po chwili ciszy Zenek mówił dalej. Zaczął cicho, niemal szepcząc.

– Jezus zachęcał, aby za nim iść, i czyniły to całe tłumy. Nie rozkazywał, nie nakazywał, jedynie nauczał, wskazując dobry kierunek. Dlaczego dziś za kapłanami nie idą tłumy? Coraz mniej wiernych w kościołach, brak powołań dla kapłanów, zamykane są seminaria. Dlaczego? Pytacie.

Tłum zaszemrał.

– Jezus zachęcał, uczył i objaśniał. Jeśli ktoś nam wskazuje drogę, z chęcią za nim podążymy. Kościół stał się natomiast wyrocznią. Nie uczą, ale nakazują. Nie wskazują drogi, ale wytyczają jedyną słuszną. Nie zachęcają, ale zmuszają. Nie oferują miłości, ale straszą jej utratą. I potrzebują pieniędzy.

Tłum zamruczał, ludzie spoglądali na siebie i potakiwali.

– Jezus powiedział mi: nie ufajcie nikomu, kto chce waszego złota, albowiem nie dla was chce dobrze, ale dla siebie.

Wśród wiernych zrobiło się głośniejsze, słowa trafiały na podatny grunt, a Kosma szukał w pamięci, z jakiego fragmentu Nowego Testamentu pochodzi ten fragment, jednak nie mógł go wyszukać. Czyżby była to radosna twórczość samozwańczego proroka?

– Bądźcie dobrymi ludźmi, tak powiedział Jezus. Oto słowa jego.

– Bogu niech będą dzięki, proroku Samuelu – odpowiedzieli wierni i sądząc po sprawności, z jaką to uczynili, Kosma był pewien, że to już utarty zwyczaj, część ceremonii.

Tworzył się tu nowy kult, na razie raczkujący, ale całkiem nieźle się zapowiadał. Jednak dla Kosmy jedno stało się jasne: świeżo upieczony prorok nie liczył na poparcie Kościoła katolickiego, był heretykiem. Wysłannik kongregacji po takim spotkaniu mógł z czystym sumieniem wrócić i sporządzić stosowny raport całkowicie negujący objawienia w Bielmach. O czym to świadczyło? Zenek nie miał motywu, aby pozbyć się księdza Adama Kamińskiego, bo po prostu miał uznanie objawień

w głębokim poważaniu. Mało tego, najpewniej zależało mu na łatce heretyka, kogoś przekłętego przez Watykan, tak chciał zaistnieć.

Tymczasem prorok mówił dalej:

– A teraz niech każdy odwróci się do osoby po swojej prawej lub lewej, niech zapyta, w jakiej intencji ma się pomodlić. Wymieńcie się intencjami, pomódlcie się za siebie nawzajem, taka modlitwa ma wielką moc. Tak się przekazuje prawdziwy znak pokoju.

Ludzie posłusznie zaczęli ze sobą rozmawiać, ścisnąć sobie dłonie, niektórzy przytulali się nawzajem. Wymieniali się swoimi problemami, bolączkami, na które według nich samych poradzić mógł tylko Bóg. Obym wyzdrowiał. Niech mama wygra z rakiem. Żeby żona wreszcie zaszła w ciążę. Niech moja córka zacznie się do mnie odzywać. Niech mój syn wstanie z wózka inwalidzkiego. Niech mój ojciec przestanie pić. Niech wnuczek stanie się normalny i ożeni się, z kobietą.

Do Kosmy na szczęście nikt się nie zwrócił; siedział oddalony od całego spotkania zaledwie o kilka metrów, ale to już go wykluczało poza nawias.

– Teraz pomódlcie się swoimi słowami, z serca – powiedział Samuel. – Mocno, szczerze, z wiarą, że to musi zadziałać. Bóg tu jest. Patrzy na was. Słucha.

Pielgrzymi zaczęli się modlić, jedni opuszczali głowy, inni znowu je wznosili, część patrzyła w oczy osoby, w której intencji się modliła. Po kilku minutach, gdy szum już cichł, kościelny uniósł wysoko ręce i popatrzył z uśmiechem na wiernych.

– Bądźcie sobie braćmi. Przed snem pomyślcie o intencji i pomódlcie się jeszcze raz. Bóg jest z wami.

Prorok ruszył między pielgrzymami, ci podchodzili i ściskali mu dłonie, a on cierpliwie z każdym wymieniał słowo lub dwa. Czy tak wyglądały początki chrześcijaństwa? Ile lat trwało, zanim poczucie wspólnoty i uściski zamieniono na całowanie w dłoń kapłana? Potajemne spotkania braci w wierze zamieniły się w nabożeństwa w kościołach pękających od złota, wspólnota umierała na oczach wiernych, bo więzi zastąpiono więzami.

Kosma wstał, złożył leżak i ruszył w stronę plebanii. Całe spotkanie wyglądało na zakończone, bo wszyscy pielgrzymi zaczęli się rozchodzić.

7.

Kosma wsiadł na rower, z ulgą stwierdzając, że pojazd posiada komplet oświetlenia. Bieszczadzka noc była czarna niczym sutanna, więc nie uśmiechało mu się pędzić przez las na ślepo. Gdy tylko wsiadł na rower, jego telefon zadzwonił, informując, że chce z nim porozmawiać Kacper. Wyciągnął z nerki zestaw słuchawkowy i odebrał połączenie.

– Co tam?

– Wiem! – krzyknął Kacper, aż Kosmę zabolowały uszy. – Jesteś zdradliwym chujem, ot co, gorszym niż Judasz, bo ten przynajmniej skasował za swoją zdradę trzydzieści srebrników, to na dzisiejsze jakieś dwanaście koła. Idąc tym tropem, to był pierwszy przypadek tak wysokiej stawki za pocałowanie mężczyzny. Krótko mówiąc, Judasz był męską dziwką, zarabiającą lepiej niż te nasze celebrytki pozwalające defekować na siebie Arabom.

– Piłeś?

– O przepraszam, wprowadzałem się w stan łaski uświęcającej. Czy wiesz, że alkoholizm jest trzecią największą plagą, zaraz po homoseksualizmie i pedofilii, toczącą Kościół? No to ja właśnie z tych, co wolą wypić, niż zaruchać. Robię to sukcesywnie i wytrwale. Jeden święty powiedział: miłość i picie rozkładaj na całe życie.

– Który to taki? – zapytał z uśmiechem Kosma, ruszając rowerem w drogę.

– Święty Kacper. Dopiero go wzniosą na ołtarze, wszystko przed nim.

– Ale, Kacperku, po co do mnie dzwonisz? Z czym?

– Nie powiedziałaś, że właśnie wizytujesz nowego proroka Zenonusa. Internet o tym huczy.

– Serio?

– Tak!

– To raczej nie Zenonusa, a Samuela, jak każe siebie nazywać, a raczej jak polecił mu przedstawiać się sam Jezus Chrystus.

– Serio? – Tym razem zapytał Kacper.

– Tak.

– Bzdura – zaprzeczył ksiądz. – Mój szef nie robi takich rzeczy. Ogólnie nie wtrąca się w działanie swojej korporacji, a już na pewno w obce start-upy. Widzi, że jego biznes generuje krociowe zyski, i nie w głowie mu dotowanie konkurencji, w dodatku doskonale zdaje sobie sprawę, że drugi raz mu już taka firma nie wyjdzie.

– Czyli internet już o Samuelu wie?

– Otóż to – potwierdził Kacper. – Jakimże zaskoczeniem dla mnie było, że w sieci jest coś więcej niż porno i gotowe kazania na niedzielne msze! Są filmiki, jak ten proroczyna z bożej łaski przemawia. Otóż właśnie oglądałem live z jego modłów i oczom nie wierzę, bo kamera najeżdża na wiernych, a tam mój Kosmyk w leżaczku, rozmodlony jak konsekrowana dziewica.

– Tak cię to zainteresowało?

– Objawia się tam Jezus, a ja na bieżąco śledzę, gdzie przebywa mój szef, sam rozumiesz. Opierdalałam się w robocie, jak tylko mogę, więc trzeba się pilnować. Jezus tu, Jezus tam, a ja leniuchuję! Ostatnio nie miałem pomysłu na kazanie, to powiedziałem, że z racji toczącej się wojny na Ukrainie będę mówił właśnie po ukraińsku. Wiem, że nikt tego nie rozumie u nas, więc ściągnąłem ukraińskie tłumaczenie *Terminatora* i czytałem. Ludzie płakali ze wzruszenia. Ale nieważne.

– Właśnie, co jest ważne? – zapytał Kosma, pedałużąc rażno. Droga była pusta, a oświetlenie roweru sprawowało się całkiem nieźle.

– Ten gość robi karierę. Serio. Mówi proste rzeczy, właściwie nic odkrywczego, ale też nic aż zanadto kontrowersyjnego. Powiedział, że Kościół kontroluje i mówi, jak żyć. Też mi odkrycie. Pewnie, że tak. Trzy rzeczy musi robić człowiek: jeść, srać

i kopulować. Jako że trudno wtrącać się w częstotliwość wypróżnień, to Kościół wziął się do kwestii, co i kiedy możemy jeść oraz z kim i kiedy kopulować. Myślisz, że wielki, wszechmocny Bóg siedzi na swym tronie i patrzy, czy w piątek jesz rybę? Serio? O nie, Kosma zjadł zupę ze śladową zawartością mięsa, nie będzie zbawiony! No i jak sobie radzi z parówkami, co? Przecież nikt nie zna ich składu i zawartości mięsa. Wszechmocny Bóg ma życzenie, co masz jeść, wyborne.

– Czyli dobrze gada?

– Prorok jak w mordę! – stwierdził Kacper. – Stąd wniosek, że nie maczał palców w utonięciu tego księdza. Wyczuł biznes i działa w tym kierunku.

– Sam do tego doszedłem.

– Oho, Kosmyk się wyrabia, wpadł na coś sam! Alleluja! Co będzie dalej? Własnoręcznie zawiąże buty?

– Po co dzwonisz? Bo raczej nie ot tak, sobie pogadać.

– On nie działa sam, przyjacielu.

– Skąd taki wniosek?

– Film z tego spotkania to nie było nagranie zrobione przez jakiegoś wiernego, ale wysokiej jakości transmisja on-line. Dobry sprzęt, stabilny, tam było w miarę ciemno, tylko światło świec, a obraz wyraźny, w jakości 4K. Był tam ktoś, Kosmyku, kto miał odpowiedni sprzęt, ustawił kamerę na statywie i transmitował wszystko bezpośrednio do internetu. Stąd moje podejrzenie, że prorok Zenonus nie działa samodzielnie.

– Ciekawe. Jutro zamierzam go odwiedzić.

– Rozejrzyj się za czymś, co nie przystaje do bieszczadzkiego obejścia. Podejrzewam, że światłowodu raczej tam nie doprowadzono, a zasięg sieci komórkowej macie chujowiusieńki. Musi mieć jakąś antenę albo coś.

– Tak zrobię – odparł Kosma, w ostatniej chwili skręcając w lewo na skrzyżowaniu pod wiatą turystyczną. Dobrze, że nie przegapił. Droga wiodła już przez gęsty las i rozmowę zaczęło przerywać.

– Kacperku, tracę cię.

Nagle przednie koło uciekło mu na bok, a kierownicą szarpnęło. W panice wyprostował ręce, aby zamortyzować upadek. Gruchnął o ziemię, na szczęście teren był miękki, nie czuł, aby odniósł jakieś poważniejsze obrażenia. Światło rowerowe zgasło i otuliła go bieszczadzka ciemność.

Ale tylko na chwilę.

Snop mocnego światła padł na niego, gdy podnosił się z ziemi. Nie zdążył się nad tym zastanowić, bo usłyszał ruch obok i otrzymał potężnego kopniaka, udo zapłonęło żywym ogniem i stracił równowagę, przewrócił się na plecy pchnięty siłą uderzenia. Zobaczył nad sobą bardzo mocną latarkę, chyba zaczepioną na głowie napastnika, widział tylko jedną przerażająco mocną plamę światła, jakby ktoś zaprzągnął słońce do pomocy.

Napastnik stanął nad nim, mrużąc oczy, Kosma zobaczył, że bierze potężny zamach trzymanym w ręce kijem, ale zastygł. Światło znieruchomiało. Czas się zatrzymał.

– To nie ty – usłyszał gardłowy głos, jakby ktoś mógł porozumiewać się tylko szeptem. – Przepraszam.

Światło zgasło i usłyszał oddalające się kroki.

– Kosmyk?! – zabrzmiało w słuchawkach. Cały czas był na linii z Kacprem.

– Jestem.

– Coś przerywa.

– Ja pierdolę!

– No, dokładnie.

– Nie o to chodzi, ktoś mnie właśnie napadł.

– Jasne...

– Serio. Zaraz oddzwonię.

Kosma rozłączył się, wstał, wyjął telefon z kieszeni i uruchomił latarkę. Omiótł rozproszonym światłem najbliższe otoczenie, ale

po całym zdarzeniu pozostało jedynie wspomnienie, przewrócony rower i bolące udo.

Podniósł rower, sprzęt wyglądał na cały. Włączył oświetlenie, na szczęście działało bez zarzutu. Wypiął halogen z uchwytu, był dużo mocniejszy niż latarka w smartfonie. Ponownie przeczesał teren wokół siebie. Żadnego śladu napastnika.

Wczepił halogen z powrotem w uchwyt, wsiadł na rower i wciąż napompowany adrenaliną, ruszył w stronę schroniska, jakby goniło go stado diabłów.

8.

Kosma zajechał pod dworek, odrzucił po raz kolejny połączenie od Kacpra. Musiał się najpierw uspokoić. Oparł rower o budynek i ruszył do środka. Przy tarasie stał grill, paliło się ognisko i bawiła się grupka wspomnianych wcześniej przez właścicielkę turystów. Nie byli przesadnie głośno, żartowali i śmiali się, ktoś chwycił za gitarę i w noc popłynęły dźwięki jakiejś górskiej piosenki.

Wszedł szybko na górę, otworzył swój pokój i z westchnieniem ulgi usiadł na łóżku. Spojrzał w lustro, twarz miał całą, trochę tylko umazaną ziemią. Podciągnął nogawkę spodenek i obejrzał udo. Zobaczył rosnący krwiał, obcy musiał nosić twarde buty, bo w miejscu uderzenia pękła skóra. Na szczęście były to jedyne obrażenia, jakie odniósł.

Telefon ponownie zadzwonił.

- Jestem, żyję – powitał Kacpra.
- Co tam się stało?
- Wracałem rowerem na nocleg i ktoś mnie napadł w lesie – wyrzucił z siebie Kosma, wciąż jeszcze pełen emocji.
- Zajebałeś skurwysyna? – zapytał Kacper. – Pomóc ukryć zwłoki? Nikt nie słyszał strzałów?
- Nie miałem ze sobą broni.
- Nie no, wzorowy policjant. Pewnie jakbyś jednak został księdzem, to na poświęcenie nowej szambiarki poszedłbyś bez

kropidła.

– Facet mnie napadł, wyrzucił z roweru, a potem przeprosił.

– Bardzo grzeczni ci bandyci w Bieszczadach, pewnie to zasługa jakiejś szeroko zakrojonej akcji promującej turystykę. Napadnij, ale przeproś! Coś jeszcze? Zostawił ci jakiś pamiątkowy gadżet? Kalendarz rozbójnika? Magnes z wybitym zębem? Zakrwawioną ciupagę i darmowy talon na przejazd karetką?

– Po prostu mnie zostawił. Powiedział, że się pomylił.

– Czyli jesteś cały?

– Tak.

– No cóż, bywa i tak.

– Żałujesz?

– Ostatnio mało zleceń, a pogrzeby dobrze płatne.

– Nie chcę katolickiego pochówku.

– Kosma, co z ciebie za przyjaciel? Tobie i tak już będzie wszystko jedno, a zasiłek pogrzebowy ma się zmarnować? Nie dasz zarobić koledze? Obiecuję, że jak będę się modlił, to skrzyżuję palce za plecami, że to niby się nie liczy.

– Dogadamy się. A teraz już kończę. Muszę opatrzyć rany i zażyć magiczne wiedźmińskie eliksiry. Akurat pod schroniskiem odbywa się święto lasu, pewnie mają wszystko, czego mi potrzeba. Zdzwonimy się jutro. Będę potrzebował, żebyś dla mnie kogoś sprawdził.

– Śpij słodko, aniołku – rzucił Kacper i się rozłączył.

Kosma odetchnął. Potrzebował prysznic i chyba alkoholu na skołatane nerwy.

ROZDZIAŁ 4

BENIOWA, 2 CZERWCA 1946 ROKU

Miastowym zawsze się wydaje, że to u nich jest głośno, a na wsi to cisza i spokój, jednak żyją w błędzie. Tak jak w mieście rytm dnia wyznaczają uliczne latarnie, tak na wsi rolę tę pełni przedwieczne słońce. Ledwo czerń nocy pocznie blaknąć, na wschodzie pojawią się pierwsze pasma czerwieni, już to pobudkę oznajmiają koguty, swój koncert zaczynają gęsi i cała żywina rusza na podwórce w poszukiwaniu pożywienia.

Majora zbudził chorąży, który sen miał lekki, a zajmował razem z nim kwaterę u księdza na plebanii. Poranki Koroniewski zawsze miał ciężkie, potrzebował z pół godziny, aby pozbyć się resztek snu, wybitnie mu w tym pomagała czarna kawa, toteż chorąży natychmiast zabrał się do jej przygotowywania. Zerknął na zegarek, wskazówki pokazywały równo trzecią.

– Woda ciepła na piecu – poinformował żołnierz swojego dowódcę i przyjaciela, i to był kolejny zwyczaj, gdyż przedwojenne wychowanie nakazywało założyć mundur dopiero, gdy twarz ogolona, a sumienie czyste.

– Pobudkę zagrajcie o czwartej.

– Tak jest.

– I od razu niech ksiądz w dzwony bije.

– Wedle rozkazu.

Major, ziewając i drapiąc się po pośladku, podszedł do pieca, ale zanim przygotował mydło i brzytwę, to nabrał w drewniany kubek zimnej wody z wiadra ustawionego na taborecie i wypił, łapczywie gasząc pragnienie. Wiedząc, co dziś ich czeka, nie pił podczas biesiady za dużo wódki, często zakąszał, ale głowa i tak lekko go ćmiła.

Wyjął swój zestaw do golenia firmy Solingen, podarowany mu przez ojca po ukończeniu Szkoły Podchorążych Piechoty w Warszawie. Rozrobił mydło, nałożył je na twarz miękkim pędzlem, po czym złapał za brzytwę. Ileż to razy w trakcie wojny golił się w wodzie z manierki pod ostrzałem niemieckiej artylerii. Nigdy mu ręka nie zadrżała, aż do dziś. Po białej pianie potoczyła cię cienka strużka krwi.

– Psiakrew – zaklął. – Zły znak.

– Dajcie spokój – uspokoił go chorąży. – Takie tam babskie gadanie. Prosta robota nas czeka.

– Zawsze tak mówiłeś, nawet kiedyśmy podchodzili Reichstag.

– I co, żyjemy?

– Ano żyjemy.

– I dziś też doczekamy końca dnia – zapewnił go Czerwiński. – Moja w tym głowa.

Koroniewski wytarł twarz kawałkiem białego płótna, na którym od razu pojawiła się brązowa smuga po startej krwi. Wyjął nieużywaną nigdy, ale będącą w zestawie pałeczkę ałunu i potarł skaleczenie, zapiekło straszliwie, ale rana się zamknęła.

– Mundur przeczyściłem – oznajmił chorąży.

– Marcelku, oj, Marcelku – westchnął z ubolewaniem major. – Nie jesteś moim ordynansem, tylko oficerem i przyjacielem.

– I jako przyjaciel muszę o ciebie dbać – odpowiedział Czerwiński. – Co to za różnica, jeden mundur przeczyścić czy dwa? Żadna.

– I buty też pastowałeś?

– Po butach znać klasę mężczyzny – odpowiedział chorąży.

– Nie mam ja do ciebie siły.

Zaczęli zakładać mundury, pogwizdując niczym zgrana kapela *Rozkwitały pąki białych róż*. Za drzwiami izby usłyszeli rumor i pojawił się w nich gospodarz plebanii, jeszcze z nieco zmierzwioną czupryną i w nie do końca dopiętej sutannie.

– Chrystos woskresie – powitał ich, ziewając i pociągając jednocześnie nosem, bo na kuchni już bulgotała kawiarka i aromatyczny zapach napoju bogów rozszedł się po całym domostwie.

– Szczęść Boże – odpowiedział chorąży. – Batuszka, macie sera?

– A jest, pewnie – odparł ksiądz, dopinając guziki pod szyją. – I chleba się znajdzie. A kawy dacie? Dawnom nie pił. Ostatni raz we Lwowie przed wojną. Ja nastawiłem już samowar na herbatę.

– A pewnie, nawet cukier mamy.

– Mogę mleka przynieść, pewnie krowy już wydojone.

– Odwykliśmy od mleka, bo na froncie nie uświadczysz świeżego – oznajmił chorąży, jednocześnie krojąc podany chleb i biały ser na kawałki.

Połał kawy do trzech kubków zabranych z półki nad piecem, postawił woreczek lniany z cukrem na stole i zasiedli do szybkiego śniadania.

– Jedz, kiedy możesz, i śpij, kiedy się da, taka żołnierska zasada – powiedział po chwili Koroniewski, widząc, jak oczy księdza się rozszerzają na widok tempa, w jakim pochłaniają skromne śniadanie.

– I najlepiej jedz i śpij szybko – dopowiedział chorąży, po czym zaśmiał się pod nosem.

Na sam koniec gospodarz nalał im uroczyście herbaty z wielkiego samowara, błogosławiąc przy okazji.

– Kto czaju wypije, to jak do rodziny by wchodził – powiedział, mocząc usta w gorącym naparze.

Major odburknął coś tylko pod nosem i spróbował czarnego, aromatycznego napoju. Stawiał na nogi mocniej niż wypita do śniadania kawa.

Delektować się herbatą skończyli równo z dźwiękiem trąbki oznaczającej pobudkę. Major spojrział na zegarek, uśmiechnął, widząc, że sygnalista nie spóźnił się nawet o sekundę.

– Batuszka, trzeba by w dzwony uderzyć – powiedział i klepnął księdza po ramieniu.

– Daj Bóg, a po co? – zapytał kapłan.

– Ludziom musimy coś przekazać, muszą być wszyscy w kupie – poinformował go chorąży.

– Nie da rady zadzwonić – odparł ksiądz.

– Dlaczego? – zdziwił się major, wyczuwając pierwsze problemy.

– Nie ma dzwonów – wyjaśnił kapłan. – Na początku wojny wojsko zarekwirowało, a teraz nowego dostać nie idzie. Nawet jakby pieniądze były, to wszystko idzie na odbudowę kraju, tak mi powiedziano. Wleźcie na tę swoją wieżę i wołajcie na msze, przecież ludzie trafią, tak mi powiedziano w gminie.

– To pomożecie nam ludzi zwoływać – zarządził major. – Musowo wszystkich mieć w kupie, bo tu o wasze zdrowie i życie idzie.

– No dobrze – zgodził się ksiądz, dopijając kawę. – Zatem chodźmy.

Po wsi poniósł się alarm.

ROZDZIAŁ 5

BIELMA. TERAZ

1.

Kosma obudził się z pustym brzuchem, bolącym udem i szumem w głowie. Wieczorem zszedł do turystów bawiących się przy ognisku, nie chciał być sam i chociaż wiedział, że to niedorośle i irracjonalne, potrzebował towarzystwa ludzi. Lasy, zmroki i napady stały się rzeczami, których miał serdecznie dość. Napił się piwa, nawet trochę pofałszował przy kilku piosenkach, najadł się kiełbasy i boczku, a zawsze, gdy kładł się spać z pełnym brzuchem, to budził się głodny.

Zszedł do części gastronomicznej i od razu dostał od Luby talerz jajeczniczy z boczkiem, kurkami i oscypkiem. Spojrzał na talerz nieco niechętnie, ale dziewczyna tylko poklepała go po ramieniu, jakby informując, że tego właśnie mu trzeba. Miała rację, plebejska jajówka zaprawiona niecodziennymi dodatkami i mocno potraktowana świeżo mielonym czarnym pieprzem była wyśmienita i postawiła go na nogi niemal natychmiast. Wypił duży kubek mocnej kawy i już miał ruszać do Ustrzyk, gdzie czekało go spotkanie z lokalnymi policjantami, gdy wspomnienia ostatniej nocy wróciły.

Przy barze stanął rosły mężczyzna, dobrze zbudowany, o tym typie urody, który Kosmie zawsze kojarzył się z filmami o Cezarze. Czarne włosy, ciemna karnacja, mocno zarysowana szczęka i wyrazisty nos, wszystko jak wykute z marmuru. Tak wyobrażał sobie napastnika, który zafundował mu stres i ból w nodze.

– Wystarczy? – zapytał mężczyzna, gdy ustawił na ladzie kartonowe pudełko.

– Musi – odpowiedziała Luba, zaglądając do środka. – Ostatnio schodzą jak świeże bułeczki.

Wyjęła z pudełka kawałek drewna i przyjrzała się mu. Był to skromny obrazek namalowany na malutkiej deseczce, przedstawiał dworek i napis „Schronisko u Hrabiny”.

– Ludzie cenią ręczną robotę – odparł mężczyzna, inkasując od dziewczyny zwitek banknotów.

– Myślałam, że rozstawisz straganik przy lipie i zaczniesz sprzedawać pielgrzymom.

– Pielgrzymi – odpowiedział tonem, w którym zawierały się wszystkie uczucia, jakie żywił do ludzi przybywających spotkać „proroka”, bez wątpienia negatywne.

– Nie lubisz ich?

– Jeśli ktoś jeździ po świecie, szukając Boga, to nigdy go nie znajdzie – stwierdził mężczyzna i odwrócił się w stronę Kosmy.

– Smakowała jajecznicę? – zapytał.

– Tak – odpowiedział szybko Kosma, nieco zdziwiony, a może i przestraszony faktem, że obcy zwrócił na niego uwagę.

– Mój przepis – odparł z szerokim uśmiechem.

– Edgar jest genialnym kucharzem – poinformowała Luba entuzjastycznie. – No i ogólnie artystą, maluje, rzeźbi.

Mężczyzna jakby nie słyszał tego, co mówi dziewczyna, nawet powieka mu nie drgnęła, gdy wpatrywał się w Kosmę.

– A ty po co tu przyjechałeś? Szukasz Boga? – zapytał w końcu.

– Raczej Diabła – odparł Kosma.

– To znajdziesz go pod Lipą – odparł mężczyzna.

– Daj spokój, Edgarze – westchnęła dziewczyna. – Nie lubisz przyjezdnych, twoje prawo, ale nie strasz mi ludzi. Kosma to fajny chłopak, jest tutaj służbowo jako policjant.

– Aha – odparł mężczyzna i w tym jednym słowie dało się wyczytać, że wie, po co właściwie policjant tutaj przyjechał, a nawet jaki będzie tego skutek: mizerny.

– Muszę już uciekać – powiedział Kosma, wstając od stołu. – Dziękuję za śniadanie. Kurki idealne, boczek świetnie uwędzony,

a połączenie z oscypkiem całkowicie mnie zaskoczyło.

– Umiesz jeść, co? – zapytał go Edgar.

– Nie rozumiem – odparł Kosma.

– Nie jesteś jak większość ludzi, którzy zjedzą każde gówno, byle było z keczupem, co nie? Kochasz smaki, a one odwzajemniają to uczucie, garną się do ciebie, dając ci wszystko, co mają najlepszego.

– Miałem dobrą nauczycielkę od takich spraw, otworzyła mi oczy na piękno jedzenia.

– Musimy jeść, dlaczego więc z tego największego przymusu nie uczynić sztuki? Dlaczego mamy dać się zamknąć w kulinarnym więzieniu tygodniowego rytmu rosółu, pomidorowej, mielonych i schabowych?

– Oho, zaczyna się wykład – rzuciła z przekąsem Luba.

– Daj spokój – odpowiedział jej Edgar. – Udowodnię ci, że lubię turystów. Kosma, tak?

– Zgadza się.

– Zatem zapraszam cię, drogi Kosmo, na kolację do mej skromnej chaty. Będziesz kulinarnie kuszony, pieszczony, na twe wargi i język spłynie wszystko, czego nigdy się nie spodziewałeś. Poczujesz mój talent węchem i smakiem, wypełnię cię radością i nieśpiesznym zadowoleniem. Przygotuję ci takie rzeczy, że organoleptyczne orgazmy zachwieją twym życiem. Przyjdź dziś przed zachodem słońca.

– Nie wiem, czy znajdę czas...

Edgar jednak nie czekał na jego potwierdzenie, po prostu ruszył w stronę wyjścia.

– Ciekawy człowiek – skomentował Kosma, patrząc na Lubę.

– Radzę ci iść na tę kolację. Ja byłam. On był kiedyś szefem kuchni w jakimś najlepszym hotelu w Warszawie czy coś. Ale tak naprawdę to wie o wszystkim, co się u nas dzieje. Codziennie ktoś do niego przychodzi na kolację, no i plotkują. Możesz sporo się dowiedzieć.

– Dziękuję. Zatem skorzystam.

Kosma oddał talerz po jajecznicy i wyszedł ze schroniska.

2.

Policjant, mający zreferować Kosmie sprawę śmierci księdza, był miłym i uśmiechniętym człowiekiem. Łapczywie pożerał szarlotkę nałożoną na małe talerzyki, oblizywał przy tym łyżkę i mlaskał, a Kosma miał wrażenie, że je ciasto całym sobą. Sam dzióbnał widelczykiem rumianą szarlotkę i spróbował kawałek, była całkiem niezła.

– Szara reneta – powiedział policjant, odkładając pusty talerzyk na stół. – Oto sekret szarlotki. Porządne, kwaśne jabłko. Niepopularne, bo brzydkie, ale jak się usmaży i włoży w słoiki, to nie ma chuja, cymes!

– Całkiem smaczne – zgodził się Kosma.

Policjant nosił bardzo pospolite imię i nazwisko, czyli Paweł Nowak. Do nazwiska pasowała równie przeciętna twarz, budowa ciała, jak i zachowanie, także stopień aspiranta w tym wieku, a wyglądał na jakieś niecałe pięćdziesiąt lat, raczej informował, że policjantem nie jest wybitnym. Pasję miał jednak niecodzienną, bo już w pierwszych słowach Kosma dowiedział się, że Paweł Nowak jest pasjonatem cukiernictwa. Istniała obawa, że prędzej zdradzi tajniki swej szarlotki, niż powie coś ciekawego w sprawie śmierci księdza.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła wysoka blondynka. Była wzrostu wręcz koszykarskiego, a całość potęgowały jeszcze krótka spódnica oraz długie włosy sięgające pasa. Z pozycji zajmowanej przez Kosmę składała się właściwie z samych nóg, bardzo ładnych na dodatek.

– O, i jest doktor Grójecka, nasz patolog – oznajmił policjant. – Czy też patolożka, jak wy to tam w tej Warszawie mówicie. Dokładnie jak sobie kolega życzył.

Kosma wstał, podał jej dłoń i przedstawił się, poczekał, aż kobieta usiądzie, po czym wrócił na swoje krzesło.

– Danusia, szarlotki zjesz? – zapytał policjant.

– Sam piekęś? – zapytała podejrzliwie.

– Własnoręcznie.

– To daj.

Uradowany policjant odkroił z blachy z ciastem słuszną porcję, nałożył z uwagą na talerzyk i przesunął po stole wprost pod nos pani doktor.

– Sprawa jest prosta – odezwała się Grójecka, zanim zabrała się do ciasta. – Utonięcie.

– Utopienie, przecież mówiłem – zawtórował jej policjant.

– To utonięcie czy utopienie? – zapytał Kosma, spoglądając podejrzliwie na Nowaka, aż ten zastygł w bezruchu z nożem nad blachą z ciastem. Utonięcie odpowiadało za trzydzieści procent śmiertelnych wypadków w Polsce i każdy policjant powinien znać różnicę między nim a utopieniem, które oznacza zgon następujący, zanim woda dostała się do górnych dróg oddechowych.

– No tak – powiedział spokojnie Nowak. – Utonięcie.

– Nie ma żadnych wątpliwości, pani doktor? – zapytał Kosma.

Patolog otaksowała go czujnym spojrzeniem, powoli, od stóp do głowy. Ciekawe, czy wyobrażała sobie, jak by go kroїła na swoim stole sekcyjnym.

– Najmniejszych – odpowiedziała. – Szkolny przypadek, rozedma wodna płuc, rozwodnienie treści żołądka, czyli tak zwany objaw Wydlera. Denat przeszedł przez wszystkie pięć etapów utonięcia, co oznacza, że był przytomny od samego początku.

– Pięć etapów? – zaciekawiał się Kosma. – Rozwinie pani temat?

– Z przyjemnością! – Odstawiła talerzyk i uśmiechnęła się szeroko. – Według Wachholza i Horoszkiewicza proces tonięcia zaczyna się od paniki, wstrzymywania powietrza i kilku nerwowych oddechów. Potem następuje faza świadomego oporu i długie wstrzymanie powietrza w płucach, co zwiększa stężenie dwutlenku węgla we krwi. Potem połykanie wody w celu ratowania przed przedostaniem się jej do płuc, oczywiście

bezczelowe, woda w końcu wypełnia żołądek, potem płuca. Zamartwica, czyli wstrzymanie czynności oddechowych i utrata przytomności, i na finiszu oddechy końcowe, krótkie i połączone z drgawkami.

– Klasyczne utonięcie – podsumował policjant.

– Ma ślady walki o życie w postaci otarć – kontynuowała swój wywód Grójecka. – Ale to też normalne, łapał się kamieni i ześlizgiwał. Nie są to uderzenia, gdyby przyszło panu do głowy, że łapał się czegoś i na przykład przydeptywano mu palce. Nie był związany. Otarcia głównie na wnętrzu dłoni. Zdarte paznokcie, ale pod nimi żadnych śladów biologicznych.

– W miejscu, w którym go znaleźliśmy, jest taki cementowy basen do wygodnego nabierania wody, choćby do opryskiwacza albo przez straż pożarną, przez to jest cholernie głęboko, a obmurowanie bardzo śliskie – skomentował policjant.

– Mógł go ktoś tam przecież wrzucić – zauważył Kosma.

– Tego nie możemy wykluczyć – zgodził się Nowak. – Jednak nie ma śladów walki, nikt nie widział denata z osobami trzecimi.

– Toksykologia na czysto – dodała doktor Grójecka, kończąc już szarlotkę. – Treść żołądka wskazuje, że jadł śniadanie, raczej coś mlecznego, osad na śluzówce żołądka, ale na pewno na kilka godzin przed śmiercią. Nie był pod wpływem alkoholu.

– Czyli żadnego punktu zaczepienia?

– Zależy, gdzie się chce pan wspinać – odparła. – Jeśli ma pan przesłanki podważające tezę o nieszczęśliwym wypadku, ewentualnie samobójstwie, to ja tego niestety nie jestem w stanie potwierdzić wynikami autopsji.

– Samobójstwo? – zdziwił się aspirant. – Przecież to był ksiądz.

– Rocznie średnio dwóch księży odbiera sobie życie – odparł Kosma. – Powodem jest głównie depresja. W Polsce te dane nie są oficjalne, ale na przykład we Francji już tak. Wieszają się w kościele, jeden zakonnik utopił się w beczce na deszczówkę. Przykre i drastyczne przypadki.

Aspirant Paweł Nowak zastygł tym razem z szarlotką wbitą na widelczyk.

– Sam fakt samobójstwa jest przerażający – powiedziała doktor Grójecka. – Jeśli jeszcze następuje przez utonięcie, to szczególnie, bo to straszna śmierć.

– Dziękuję, że się pani pofatygowała osobiście – powiedział Kosma.

– Drobiazg. – Machnęła ręką i wstała.

– Zapytam jeszcze. Czy podczas autopsji nie znalazła pani niczego niecodziennego?

– Starszy człowiek, ale zadbany. Widać, że fizycznie nie pracował, nie nadużywał alkoholu, odżywiał się w miarę dobrze, brak śladów otyłości. Nie palił, ale też nie uprawiał sportu, mięśnie raczej zwiotczałe. Żadnych chorób wrodzonych, ot, po prostu... ksiądz.

– Danusia jest bardzo uważna i szczegółowa – poinformował go policjant. – Przez to nawet niektórzy nie przepadają za pracą z nią, bo szuka dziury w całym. Jeśli mówi, że nic podejrzanego nie znalazła...

– To zamykacie sprawę – zakończył za niego Kosma.

– No to nie tak – obruszył się policjant. – Badamy dokładnie wszystkie okoliczności.

– Czyli znaleźliście odpowiedź na pytanie, co ten człowiek będący pierwszy raz w Bielmach robił przy głębokim stawie kilkaset metrów od wsi? Dokładnie w miejscu, gdzie jest betonowy murek ułatwiający nabieranie wody?

– Spacerował? – odpowiedział policjant.

– To nie był turysta – powiedział Kosma z westchnieniem. – Miał bardzo napięty grafik i kupę roboty, a proszę mi wierzyć, był także bardzo oddany swojej pracy. Może aż za bardzo. Jeśli był również pasjonatem bieszczadzskich sadzawek, to poszedłby je zwiedzać po zakończeniu swojego śledztwa. Natomiast wszystko wskazuje na to, że przyjechał do Bielm, wysiadł z samochodu, porozmawiał z gospożą, a potem udał się na nocleg do

schroniska, jednak nigdy tam nie dotarł. Odjechał samochodem w przeciwnym kierunku, po czym podreptał nad zapuszczony staw, gdzie dokonał żywota.

– No takie przyjęliśmy założenie.

– Świadkowie?

– Żadnych.

– Spotkał się z kimś w Ustrzykach? – dopytywał Kosma.

– Tak?

– No to ja się pytam, czy to sprawdziliście.

– No nie.

– Przejeżdżał przez nie, więc może zatrzymał się tu na chwilę, może kogoś spotkał, z kimś rozmawiał? Macie tu jakiś monitoring?

– Tak jest.

– Sprawdźcie.

Kosma wstał, stłuczona podczas nocnej napaści noga dała znać o sobie.

– Zaraz wyślę ludzi – zapewnił policjant.

– Przepraszam, czy to pan prowadził sprawę? – zapytał go Kosma.

– Nie, kolega z wydziału, ja tylko... Prosilili mnie, żebym wszystko przekazał.

– Nie chciało mu się tracić czasu na warszawiaka czy też wie, że dał dupy? Może zapchanie szarlotką to jakiś miejscowy sposób na załatwianie takich spraw?

– Nie, to ja tak, z dobrego serca, bo kocham wypieki i gość w dom, to wiadomo.

– Proszę pana, proszę dać koledze spokój – wtrąciła się Grójecka. – Ja wiem, kto prowadził tę sprawę, porozmawiam z nim, co? Umówię was.

– Piotrek na urlopie jest, w Chorwacji – powiedział policjant. – Dlatego ja chciałem pomóc.

– Przepraszam. – Kosma się uśmiechnął. – Ja po prostu nie lubię mieć wątpliwości, nawet najmniejszej. Proszę mi załatwić ten monitoring. Jeśli przejechał przez Ustrzyki, to wyślijcie mi SMS-a z taką informacją. Jeśli z kimś się spotkał, to sprawdźcie z kim i po co. Zgoda?

– Oczywiście, już ruszam – zapewnił go Nowak.

– Miło było was poznać – powiedział Kosma, po czym wstał, zostawił swoje dwie wizytówki na stole obok talerzyka z niedojedzoną szarlotką i wyszedł z pokoju.

3.

Kosma już po kilkunastu przejechanych metrach wyboistej drogi był pewien, że nikt nie przyjeżdżał tutaj w celach turystycznych, chyba że poruszał się jakimś szlakiem w rodzaju „Dziesięć tras po Polsce, które rozwalą ci zawieszenie”. Zatrzymał bmw na poboczu i dalej ruszył pieszo. Gdy dotarł do miejsca znalezienia zwłok księdza, tylko utwierdził się w przekonaniu, że nie ma mowy o wypadku podczas wycieczki krajoznawczej.

Staw z trzech stron posiadał miękki brzeg, trawiasty i błotnisty. Nie było żadnego rozsądnego podejścia do wody, nie mówiąc już o chociażby szczątkowej plaży. Stał na brzegu umocnionym betonowym murkiem, na samym środku stał żuraw z kawałkiem węża strażackiego zwisającego smętnie w dół niczym pomnik impotencji. Miejscowi rolnicy mogli podjechać tutaj i napełnić opryskiwacz lub beczkę na wodę do podlewania swoich upraw. Pompę uruchamiało się pewnie jakimś mechanizmem w drewnianej skrzynce, ale tajemnic jej funkcjonowania strzegła solidna kłódka. Kosma rozejrzał się i nie dostrzegł niczego, co mogłoby zainteresować przykładowo amatora fotografii. Ot, łąki, nawet widoki były nieciekawe, góry skrywały się za małym zagajnikiem.

Nie było to miejsce na piesze wycieczki, natomiast jeśli chodzi o rzucenie zwłok i upozorowanie wypadku, nie można było sobie wymarzyć lepszego.

Postanowił obejść staw dookoła, co okazało się nader trudnym zadaniem, bo trawa była wysoka, a ziemia dość miękka. Napotkał dalej kilka oczek wodnych, mniejszych lub większych, na środku jednego z nich stała samotna brzoza. Widocznie bajorka zapełniały się tylko po deszczach lub gdy podnosiły się wody gruntowe. No dobra, tutaj było może i urokliwie, ale turyści raczej się w te rejony nie zapuszczali.

Był natomiast pewien, że mordercy jak najbardziej. Miejscowi. Znający teren. Tego miejsca na mapach internetowych raczej nie można było znaleźć.

4.

Kosma zajechał przed dom wskazany mu wczoraj przez proboszcza i młodego naukowca. Nie był umówiony i miał to gdzieś, praca w policji niosła za sobą pewne profity, jak chociażby możliwość spotykania się z pewnymi ludźmi bez wcześniejszego anonsowania.

Furtka prowadząca na podwórko była drewniana i malowana ostatni raz dawno temu, a samo obejście nie prezentowało się zbyt imponująco, pewnie jeszcze kilka tygodni temu trawiaste, teraz jednak wyglądało na mocno wydeptane, najpewniej stopami pokornych pielgrzymów. Dookoła stało kilka starych krzeseł ogrodowych, drewniane ławki różnego rodzaju, ot, polowa poczekalnia. Już kilka osób siedziało i spoglądało na Kosmę niezbyt przyjaźnie, pewnie myśleli, że próbuje wepchnąć się bez kolejki.

– Słucham? – Przez drzwi parterowego i dość starego domu wyszedł mu na spotkanie żylasty mężczyzna w podkoszulku na ramiączkach, który w Warszawie koledzy Kosmy zwali żonobijką lub Bogdanką. Był siwy, nieco rozczochrany i miał niezbyt przyjazny wyraz twarzy. Pewnie miał przed sobą osławionego szwagra kościelnego.

– Chcę porozmawiać z panem Zenonem Kobielą – powiedział Kosma.

– Nie pan jeden – burknął mężczyzna i wskazał ręką poczekalnię. – Zaraz spiszę pana dane i po weryfikacji damy znać,

kiedy jest pierwszy wolny termin.

– Oto moje dane. – Kosma wyjął legitymację policyjną. –
A termin jest... – Zerknął na zegarek. – O już!

– Policja? – zapytał zdziwiony szwagier.

– Przecież dobrze pan wie, kim jestem, wieści pewnie już się
rozeszły.

– Czego pan chce od Zenka?

– Proszę okazać upoważnienie.

– Co?

– Jeśli chce pan to wiedzieć, to proszę o okazanie
upoważnienia, na mocy którego ma pan możliwość wykonywania
czynności prawnych w imieniu Zenona Kobieli. Może jest pan jego
opiekunem prawnym? Prawnikiem?

– Szwagrem.

– To jedyne, co może pan w jego imieniu zrobić, to zaprosić
mnie na wódkę. Natomiast to, o czym chcę z nim porozmawiać,
nie jest pańską sprawą.

– Nie wpuszczę pana. To święty człowiek i akurat odpoczywa.

– Panie...

– Ryszard.

– Panie Ryszardzie. Albo mnie pan wpuści, albo będę musiał
poprosić kolegów z Komendy Powiatowej w Ustrzykach
o interwencję, wtedy dopiero urządzimy sobie świętych
obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie
i żywot wieczny, amen.

– Szwagier jest zmęczony po całej nocy modłów.

– Umęczon, umarł i pogrzebion – powiedział Kosma
z westchnieniem.

– Co?

– Dobrze, wzywam patrol. Możecie odwołać dzisiejsze wizyty.

– Rysiu, już dobrze – odezwał się słaby głos i z chaty wyszedł kościelny Zenek i prorok Samuel w jednej osobie, ten sam, którego Kosma widział wczoraj pod drzewem.

Na krzeselkach i ławkach zrobiło się małe poruszenie, kilka osób wstało, jedna padła na klęczki z głośnym jęknięciem.

– Jesteś pewien? – zapytał mężczyzna, wciąż nie ruszając się z miejsca.

– Czegóż miałbym się obawiać? Pana nie obchodzą objawienia, ale sprawa tego nieszczęsnego księdza. Człowiek umarł, sprawę trzeba wyjaśnić. Wszystkim tutaj pomagam, jak umiem. Jedni potrzebują modlitwy, drudzy faktów.

Uśmiechnął się i wskazał otwarte drzwi domostwa. Kosma nie czekał dłużej, tylko rażno wkroczył w chłodne wnętrze. Dom nie był zbyt duży, na prawo widniał spory salon, w którym stał stół przyozdobiony metalowym krzyżem, świecą i niebieską figurką Matki Boskiej, po lewej kuchnia.

– Proszę dalej, prosto – usłyszał za swoimi plecami głos Zenka. – Mam tam z tyłu taką małą enklawę.

Kosma pomaszerował korytarzem wyłożonym gumoleum, mijając jeszcze jakieś drzwi po lewej, aż w końcu wyszedł ponownie na zewnątrz, odsunawszy grubą i zakurzoną kotarę. Tylne wyjście prowadziło do mającego kilka metrów kwadratowych trawnika ogrodzonego z trzech stron drewnianymi ściankami, dość nowymi i pochodzącymi najpewniej z marketu budowlanego.

– Tutaj odpoczywam – powiedział Zenek, wskazując mu krzesło ogrodowe, sam zasiadł na drugim. Pomędzy nimi stał niewielki stolik, a na nim butelka z mętną zawartością, która wyglądała jak lemoniada.

– Bycie prorokiem męczy, czyż nie? – zapytał.

– Proszę nie kpić. – Zenek uśmiechnął się blado. – Żaden ze mnie prorok, sam jestem zmęczony zamieszaniem wokół mnie i całej tej sprawy, ale cóż zrobić?

– Można odpuścić.

– Czy lekarz odpuszcza mimo kolejnego morderczego dyżuru? – zapytał kościelny. – Otóż nie, takż i ja nie mogę. Jestem potrzebny. Mam misję. I wierzę w nią. Pan nie wierzy, nawet wcale nie musi, mnie to nie przeszkadza.

– Mnie nie przeszkadza pana wiara i widzę, że pewnie dobrze by nam się gawędziło na tematy wiary i niewiary, ale nie przybyłem w tym celu.

– Chodzi o tego topielca?

– Tak.

– Podobno był to ksiądz, który miał zweryfikować moje objawienia, tak powiedział proboszcz, co oczywiście stawia mnie w rzędzie podejrzanych.

– Podejrzanych o co?

– Proszę pana, gdyby uznano to za wypadek, nie byłoby tu pana, to jasne.

– Spotkał się z nim pan?

– Nie. Żałuję, powiem szczerze. Nawet nie widziałem go na oczy.

– Dlaczego pan żałuje?

– Chciałbym zobaczyć, jak wygląda taka weryfikacja. Na przykład ten młody człowiek z uniwersytetu nagrywa na kamerze nasze modlitwy, zmierzył drzewo, sprawdzał promieniowanie i takie tam, czyli używa metod naukowych. To logiczne. Szkiełko i oko, tym się kieruje w życiu jako człowiek nauki. Jakich jednak narzędzi używa ksiądz, którego przecież cała misja opiera się nie na wzorach matematycznych czy też fizycznych, ale na wierze właśnie? To mnie ciekawi.

– Czyli nie widział się pan z nim?

– Nie.

– A pana szwagier?

– Też nie – odparł Zenek. – To opryskliwy człowiek, ale ma gołębie serce, identyczny jak moja świętej pamięci żona. Pomaga

mi i niczego za to nie chce, a ludzie zostawiają różne prezenty, wota dziękczynne.

– Pieniądze?

– Bywa, że i pieniądze. To teraz najważniejszy święty, dla wielu bóg, czyż nie? Ale ja od nikogo nie żądam ani grosza. Po pierwsze, to mi niepotrzebne, mam emeryturę, własny domek i stać mnie na wszystko, nie planuję rezydencji, basenów czy szykownych garniturów. Po drugie, to za obcowanie z Bogiem, oczywiście ja jestem pośrednikiem tylko, nie można żądać zapłaty.

– Oj, stąpa pan po kruchym lodzie – oznajmił Kosma.

– Dlaczego?

– No cóż, objawienia nie mogą zostać uznane, jeśli stoją w sprzeczności z nauką Kościoła katolickiego, a tam pieniądze odgrywają ważną rolę. Kluczową.

– Mnie nie zależy na uznaniu objawień czy ich negacji, ale na Bogu i ludziach. Pomagam im. Panu też bym pomógł.

– Nawet jeśli ja tej pomocy nie potrzebuję?

– Nie potrzebuje pan czy nie chce? Bo to dwie różne rzeczy. Pana dusza jest strasznie rozdarta, okrutnie wręcz.

Kościelny spojrzał przenikliwie na bliznę Kosmy i pokiwał głową z takim namysłem, jakby wiedział o nim wszystko, także to, co jeszcze nie nastąpiło.

– Nie dziś, to nie jest ten czas, ale porozmawiamy, może jutro, kto wie – powiedział po chwili ciszy.

– O topielcu?

– Jeśli czegokolwiek się dowiem, to tak. Napije się pan strzemiennego czy na służbie nie wolno? – Wskazał butelkę z mętną zawartością.

– A co to?

– Bimber, na miodzie. Wrzody mam, lekarz zakazał pić jakikolwiek inny alkohol, a już piwo w szczególności, tylko mocny bimber albo spirytus. Oszczędnie, jednego na dzień.

– Biblia podaje, że święci i prorocy pijali głównie wino.

– Ani ze mnie święty, ani prorok. Nie z moim żołądkiem. Polać?

Kosma pokręcił przecząco głową i wstał, uznając, że propozycja strzeżeniowa jest informacją o zakończeniu audiencji.

– Jak pan chce – stwierdził ze smutkiem Zenek. – Ale dziwi mnie pan.

– Dlaczego?

– Wiele osób chce ze mną porozmawiać, tak było od samego początku, gdy Jezus do mnie przemówił.

– Ja nie chciałem, tylko musiałem – odpowiedział Kosma.

– Nie o to chodzi, ale o temat. Jest pan pierwszym, który nie zapytał, jak to jest, gdy rozmawiam z Jezusem.

Kosma spojrział na niego i uśmiechnął się, czując, jak blizna nabrzmiwa krwią.

– Nie interesuje mnie, kto co mówi, ale co robi. Jeśli Bóg będzie miał mi coś do powiedzenia, to pewnie sam się odezwie. Ja już z Bogiem rozmawiałem i nie miał niczego ciekawego do powiedzenia.

Wyszedł przez drewnianą furtkę na drogę i skierował się do samochodu.

5.

Kosma zaparkował przed schroniskiem i tym razem, wysiadając, zabrał ze sobą służbową broń. Miał na nią kupioną specjalną torbę doczepianą do pasa, która wyglądała jak klasyczny ekwipunek turysty. Co prawda nie dało się błyskawicznie dobyć pistoletu, jak w przypadku klasycznej kabury do paska czy pod ramię, ale przynajmniej zapewniała dyskrecję.

– Zjesz u nas czy trzymasz miejsce na kolację u Edgara? – zapytała stojąca na tarasie Luba. – Ja bym trzymała.

– Kim jest ten facet? – zapytał Kosma.

– Romuś! – ryknęła znienacka dziewczyna.

Chłopak pokazał się po kilku sekundach.

– Przynieś nam po piwku, dobrze?

Chłopak skinął głową i zniknął w schronisku.

– A my usiądziemy. – Wskazała mu miejsce przy stoliku. – Dzisiaj bardzo mały ruch, środek tygodnia, mimo że wakacje. Fala obiadowa już się przetoczyła.

Pojawił się chłopak z dwoma kuflami ciemnego piwa, postawił je zgrabnie na stoliku.

– Może się z nami napijesz? – zapytał Kosma, czując się trochę niezręcznie.

– Romuś musi dzisiaj jechać po zaopatrzenie jeszcze – odpowiedziała Luba za niego.

Ten jakby zrozumiał, że co miał zrobić, to zrobił, i może spokojnie oddać się innym obowiązkom.

– Nieźle szkolony – skwitował Kosma.

– Ano – powiedziała Luba, gdy chłopak zniknął w budynku. – Niesamowite, dla Jezusa założył sutannę, a dla mnie zrzucił. To chyba oznacza, że mam większą moc niż Bóg.

Kosma spojrzał na jej piersi, które znowu były nieco skryte pod fartuchem z logo schroniska. O tak, zdecydowanie miała moc, szczególnie jeśli szło o chłopaków strasznie upośledzonych względem stosunków damsko-męskich, a księża niewątpliwie do takich należeli.

– Nie spotyka cię jakiś ostracyzm ze strony mieszkańców? – zapytał.

– Co ty? – zdziwiła się. – To chyba najmniej religijna wioska, jaką widziałam w życiu. Nawet proboszcz wpada do nas i zachowuje się jak normalny człowiek. Piękne miejsce. Na dzień dobry jedna z mieszkanki mi powiedziała: niech pani nie myśli, że my jakieś zacofane, u nas w co drugim domu są po rozwodzie!

– Dajcie żyć po swojemu grzesznemu, a i świętym żyć będzie przyjemniej – powiedział Kosma.

– Ładnie powiedziane.

– To nie ja, ale Jacek Kaczmarek. Jednak przesłanie ponadczasowe. A co powiesz mi o Edgarze?

– O nie, informacja za informacją – odparła. – Ja powiedziałam o Romusiu, teraz ty o tym topielcu. Zamordowano go?

– Nie wiem – odpowiedział Kosma. – Próbuję to ustalić, na razie nic na to nie wskazuje, jedynie moja intuicja podpowiada, że coś tu śmierdzi.

– To jak coś ustalisz, to mi powiesz – skwitowała szybko. – A co do Edgara, to facet z drugiej fali.

– Z czego?

– No pierwsza fala to najdłużej tu przebywający, czyli ci, co osadzono ich po akcji „Wisła”, gdy wysiedlono rdzennych mieszkańców. Druga fala to przybysze po osiemdziesiątym dziewiątym roku, jak padła komuna. Pozwolono im się tu osiedlać. Trzecia fala to ci, co postanowili rzucić wszystko i uciec w Bieszczady, ale tych najmniej. To na przykład ja.

– Co rzuciłaś?

– Zieloną Ukrainę. Moja matka ze Lwowa, ojciec Polak, stąd mam obywatelstwo. Wychowałam się we Lwowie, skończyłam architekturę, ale w Polsce moim dyplomem można sobie podetrzeć dupę. Trafiłam tutaj na wycieczkę i zostałam. Ot tak, z dnia na dzień. Zakochałam się w Bieszczadach, a teraz w Romusiu. I tak chyba zostaniemy tutaj już na zawsze.

– Piękna historia – stwierdził Kosma.

– A ty, zakochany jesteś? – zapytała.

– Informacja za informacją – powiedział i podniósł palec ostrzegawczo. – O Edgarze miało być.

– No tak, racja. Nazwiska nie znam, wszyscy mówią mu po imieniu. Ma ładny domek i niesamowity talent. Robi dla nas ręcznie malowane pamiątki, dodatkowo wędzi mięsa i sery, ma pasiekę, dostarcza nam swoje produkty dla gości. Jadłeś wczoraj przy ognisku jego kiełbasę, niezła, co nie?

– Zaczyna.

– Co go tu przywiało, to nie wiem. Podobno był znakomitym kucharzem, najlepszym w Polsce, ale coś się stało i znalazł się tutaj. Może kogoś zabił? Może nie wytrzymał psychicznie? Może zostawiła go żona? Nie wiem, nikt o tym nie chce mówić, bo tu się o takie rzeczy raczej nie pyta. Mało kto trafia na takie odludzie ot tak, bo lubi góry. Większość ma coś, czego nie chce już spotkać na swojej drodze, i mała jest szansa, żeby to coś zabłądziło w Bieszczady. Ale Edgar jest grzeczny i niegroźny, nie masz się czego bać.

– Nie boję się.

– To co z tą miłością? – zapytała, upijając piwa z butelki. – Coś czuję, że jakaś niewiasta złamała ci serce.

– Serce? – zaśmiał się Kosma. – Żeby tylko. To pamiątka po mojej ostatniej ukochanej – powiedział, wskazując bliźnię.

– Zadbała, żebyś myślał o niej każdego dnia do końca życia, nie ma co. Ale jak to mówią: jak kochać, to na śmierć i życie.

– Nie wiem, może i tak, w każdym razie ja zakochiwać się nie zamierzam.

– A poprzednio planowałeś? – zapytała z uśmiechem. – Nieważne, nie odpowiadaj. Po co nam miłość, skoro mamy piwo, słońce i Bieszczady?

– Zdrowie.

Stuknęli się kufkami i wypili po solidnym łyku. Kosmie zadzwonił telefon, na co Luba wstała ze swojego krzesła.

– Odbierz spokojnie, ja i tak muszę wracać do obowiązków – powiedziała i weszła do schroniska.

Dzwonił Kacper.

– Dokonałem pracy śledczej – obwieścił na powitanie. – Coś, czego może kiedyś się nauczysz. Sprawdziłem owego Adama Kamińskiego, sługę Watykanu do specjalnych poruczeń, to jest sprawdzania, czy objawieni Jezus i Maryja to faktycznie Jezus i Maryja, czy też jednak nie Jezus i Maryja. Skończył seminarium we Wrocławiu trzydzieści pięć lat temu, bez ani jednego pouczenia, zastrzeżenia czy kary wpisanej do akt. Żołnierz bez

skazy na honorze i ani jednej plamki na czarnym mundurze. Nigdy nikogo nie molestował, wykonywał swe obowiązki sumiennie. Rzadkość w firmie, tyle mogę powiedzieć. Gość, niestety, był kryształowo czysty.

– Dlaczego niestety?

– Czasem mi się wydaje, że do policji to biorą tego, co nie ucieknie ze wsi, jak przyjeżdża werbunkowy. Kogoś na tyle głupiego, że nie potrafi pobiec w linii prostej do najbliższych krzaków. Niestety, drogi podkomisarzu czy kim ty tam jesteś, bo jakby miał z kimś widoczne konflikty, to mielibyśmy motyw, potencjalnego sprawcę.

– Mielibyśmy?

– Kosmyk, przecież stanowimy nierozłączny duet. Z moim intelektem, znajomościami i przenikliwością oraz z twoją odznaką policjanta i rozkoszną głupotą jesteśmy postrachem wszystkich przestępców. Teraz będzie podobnie jak we Wnykach, rozwiążemy sprawę, na końcu dostaniesz po ryju i otrzymasz od wuja nowe bmw.

– Kacperku, on podpadł wielu ludziom. Naprawdę wielu. Wiesz, ile jest objawień, na których ludzie chcą zbić majątek? Dziesiątki rocznie.

– To niegroźni idioci. Najważniejsze, że nie ma oczywistego motywu. Ale dobrze, podpytam jeszcze, czy ktoś mu tam za kulisami nie wygrażał pięścią. A czego ty dziś dokonałeś?

– Byłem u proroka na audiencji.

– Doznałeś wielu łask? Może zarosła ci ta blizna? Przybyło rozumu?

– Nic z tych rzeczy. Byłem służbowo, organista Zenek nie widział się z ofiarą na oczy. Księża proboszcza nie lubi. Plecie farmazony jak wszyscy nawiedzeni.

– Widziałeś jakiś sprzęt do nagrań czy też inne przejawy nowoczesności niezbyt pasujące do bieszczadzkiej chałupy?

– Nie. W środku nic szczególnego, ale nie byłem we wszystkich pomieszczeniach, na dachu żadnych widocznych anten.

– Musi być jakaś antena, może wypadałoby dronem tam podlecieć? Najlepiej to się tam włam, i chuj.

– Nie umiem się włamywać.

– Banalnie proste, Kosmyk. To lato, spokojna wieś. Jak ten samozwańczy głos boży zacznie znowu pierdolić pod lipą, to podejść do chałupy i sprawdzić okna, na sto procent któreś będzie uchylone.

– Jeśli ma coś na sumieniu, to raczej wszystko pozamyka.

– To wybijesz.

– Może mieć alarm.

– Kosma, jeśli kościelny z ostatniej wsi w Polsce ma dom z alarmem, to śmierdzi bardziej niż tłumaczenia Dziwisza, że nic nie wiedział o pedofilii w Kościele. Myślę, że wtedy możesz nasłać prokuratora z nakazem przeszukania. To dobre, naślesz proroka na proroka.

– No nie wiem.

– Na szczęście masz mnie, a ja wiem. Wykonać!

– Zrobię, co w mojej mocy.

– I to chciałem usłyszeć. Zadzwoń po wykonaniu zadania i niech cię w tej trudnej sztuce kradzieży wspomaga święty Dyzma, patron złodziei. Z Bogiem!

Kosma spojrział na telefon, zastanawiając się, czy to raczej jego przyjaciel nie powinien być policjantem, a on księdzem, jednak rozważania przerwał dzwonek nadchodzącego połączenia. Był to obcy numer, Kosma odebrał odruchowo.

– Ejcherst – rzucił do słuchawki.

– Aspirant Paweł Nowak – przedstawił się rozmówca. – Rozmawialiśmy, dzisiaj rano na komendzie.

– Tak, kojarzę.

– Mamy ten monitoring.

– Jak szybko, brawo. Coś ciekawego?

– Tak. To znaczy chyba tak. W sumie nie wiem. Nic podejrzanego, ale...

– Proszę mówić po prostu.

– Przejeżdżał przez Ustrzyki, mamy go na kamerach, no i zatrzymał się.

– Spotkał się z kimś?

– Nie. Zaparkował pod sklepem na ulicy Pierwszego Maja i zrobił zakupy. Tyle.

– Co kupił? – zapytał Kosma, będąc pewnym, że Nowakowi nie chciało się sprawdzić.

– No to jest dziwne – powiedział policjant. – Otóż pasztet wieprzowy w słoiku i butelkę wina.

– Coś na kanapki i wino na wieczór – stwierdził Kosma. – Nie nadużywał alkoholu, więc wino do kolacji to nic dziwnego.

– Nie sądzę, aby chodziło o kolację, nawet romantyczną.

– Dlaczego?

– To było tanie wino. Jaból. No, ta, pryta. Mózgotrzep. Najtańsze i najpodlejsze, jakie mieli w sklepie.

– A to dziwne.

– Według mnie chciał kogoś przekupić, jakiegoś żula. Oni piją takie rzeczy na okrągło. Winko i zakąska.

– No dobrze, czy kamery nagrały coś jeszcze? Podjechał do jakiegoś domu? Rozmawiał z kimś? Spotkał jakiegoś żula?

– Nie – odpowiedział z zadowoleniem policjant. – Nawet koledzy sprawdzili kilka kamer na stacjach i przy sklepach po drodze do Bielm i nigdzie nie widać, żeby się zatrzymywał, czasy też się zgadzają. Wygląda na to, że zrobił zakupy i pojechał prosto do Bielm. W sklepie był o szesnastej, ksiądz mówi, że u niego zjawił się o siedemnastej trzydzieści. Wszystko się zgadza.

– Czy w jego samochodzie znaleziono te rzeczy?

– Nie, ani jednej. Nie było ich także w stawie. Nurek ze straży zrobił dokładne oględziny, w końcu to mogło być miejsce zbrodni.

– Dziękuję. I to jest porządnie zrobiona policyjna robota – pochwalił Nowaka.

– Tak jest. Jeszcze posprawdzamy to i owo, odezwę się, jak coś. I z Piotrkim się zdzwonię, znaczy z podkomisarzem Sepiołem, który jest na urlopie w Chorwacji. Podpytam go, co i jak.

– To jesteśmy na łączach – rzucił Kosma i się rozłączył.

Tok rozumowania aspiranta Nowaka był dobry. Po co księdzu tanie wino i najgorszy pasztet? Sam nie gustował w takich rarytasach wątpliwej jakości, to pewne. Ze swoją pozycją stać go było na dowolny alkohol i obiad w drogiej restauracji. Komu chciał wręczyć tak oryginalną łapówkę? Sam tego nie wypił, wyszłoby na sekcji. Nie zjadł także pasztetu.

Kosma dopił piwo i poszedł zapytać, czy może znowu pożyczyć rower. Jeśli miał włamywać się do czyjegoś domu, musiał podjechać cicho. Dostał pozwolenie oraz garść wskazówek dotyczących tego, jak dojechać do domu Edgara.

6.

Zatrzymał rower przed domem tajemniczego kucharza, który zaprosił go na kolację. Wskazówki udzielone przez Lubę były dokładne, nie miał problemu z dotarciem na miejsce. Domek okazał się bardzo schludnym drewnianym budynkiem otoczonym zielonym płotkiem. Na podwórzu pyszniła się spora altana, wymurowany grill i chyba wędzarnia, co można było wywnioskować po zawieszonych w czymś na wzór szafy kołkach i zwisających z nich kawałków mięsa.

– No jesteś – powitał go głos gospodarza, który chwilę później wyszedł z za węgła domu i chyba był szczerze uśmiechnięty. – Zapraszam w me skromne progi. Wszystko już czeka.

– Nie wiedziałem, o której przyjść. – Kosma odstawił rower pod płot i ruszył w kierunku wskazanym przez Edgara do stołu pod altaną mocno obrosniętą winoroślą, na której już zaczynały czerwienić się dorodne winogrona.

– Teraz to jest czas umawiania się co do minuty, paskudny zwyczaj. Kiedyś po prostu przychodziło się do znajomych i zawsze

było się mile widzianym. Każdy miał coś pod ręką na taką okazję, a i gość coś przynosił.

Kosma właśnie zorientował się, że przyszedł z pustymi rękami.

– Nic nie mam – odpowiedział, drapiąc się po głowie.

– Nie traktuj tego jak przytyk, zostałeś zaproszony w gošcinę i wszystko jest na miejscu. Zaczniemy tak, jak się winno zaczynać wszystkie biesiady: od zaostżenia apetytu.

Wyjął z małej skrzyni stojącej z boku kamionkową butelkę, odkorkował z charakterystycznym głošnym „mpup”.

– Gorzałka na miodzie i tarninie, czyli rzeczach, których w Bieszczadach nie brakuje.

Nalał ostrożnie do dwóch kamionkowych kieliszków, po czym zakorkował pieczołowicie butelkę.

– „Chocia w Polsce gorzałkę od dawnych lat znacie, a wždy do niej takich cnót, które ma, nie znacie, przeczytajcie też tę książeczkę Gorzałkopijowie, Obaczycie, jaką moc ma: ratować zdrowie”³ – wyrecytował i wychylił swój trunek. Kosma uczynił to samo. Wódka miała niesamowity słodko-gorzki posmak, palący, ale przyjemny.

– Kieliszek na pusty żołądek ma wzniecić ogień w trzewiach jak chuć przed spotkaniem z kochanką. Głód wzrasta i człowiek naturalnie staje się bardziej uważny na smaki.

– Oj tak, zakręciło mnie w kiszkaach – zgodził się Kosma.

– Zatem przystawka. – Edgar klasnął w dłonie. – Kaczka pieczona, marynowana w occie jabłkowym, podana na zimno w sosie z żurawiny i ostrej papryki. Danie łagodne na początku, a podczas podróży przez język ukazujące swą moc, coraz bardziej dające o sobie znać, by na końcu wypełnić usta piekłem słodkiej pikanterii.

Wstał od stołu, zniknął w głębi domu i po chwili wyszedł z dwoma talerzami. Na każdym było kilka plastrów upieczonej piersi z kaczki otoczonej małym murkiem z gęstego, czerwonego sosu.

– Zanika zwyczaj przystawek, a niedobrze – stwierdził gospodarz. – To przecież jest jak pierwszy pocałunek, zanim człowiek odda się miłosnemu aktowi. Pokazuje nam, z jaką namiętnością mamy do czynienia, czym zostaniemy zaskoczeni, czy przed nami czas uniesień i intensywnych doznań, czy raczej spokojna, acz przyjemna podróż przez krainę rozkoszy. Co potrafi druga strona, czy to wytrawny ekspert, czy też samouk z talentem. Czy ten pierwszy kulinarny pocałunek da naszemu językowi to, czego oczekujemy, czy też może jest zbyt brutalnie albo wręcz przeciwnie, doznania są niewystarczające? – Spojrzał pytająco na Kosmę.

– Aż nadto wystarczające – odparł policjant, czując, jak delikatne mięso otoczone brązową skórką i cienką warstwą tłuszczu rozpływa się po podniebieniu, jakby było z lodu, kłuje delikatnie w język, a potem do akcji wkracza bordowy sos, słodki i niemal natychmiast ostry. Jakby człowiek został najpierw pocałowany z czułością i spoliczkowany mgnienie oka po tym, gdy wargi kochanków się rozstały.

– Wyśmienicie – ucieszył się gospodarz. – Zatem sprowadza cię tutaj sprawa utopionego księdza?

– Tak.

– Też mnie niepokoi. Tu jest bardzo spokojnie, to strefa nadgraniczna i niemal co chwilę mamy patrol straży granicznej, więc nawet turystom nie w głowie jakieś dokazywanie. Dlatego się tutaj osiedliłem.

– W drugiej fali?

– Dokładnie. Widzę, że już cię wprowadzono w miejscowe określenia. Nie potrafię żyć z ludźmi na co dzień. Nienawidzę tej konieczności rozmów, uprzejmości, obowiązków. Wydawało mi się, że jeśli będę kucharzem, to stanę za garami i tylko będę podawał dania, coraz lepsze, wybitne. Jednak praca okazała się wiecznym młynem z dziesiątką współpracowników.

– I dlatego uciekłeś?

– Nie – zaprzeczył z westchnieniem i wyjął butelkę gorzałki. – Zabiłem żonę i dziecko.

Kosma spojrział na niego uważnie, ale Edgar nawet nie zmienił tonu mówienia.

– Jechałem z wesela, po wódce, wpadliśmy w poślizg, mój polonez zawinął się na słupie, oni siedzieli z tyłu. Trupy na miejscu. Potem rozprawa, zbyt łagodny wyrok, wyrazy współczucia. To jest kurewsko niesprawiedliwe, że gdy jesteś ludziom potrzebny, to łatwiej zapominają twoje grzechy. Byłem znany w towarzystwie, kucharz ministrów i koronowanych głów, dyktator smaku, niepodzielny król warszawskiej gastronomii, więc prokurator nie naciskał, sędzia rozumiał, wszyscy się uśmiechali, a przecież powinienem dostać czapę, wisieć w jakimś garażu, gdzie wykonuje się wyroki śmierci.

– To, że nie ma sprawiedliwości na świecie, to chyba największy truizm.

– Tak. Dlatego zostawiłem ten cały świat, który nie chciał mnie karać, który wybacza zbyt łatwo, patrzy przez palce na bogatych i sławnych. Nie po to, aby siebie ukarać, bo życie tutaj to jednak bajka. Powodem był fakt, że po powrocie do pracy współczuto mi, jakby to ktoś inny zabił moich najbliższych. Nie mogłem znieść tego zakłamania. Pewnie tam za plecami mówili swoje, ale prosto w oczy nigdy. Byłem ich szefem. Dla wielu kimś, kto zadba o żołądek głowy państwa na wizycie dyplomatycznej. Cennym człowiekiem. No i pojebałem to.

– Rozumiem.

– Świetnie, bo czas na zupę.

Edgar napełnił ponownie kieliszki i gdy je opróżnili, wstał od stołu, zabrał talerze po przystawkach i znowu zniknął w domu. Wyszedł po chwili z dużą drewnianą tacą, na której stały dwa podgrzewacze i metalowy kociołek o wielkości miski na sałatkę. Postawił całość na stole, a z drewnianej skrzyni dobył dwóch glinianych misek.

– Rosół z dziczyzny – powiedział tym razem ze skromnością i bez kwiecistych metafor.

– Pachnie obłędnie.

– Bo jest gorący. Największym grzechem jest podanie komuś odgrzanego rosołu. Winien mrugać na ogniu do ostatniego momentu, bo inaczej smak zmienia mu się diametralnie. Zatem przelewaj na bieżąco do miski. Tutaj są też ciepłe kołduny. – Wskazał małą metalową miskę na tacy.

– Łatwo tu o dziczyznę? – zapytał Kosma.

– Bardzo – odparł Edgar. – W tym przypadku w garnku spotkała się kuropatwa z bażantem i żubrem. Reszta dodatków klasyczna, świeże warzywa z własnej działki. W kołdunach mięso z rosołu oraz pesto z czosnku niedźwiedziego i grubo zmielonego pieprzu. I nie dziw się, że podaję rosół. Oto danie, które pokazuje nam, jak gotuje dany kucharz. Najprostsze i chyba najstarsze danie kuchni polskiej, często bagatelizowane, a jednak to wyznacznik tego, co potrafimy jako kuchmistrzowie. Nie ma tu wymyślnych przypraw, dodatków egzotycznych sosów czy smaków nieznanymi naszymu językowi. Z prostych składników musisz przygotować tak wyważone danie, aby żaden z biesiadników nawet nie pomyślał o jakichś przyprawach. Wygląd od razu mówi, czy ktoś cię nie oszukał, jeśli po wierzchu pływa żółty osad, a nie oczka tłuszczu, to zbrodniarz dodał gotowej przyprawy albo kostki rosółowej. Gonić takich z kraju!

Kosma wrzucił kilka kołdunów do miski i wlał srebrną chochelką rosołu. Był cały czas wrzący i aromat potrawy uderzył go w nos z taką siłą, jakby pod przykrywką nie skrywał się rosół, ale setka kulinarnych demonów chcących jak najszybciej uciec ze swego więzienia. Smak dorównywał aromatowi, był mocny, pozostawiał na języku tłusty film, a przegryziony kołdun natychmiast go zmazywał, wypełniając usta ziołowo-czosnkowym posmakiem.

– Masz podejrzanych? – zapytał Edgar. – Bo podobno to wypadek był, z tym księdzem.

– Taka jest oficjalna wersja.

– Nie wierzysz w nią?

– A ktoś w Bielmach wierzy?

– Bielma to tak naprawdę trzy wsie, mój przyjacielu. Pierwsza fala traktuje resztę, jakby ci wpadli tu na chwilę, i nie rozmawia z nimi na żadne tematy, od nich też nie dowiesz się niczego o historii powojennej, to temat tabu.

– A gosposia księdza? Też z nim skłócona i obrażona o te objawienia, tak mówił on sam.

– Podobno obrażona, ale nie o to poszło tak naprawdę.

– A o co?

– Ludzie nie mówią, ale ja swój rozum mam. Mnie się wydaje, że oni to sobie żyją jak mąż z żoną i to taka właśnie kłótnia starego małżeństwa. Może się sobie znudzili? Może znalazł młodszą? Teraz tylu pielgrzymów, może przyszła jakaś do spowiedzi, kto wie. Tutaj bym szukał istoty problemu, ale czy ona znowuż ważna dla tego topielca? Jak wspominałem, tutaj nigdy się nic nie działo strasznego, więc nie sądzę, żeby ktoś na niego podniósł rękę, ale mogę się mylić.

– Bezpiecznie u was, powiadasz?

– No tak.

– Ktoś mnie napadł wczoraj w nocy w lesie, jak wracałem do schroniska.

Edgar zastygł z łyżką zmierzającą do ust. Jego rzymska uroda sprawiła, że wyglądał jak kamienna rzeźba uczestnika cesarskiej biesiady.

– Kto?

– Nie wiem. Wyskoczył z lasu, przewrócił mnie i... przeprosił.

– Dziwne – stwierdził Edgar. – Nie polował na ciebie, ale na kogoś innego. Zmierzającego do schroniska, to pewne.

– Zgadza się.

– Czyli na właścicieli, Lubę, Romusia lub tego naukowca.

– Nie spotkałem go jeszcze.

– I nie spotkasz pewnie. Z tego, co wiem, to traktuje ten wyjazd jak wakacje. Porobił jakieś tam pomiary i baluje na koszt uczelni.

Łazi po górach.

– Muszę z nim pogadać.

– Powodzenia. No, czas na główne danie. Takiego ostatnio ładnego dziczka dostałem, że żał go nie zjeść.

– Mam nadzieję, że badany.

– Tak, mamy tego samego lekarza rodzinnego – zaśmiał się gospodarz, zgarnął tacę i zniknął w domu.

Wyszedł po chwili, niosąc kilka talerzy przykrytych metalowymi kopułami.

– Dzik pieczony w prawdziwym piecu opalonym dębowym drewnem – przedstawił danie Edgar i odkrywał po kolei talerze. – Do tego borowiki duszone w całości w śmietanie i rozmarynie oraz krewetki smażone na oleju z chili. Genialne połączenie. I przy okazji zdradzę ci tajnik kuchni, zastrzeżony dla mistrzów.

– Jaki?

Gospodarz uśmiechnął się, wyjął ze skrzynki sporą garść siana, położył je na pieczonym mięsie, podpalił, zajęło się jasnym płomieniem. Powoli przykrywał kopułą talerz, aż na końcu domknął ją na amen. Podniósł po chwili i ze środka buchnął świeży dym, pachnący jesiennym wypalaniem liści.

– Teraz będzie smakował, jakby był wędzony – oznajmił, nakładając mu dwa plastry mięsa, kilka borowików w jasnobrazowym sosie i parę krewetek.

– O rajuśku, przecież ty mógłbyś rządzić światem z takimi umiejętnościami – zachwycił się Kosma.

– Kto powiedział, że tak nie jest? – odparł i nałożył jeszcze łyżkę kaszy. – To pęczak, duszony kilka godzin z cebulą i wędzonym boczkiem.

Kosma już wiedział, że bardzo długo, może nawet nigdy w życiu, nie zje czegoś tak dobrego. Mięso było miękkie niczym świeżo wyprana pościel i faktycznie pachniało wędzarnią, borowiki były sprężyste i niemal pękały w zębach, a krewetki nadawały temu niesamowitemu, choć nieco mało doprawionemu

daniu właśnie to, czego było potrzeba: smagnięcie biczem ostrości. Za sam pęczak Kosma gotów byłby zapłacić każde pieniądze. Po przystawce i rosole miał wrażenie, że jest już najedzony, ale teraz zabiłby każdego, kto chociażby chciał wylizać za niego talerz.

– Edgarze, jesteś geniuszem – stwierdził, kończąc danie.

– Wiem – odparł gospodarz, ponownie napełniając kieliszki. – I powiem ci, że ugoszczenie ciebie czy też innych osób z Bielm daje mi więcej radości niż wszystkie dni przepracowane w restauracji i wykwinne obiady podawane prezydentom, ministrom i królom. Niestety, musisz mi wybaczyć, ale nie potrafię przygotowywać deserów. Nie lubię ich, zatem musi ci wystarczyć butelka z nalewką i świeże owoce.

– Wystarczy nalewka.

Edgar schował gorzałkę do skrzyni i wyjął z niej szklaną butelę z ciemnym płynem.

– Śliwowica z dzikich śliwek węgierek, zebranych, gdy już opadły po pierwszym przymrozku – oznajmił.

– Bogowie... – westchnął Kosma.

– Napijemy się tylko pod jednym warunkiem – powiedział gospodarz.

– Zgadzą się.

– Ha! Mimo wszystko wypada go poznać, czyż nie? Otóż wyjaśnisz sprawę tego utopionego księdza. Dasz mi spokój duszy, żebym mógł tu spokojnie dożyć ostatnich lat, niewiele mi ich zostało. No i tej nocnej napaści na ciebie. Ja chcę znowu czuć się bezpieczny, móc zasnąć na skraju lasu, gdy wracam narąbany ze schroniska. Obiecujesz?

– Tak – zgodził się bez wahania Kosma.

– Zdrowie.

Wznieśli kieliszki z nalewką i przypieczętowali umowę.

– Ale musisz mi nieco pomóc – powiedział Kosma, odstawiając kieliszek.

– Pytaj.

– Co ty o tym wszystkim myślisz, o objawieniach, o Zenku, przecież go znasz.

– Ja do kościoła nie chodzę – odpowiedział Edgar. – Dlatego też wszystkich tych ludzi znam raczej z widzenia. No czasem zimą zachodzą do schroniska, tam się spotykamy i pogadamy, jak za dawnych czasów w gospodzie, ale niewielu z Bielm tam chadza. Gdzieś tam im za skórą siedzi, że Paulina i Łukasz to obcy, a przejęli dworek. Nie lubili też ich wuja, który jako pierwszy prowadził schronisko i potem im zostawił cały interes. Wracając do objawienia, to Zenek udaje.

– Skąd wiesz?

– Bo oni wszyscy udają. Nie wierzę w ani jedno objawienie. Czasami przydałoby się, żeby Jezus zszedł wreszcie na ziemię i powiedział: koniec, kurwa mać, tego dobrego, skończcie już odpierdalać te teatrzyki, bo wstyd! Zenek ma w tym interes, to pewne. Za ładne to wszystko, za dobrze opakowane. Nie ma poparcia nikogo z pierwszej fali, nikt tam do niego nie przychodzi, a musi być ku temu powód. Robi się za głośno, a Bieszczady kochają ciszę.

– Czyli Zenek to oszust?

– Tak. Ale nie morderca, jeśli o to chciałeś zapytać, zresztą... – Edgar ucichł na chwilę. – Zresztą skąd ja to mogę wiedzieć? Ci z pierwszej fali przyjechali tu przymusowo, władza kazała albo coś obiecała i poszli. Ci z drugiej fali najbardziej podejrzani, pewnie każdy ma coś za kołnierzem. Ci z trzeciej znowu to mieszanka idealistów, romantyków z nieudacznikami, albo się zakochali w tym miejscu, albo im coś w życiu nie wyszło. I wiesz co?

– Tak? – zapytał Kosma, bo Edgar znowu ucichł na chwilę.

– Jak się tak zastanawiam, to ja się tutaj z nikim dobrze nie znam. Większość była u mnie na obiedzie, ale żeby odbyły się jakieś szczerze rozmowy, to nie. Wiesz, jak u cioci na imieninach, każdy ponarzeka, bo głupio się chwalić, kogoś obgada, bo wypada to zrobić, ale nie zwierzy ci się z problemów. No Ramki znam, czyli właściciele schroniska, bo często u nich bywam, handlujemy

razem, zamawiają mi z hurtowni różne frykasy do gotowania, jak krewetki chociażby. Ale oni też czasu na plotki nie mają, wiecznie w robocie. Nawet czasem pomogę, szczególnie w zimie, drewna porąbię, szambo odetkam, takie rzeczy. Jak mają dużo gości, to i bywa, że w kuchni pomogę. Ale reszty nie znam, cholera jasna.

– Nic się nie dzieje – powiedział Kosma, widząc, że gospodarz mocno się przejął sytuacją.

– Nie rozumiesz. Ja naprawdę zniknąłem ze świata. Całkowicie. Niby czuję się tutaj bardzo u siebie, ale jakbym dopiero przyjechał. Nie jestem swój, tylko obcy.

Nalał do kieliszków nalewki, wypił szybko, nie czekając na Kosmę.

– No dobra, a kto będzie coś wiedział? W każdej wsi zawsze jest ktoś od monitoringu, kto wie o sąsiadach zdecydowanie za dużo.

– Proboszcz – zaśmiał się Edgar. – Przecież wszystkich spowiada.

– Tajemnica spowiedzi.

– No to jego gosposia czy też konkubina, jak to teraz zwykło się mawiać. Spróbuj z nią.

– Tak też myślałem.

– A ja zrobię coś dla ciebie – oznajmił mocnym głosem Edgar. – Też popytam. A co! Przecież miejscowy jestem, to mi prędzej powiedzą niż tobie. Biorę rower i jadę do schroniska, pewnie ktoś tam będzie, bo dzisiaj mecz leci. Jedziesz ze mną?

– Mam jeszcze coś do załatwienia we wsi.

– Uważaj na siebie – powiedział gospodarz, wstając. – Zmartwiłeś mnie informacją o tym napadzie, takie rzeczy tutaj nie powinny się dziać. No, strzemiennego!

Polał im po kieliszku i obydwaj ruszyli do swoich zadań.

Zbliżała się noc, co spowodowało u Kosmy lekki niepokój. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że w Bielmach zło wcale nie czeka, aż zapadnie zmrok, żeby wziąć się do roboty.

7.

Kosma obawiał się, że jego przejazd przez wieś zostanie zauważony, a nie znał żadnej drogi na tak zwaną siagę, jak to mawiano w jego rodzinnych stronach. Jednak obawy okazały się zbędne, Bielma były ciche i ciemne, niemal opuszczone. To była godzina proroka, jeśli ktoś właśnie jechał rowerem przez wieś, to pewnie pod Świętą Lipę.

Rower zostawił z tyłu domu Zenka, wcześniej uważnie nasłuchując, czy jednak nikt z domowników nie został w środku. Otulała go cisza, tylko zwykłe odgłosy nocy świadczyły o tym, że jednak toczy się tutaj życie.

Może i Kosma nie umiał się włamywać, ale zasady znał. Po pierwsze, to nie dać się złapać. Po drugie, nie zostawić śladów, w tym celu zabrał ze sobą z samochodu rękawiczki jednorazowe, których używał podczas oględzin miejsc zbrodni. Po trzecie, to przypomniał mu się tekst Balcerka z serialu *Alternatywy 4*: „Co najspierw należy wykonać, jeżeli chcemy zrobić drzwi na tak zwaną pasówkę? No? Zapukać trzeba. Normalnie zapukać. Jak ktoś jest w środku, to otworzy. Wtedy się pytamy, czy tu mieszka pan Zabłocki, jak nie, to przepraszam, pomyłka”.

Zapukał, ale nikt nie otworzył.

Złapał za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Ach, gdzie podziały się te czasy, gdy nikt nie zamykał drzwi, bo sami swoi? Postanowił, zgodnie z radą Kacpra, obejść dom dookoła i poszukać uchylonego okna. Wypiął wcześniej z roweru halogen, ale na szczęście nie musiał sobie przyświecać, noc była dziś widna na tyle, aby móc spokojnie bawić się w bandyterkę.

Poszedł z powrotem na tył domu, aby zacząć z tamtej strony, po drodze jednak sprawdził trzy okna, wszystkie były zamknięte. Dotarł do drewnianych ścianek osłaniających miejsce, w którym przyjął go dziś Zenek. Szarpnął za jedną z nich, ale nie ustąpiły, chociaż poczuł luz. Podniósł ją do góry i przesuwiała się, nie była przykręcona, ale wsadzona w stalowy stelaż. Niech żyją tanie konstrukcje z hipermarketów. Wyjął całą ściankę i oparł o sąsiednią, podszedł do tylnych drzwi, zanim jednak złapał za klamkę, to założył rękawiczki jednorazowe. Było ciepło, więc

dłonie od razu zaczęły się pocić, czego nienawidził, ale trudno. Chwycił za klamkę i nie zawiódł się, drzwi były otwarte.

Wkroczył cicho do korytarza i odważył się zapalić latarkę. Przeszukiwanie domu po ciemku miało się z celem. Skierował się od razu do pomieszczenia, które skrywało się za zamkniętymi drzwiami. Na pozostałe rzucił okiem podczas dzisiejszej wizyty, to jedno było niedostępne.

Nacisnął klamkę i zobaczył pokój, dyskretnie oświetlony bladym blaskiem monitorów. Pod szczelnie zasłoniętym oknem stało biurko z czterema płaskimi ekranami zamocowanymi w dwóch rzędach. Trzy nie pokazywały nic szczególnego, widniała na nich jakaś fantazyjna tapeta i ikonki skrótów pulpitowych, ale jeden, ten w prawym dolnym rogu, wyświetlał obraz z kamery umieszczonej na wprost Świętej Lipy. Prorok znowu przemawiał, z głośnika umieszczonego w pokoju sączył się głos kościelny, ten sam, co wczoraj, spokojny, mocny, pewny siebie, budzący wątpliwości u słuchających.

Obok monitorów stał rozłożony laptop, a pod biurkiem duża jednostka centralna komputera pracująca z cichym szumem. Kosmą targnęła pokusa, aby wyłączyć po prostu maszynę i przerwać transmisję, ale był tutaj przecież w tajnej misji. Zobaczył oczami wyobraźni Kacpra, który grozi mu palcem, szykując moralizatorską gadkę pełną obelg i przekleństw.

W pokoju stało jeszcze tylko łóżko ze zmiętą pościelą i stara szafa pamietająca czasy PRL-u. Jej drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym skrzypieniem; okazała się pusta, ale za to w kącie za łóżkiem zobaczył dużą sportową torbę pełną ubrań, ewidentnie męskich. W środku było kilka koszulek, majtki, skarpety, obok wałało się parę zmiętych części odzieży. I to tyle, oprócz komputera i monitorów pokój nie krył żadnych tajemnic. Kosma wyszedł ostrożnie na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Ruszył dalej w głąb domu, co chwilę przystając i nasłuchując, ale w środku królowała cisza, nieprzerwana nawet tykaniem zegara, tak charakterystycznym dla mieszkań starszych ludzi. Młodzi zerkali na smartfony, nie w głowach im było nakręcać

sprężynę zegara czy spoglądać na kukułkę wyskakującą ze swej zegarowej kryjówki o pełnej godzinie.

Kosma przeszukiwał metodycznie kolejne pomieszczenia, ale w żadnym nie natrafił na nic ciekawego. Klasyczny salon i sypialnia, kredens ze szkłem, szuflady z dokumentami, jakieś szpargały, stare zdjęcia, pamiątki i pocztówki od rodziny. Kuchnia również wpisywała się we wszelkie standardy normalności, tyle że lodówka była bardzo dobrze wyposażona, ale uzasadniał to pobyt szwagra Zenka oraz tajemniczego mieszkańca pokoju z monitorami. Kim mógł być ten człowiek? Dlaczego nie pilnował transmisji? Może siedział pod Świętą Lipą i dbał o dobre ujęcia z kamery? Przecież ktoś prowadził transmisję z tych uświęconych spotkań, Kacper od razu to wychwycił, teraz mieli tego potwierdzenie. W domu nie znalazł niczego, co wskazywałoby na udział Zenka w śmierci księdza. Liczył w duchu na butelkę taniego wina czy pasztet, o których wspominał miejscowy policjant, ale nic z tych rzeczy.

Postanowił jeszcze zrobić kilka zdjęć pokoju z monitorami i przesłać je do Kacpra. Chociażby na dowód, że nic tu nie jest takie proste, jak się wydaje. Chrystus nie zszedł z nieba, aby głosić kazania na górze, mieli do czynienia z Zenkiem, samozwańczym prorokiem i wspomagającym go specem od elektroniki.

Kosma wszedł ponownie do pokoju oświetlonego bladym blaskiem monitorów i wyjął telefon. Rozerwał czubek rękawiczki na palcu wskazującym, aby móc obsługiwać ekran dotykowy smartfonu, zrobił najpierw zdjęcie ogólne, a potem postanowił złapać każdy z monitorów. Były tam skróty do różnych aplikacji, co komuś znającemu się na oprogramowaniu mogło wiele powiedzieć.

Przesunął obiektyw na monitor pokazujący transmisję spod miejsca objawień. Ekran wypełniała olbrzymia lipa, stojący pod nią prorok mówiący swoje spokojnym głosem, ludzie wpatrzeni w niego jak w księdza podczas kazania. Z głośników ustawionych koło monitora dobywał się lekki szum. Kosma pochylił się i podkręcił głośność czarnym pokrętle.

– Bóg uzdrawia tych, którzy się modlą – powiedział Zenek pewnym głosem. – Modlitwa to nasz kontrakt z Bogiem. Modlę się, jestem twój i w tobie pokładam nadzieję. Wypowiadam słowa tobie miłe, ciebie chwalcę, oddaję się w twe władanie cały, ciałem i duszą, może i moja przeszłość nie była piękna, może wiele w niej mogło ci się nie podobać, ale od tej chwili, od pierwszego słowa modlitwy aż do mojego ostatniego oddechu na tym świecie jestem twój. Nie do słowa „amen”, ale do końca swych dni.

Zenek przymknął oczy i pochylił głowę, masując dłonią czoło, przypominał w tej chwili ikoniczne przedstawienie Chrystusa frasobliwego. Westchnął i podniósł głowę.

– Szczerść! – podjął swą przemowę prorok. – W modlitwie nie słowa są na pierwszym miejscu, nie ilość odliczonych na różańcu koralików, ale szczerść. Możesz odmówić dziennie i tysiąc dziesiątek różańca, ale jeśli będzie to tylko powtarzanie słów, pustych, byle za koleją, aby bić rekordy, to lepiej tego nie rób. Jedna modlitwa z serca, nawet niespisana w żadnym modlitewniku, powiedziana własnymi słowami, ale szczerza, ma większą moc niż ten tysiąc dziesiątek odklepany byle jak. Nie wiercie, że jedna modlitwa ma większą moc, a druga mniejszą, bo użyto w niej innych słów. To tylko słowa. Bóg to nie magiczna istota, do której należy wypowiadać czarodziejskie formuły właściwie uporządkowanymi słowami. Do niego nawet nie trzeba mówić. Trzeba po prostu spojrzeć w siebie i oddać mu całe życie, nawet i bez słowa.

Ponownie zapadła cisza, głośniki komputera milczały, prorok spoglądał na zgromadzonych, jakby kogoś szukał, może tego, co niewłaściwie się modli, albo jednak osoby prawdziwie wierzącej.

– Szczerść – powiedział spokojnym głosem. – Dlatego ma taką moc, bo człowiek zły, z diabłem w głowie, nie potrafi się na szczerze oddanie Bogu zdobyć. Jego modlitwa nigdy nie zostanie wysłuchana, próżny trud. Może chodzić na msze nawet i dwa razy dziennie, może nawet samemu je odprawiać. Niech odmawia różaniec w nieskończoność, ale równie dobrze może recytować wiersze, bo taki sam odniosą skutek. Bez szczerści nie ma

modlitwy, bez modlitwy nie ma łaski bożej, bez niej zaś nie ma uzdrowienia. Duszy i ciała.

Kosma już miał odejść od komputera, jego misja była skończona, gdy zamarł wpatrzony w ekran. Nie wiedział, czy najpierw usłyszał wrzawę tłumu wiernych, czy zobaczył poruszenie wśród pielgrzymów.

Serce waliło mu jak młotem, mięśnie stężały, wstrzymał oddech, a zatrzymany na środku ekranu wzrok śledził mężczyznę, który z krzykiem dobył wielkiego noża, po czym rzucił się na proroka.

8.

Kosma naciskał mocno na pedały roweru. Sam siebie skarcił w myślach za to, że nie ruszył od razu pod Świętą Lipę, tylko spokojnie zamknął za sobą drzwi, nałożył na stelaż fragment drewnianego ogrodzenia, jednym słowem, zatarł ślady swojej niecnej działalności. Powinien kierować się odruchem niesienia pomocy i biec czym prędzej na miejsce tragedii, a nie postępować jak zawodowy włamywacz.

Kto chciał zabić proroka? Dlaczego? Kim był zamachowiec?

Wyświetlał jeszcze raz w pamięci obraz ujrany na monitorze, postaci w czarnej bluzie, która spokojnym, ale zdecydowanym krokiem rusza w stronę głośzącego swe kazanie proroka, nie przerywając marszu, wyciąga olbrzymi nóż i unosi go wysoko. Zenek dostrzega napastnika, wyciąga ręce w jego stronę, ale przecież jest całkowicie bezbronny, nie ma niczego pod ręką. Może potrafi się bić, ot tak, po chłopsku, dał kilka razy w życiu komuś w mordę, sam też kiedyś dostał, ale z człowiekiem uzbrojonym w nóż nie poradzi sobie.

Tragedia wisi w powietrzu, wszystko zawisa w czasowej próżni, jakby rękę uzbrojoną w nóż powstrzymał na chwilę sam Jezus Chrystus, chroniąc swego proroka, a może to tylko złudzenie, klasyczne przy dramatycznych wydarzeniach uczucie spowolnienia świata wywołane wpompowaną do mózgu adrenaliną.

Jednak to nie Bóg w magiczny, niematerialny sposób zmienia bieg wydarzeń, których, zdawać by się mogło, przerwać już nie sposób.

Nagle pojawia się drugi mężczyzna, jego szerokie barki bezceremonialnie zajmują miejsce na ekranie, łysa głowa odbija kilka refleksów światła, a ręka unosi się, uzbrojona w pistolet. Strzela trzykrotnie, z wprawą, jakby robił to każdego dnia, jakby po posłodzeniu porannej kawy dobywał broni i strzelał na wiwat, by obudzić resztę domowników. Pewna ręka, krótkie odstępy pomiędzy kolejnymi naciśnięciami spustu, zdecydowane ruchy. W głośnikach komputera strzały zabrzmiały jak trzy głośne kaszlnięcia, jednak napastnik z uniesionym nożem padł na ziemię jak ścięty kłos żyta, nie filmowo, z rozrzuconymi rękami, teatralnym krzykiem, ale jak ktoś, komu nagle przestało chcieć się żyć i w pół kroku postanowił zapaść się pod ziemię.

Kosma przejechał kilkanaście metrów ścieżki prowadzącej z posiadłości Zenka do głównej drogi przecinającej Bielma, po czym skręcił w prawo, minął plebanię z lewej, a kościół i cmentarz po prawej, po czym odbił w lewo pod Świętą Lipę. Tłum stał, lekkie falowanie świadczyło o poruszeniu, niemrawa wrzawa o wzburzeniu. Jakaś kobieta płakała, ktoś inny modlił się głośno klasycznym „Ojcze nasz”, starszy mężczyzna powtarzał dla odmiany w kółko „kurwa mać”, jakiś młody chłopak wymiotował, a mała dziewczynka piszczała, bezskutecznie uspokajana przez matkę. Klasyczny obraz reakcji zbiorowej na tragiczne wydarzenie.

Odstawił rower, opierając go o ogrodzenie. Wyjął odznakę i pistolet.

– Policja! – krzyknął. – Proszę zrobić miejsce!

Ludzie odwracali powoli głowy w jego stronę, ktoś wskazał palcem na drzewo, chyba pokazując mu drogę, lecz jego okrzyki niespecjalnie poruszyły tłum wiernych. W końcu jednak dotarł pod lipę, tłumek, jak to bywa w takich przypadkach, otaczał miejsce zdarzenia kręgiem, ale nie podchodził zbyt blisko, jakby martwy mężczyzna leżący w kałuży krwi mógł jeszcze wstać i rzucić się na nich z nożem w poszukiwaniu kolejnej ofiary.

Napastnik leżał na brzuchu z rozłożonymi rękami, wciąż w prawej dłoni ściskając groźnie wyglądający nóż. Ostrze było naprawdę olbrzymie, przypominało to używane przez szefów kuchni krojących z niebywałą prędkością cebulę w swych telewizyjnych show. Spod brzucha mężczyzny wypływała krew i było jej naprawdę sporo, czemu nie można się było dziwić, życie uciekło z ciała przez trzy nadprogramowe dziury, jak tylko mogło najszybciej.

Kosma uklęknął przy mężczyźnie i dla formalności sprawdził mu puls. Był niewyczuwalny. No to miał pewność, że napastnik nie powtórzy numeru znanego ze wszystkich horrorów, gdy w ostatniej minucie filmu zabity już co najmniej trzy razy morderca wstaje i atakuje nic niepodważającego głównego bohatera.

Prorok stał pod drzewem, blady jak ściana, ręce mu drżały tak, że Kosma podejrzewał nawet jakiś atak paniki. Wbijał wzrok w ciało leżące kilka metrów od niego i wyglądał, jakby chciał mu pomóc, ale coś po prostu sparaliżowało jego mięśnie i nie jest w stanie posunąć się nawet o centymetr, a tylko drżeć. Podniósł ręce na wysokość oczu i Kosma przez chwilę myślał, że uczyni nad napastnikiem znak krzyża czy też zacznie go wskrzeszać, ale Zenek tylko przyjrzał się swoim dużym dłoniom, jakby szukał na nich krwi, zacisnął je w pięści, co nieco uspokoiło drgawki.

Kosma spojrział w prawo i dostrzegł kogoś nie mniej przerażonego z kamerą w dłoni, bardzo małą, ale wyglądającą na profesjonalny sprzęt. Był to młody chłopak, miał góra dwadzieścia lat. Ubrany w długie spodnie i bluzę z kapturem założonym na głowę, mimo iż noc była niezwykle ciepła. Złapał wzrok Kosmy i natychmiast cofnął się i wmieszał w tłum.

– Gdzie jest ten, co strzelał?! – zapytał głośno Kosma Zenka.

Nie doczekał się odpowiedzi. Prorok wpatrywał się w swoje dłonie, na przemian rozprostowywał palce i je zginał.

– Uciekł – rzucił ktoś z tłumu. Był to mężczyzna koło pięćdziesiątki, ubrany w wędkarską kamizelkę. – Strzelił i tyle, uciekł od razu. Poszedł w las. – Wskazał tutaj palcem ciemność za Świętą Lipą.

– Niech pan zadzwoni po policję. Pod sto dwanaście – rozkazał mu Kosma. Mężczyzna skinął głową i sięgnął do jednej z kieszonek kamizelki po telefon.

Kosma podszedł do Zenka, który zdradzał ewidentne objawy szoku. Na szczęście wiedział, jak sobie radzić w takich przypadkach, każdy funkcjonariusz przechodził odpowiednie szkolenie. Dać człowiekowi w szoku bardzo proste zadanie, z którym na pewno sobie poradzi.

– Pamiętasz mnie? – zapytał.

– Tak – odpowiedź padła natychmiast, ale błędny wzrok jakby jej przeczył.

– Możesz mi powiedzieć, czy nic ci nie jest? Coś cię boli?

– Nie, nic. – Prorok opuścił ręce i spojrzał na niego. – To ty?

– Tak, to ja. Pamiętasz mnie?

– Ty strzelałeś? – zapytał Zenek, a jego oczy zrobiły się tak szerokie, jakby miały za chwilę wyskoczyć mu z czaszki.

– Nie, to nie byłem ja.

– To kto?

– Nie widziałeś?

– Nie. Ja nie. To nie tak miało być. Modlitwa, błogosławieństwo...

– To był jakiś szalenciec – powiedział spokojnie Kosma. – Usiądź pod drzewem, zaraz przyjedzie karetka, podadzą ci coś na uspokojenie.

Mężczyzna w kamizelce chyba nie był pierwszym, który powiadomił służby, bo daleko na końcu drogi dojazdowej do Bielm zobaczyli migające niebieskie światło.

Prorok tymczasem posłusznie usiadł pod lipą, oparł się o nią plecami i spojrzał na Kosmę.

– Czy on nie żyje? – zapytał.

– Napastnik? Tak. Został postrzelony trzy razy.

Nagle w tłumie znowu dało się słyszeć jakieś poruszenie i po chwili dołączył do nich proboszcz. Nie miał na sobie sutanny, a zwykłe dżinsy i podkoszulek, na stopach klapki.

– Co tu się stało? – zapytał ksiądz. – Przybiegł do mnie Walek Pietrucha i coś bełkotał o zamachu.

– Ktoś zaatakował Zenka – wyjaśnił Kosma, wskazując leżące w kałuży krwi zwłoki. – W tłumie znalazł się ktoś z bronią palną i zastrzelił napastnika.

– Jego? – zdziwił się ksiądz.

– Tak – potwierdził Kosma.

– Przecież to Klaudiusz. Waryjot.

– Kto? – zdziwił się Kosma.

– No Klaudiusz, mieszka pod samą granicą. Taki trochę pomyleniec, ale niegroźny. Ot, łązi, gada do siebie, czasem śpiewa na głos. Matka mu zmarła parę lat temu i od tej pory to odludek się zrobił. I że niby on z nożem? Nie wierzę.

Spojrzał na solidny majcher leżący tuż obok prawej dłoni napastnika.

– Klaudiusz... – powiedział Zenek, a z jego oka popłynęła łza.

– No on, na pewno – stwierdził ksiądz, klękając i odchyłając mu głowę na bok. – A jak, on!

– Proszę go nie dotykać – rzucił szybko Kosma.

– Dajcie spokój. – Proboszcz wstał, otrzepując kolana. – Wszyscy go tu znają. Do kościoła chodził, pomagał wszystkim, a to w sadzie, to przy lesie. Wody umiał z różdżką szukać, ale potulny jak baranek.

– Jaki był, to już koledzy z policji sprawdzą, spokojnie – odpowiedział Kosma, przerywając księdzu. – Faktem jest, że napadł na Zenka, i ktoś go zastrzelił. Będzie tutaj ciekawie przez następne kilka dni, to bez wątplenia. Tym bardziej że całość była transmitowana na żywo w sieci.

– Same łaski na nas spływają – stwierdził z rezygnacją proboszcz. – Najpierw Jezus objawiony, potem ksiądz utopiony, teraz waryjot postrzelony.

Tymczasem do Zenka podszedł jego szwagier i zaczął mu coś szeptać na ucho. Ten kręcił głową z niedowierzaniem, a może i zaprzeczeniem, kto wie. Na pewno był w szoku. Wstali i zaczęli iść, prorok był prowadzony pod rękę jak staruszek.

– Nie możecie stąd nigdzie iść. – Kosma zagroził im drogę.

– On musi odpocząć – oznajmił Ryszard, twardo prowadząc swojego szwagra w stronę domu.

– Musicie złożyć zeznania – zaprotestował Kosma.

– A co tu zeznawać? – zapytał mężczyzna, przystając na chwilę. – Chcieli zabić proroka, opatrność go obroniła, jak Jana Pawła II. Nigdzie się nie wybieramy, jak już tutaj posprzątają, to będą wiedzieli, gdzie nas znaleźć.

Ryszard ruszył w stronę domu, pociągając za sobą Zenka. Ten cały czas mamrotał pod nosem, że to nie tak powinno być.

9.

Gdy Kosma trzy godziny później odstawił rower pod ścianę schroniska, czuł naprawdę solidne zmęczenie. Dzień był długi i obfitował w moc wydarzeń, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Po zamachu na Zenka czy też Samuela, jak już coraz więcej ludzi mówiło o starym kościelnym, pomógł przybywającym na miejsce służbom skoordynować swoje działania. Począł, aż udziela pomocy medycznej wszystkim zszokowanym pielgrzymom, zabezpieczył miejsce zbrodni, złożył pierwsze zeznania i odesłał aspiranta Nowaka, który także zjawił się w Bielmach, do transmisji w sieci. Zalecił, aby zabezpieczyli szybko nagranie i oddali w ręce specjalistów, może ci coś z niego wyciągną. Postanowił nie wspominać o pokoju z monitorami, ta wiedza niech na razie pozostanie przy nim.

Gdy wszedł do schroniska, westchnął ze znużenia, głównie na widok siedzących przy stole w sali jadalnej właścicieli obiektu, a także Luby i Romusia. Patrzyli na niego wyczekująco, zaprosili do stołu i musiał opowiedzieć wszystko, co widział.

– I że to niby Klaudiusz napadł na Zenka? – zdziwił się Łukasz Ramka, gdy opowieść dobiegła końca.

– No tak – potwierdził Kosma.

– Niemożliwe.

– Sam widziałem – powiedział. – Miał nóż i rzucił się na Zenka czy też proroka.

– Ale przecież oni się lubili. – Paulina także nie dawała wiary temu, co usłyszała.

– Klaudiusz przynosił nam ryby, zawsze w czwartki – powiedziała Luba. – A łapali je wspólnie z Zenkiem właśnie. To znaczy odkąd mu się ten Jezus objawił, to już nie chodzili nad rzekę czy stawy, ale tak to niemal co tydzień byli.

– Dokładnie – dodał Łukasz. – On do Zenka „wujku” mówił.

– Tak tutaj wszyscy mówią – wtrąciła Paulina. – To taka forma grzecznościowa.

Zapadła cisza przy stole, wszyscy patrzyli po sobie, czasem na rękę, gdzieś za okno. Kosma doskonale to znał. Ludzie nigdy nie chcieli wierzyć w to, że ich sąsiad, znajomy czy członek rodziny mógł kogoś zabić albo samemu stać się ofiarą. Przestępstwa były gdzieś daleko, miały swoje miejsce w kronikach kryminalnych lokalnych gazet, czasem w telewizyjnych wiadomościach, ale nie w rodzinnym domu czy nawet miasteczku. Zabił? Niemożliwe, był uśmiechnięty, miły, zawsze „dzień dobry” mówił, pomógł odśnieżyć podjazd, przynosił pomidory z działki, tak lubił dzieci. Jakby setki drobnych wydarzeń wpisanych w bycie człowiekiem negowały to jedno zdarzenie czyniące kogoś potworem.

– Może poczuł się opuszczony? – podrzucił Kosma. – Chciał się tylko pokazać, zwrócić na siebie uwagę. Jego decyzje nie musiały być racjonalne, sami mówicie, że to wariat.

– Waryjot, tak o nim mówiono – poprawiła go Luba.

– Klaudiusz to był niegroźny, leciutko szurnięty chłopak – powiedziała Paulina. – Jak czasem u nas sobie podpił, to wracał przez Bielma, śpiewając piosenki, zatrzymywał się przed każdą chałupą, budził gospodarza, życzył mu dobrej nocy, śpiewał dla

niego specjalną piosenkę i szedł dalej. Wszyscy go lubili. Muchy by nie skrzywdził.

– Wierzę wam.

I Kosma wierzył, bo i oni w to wierzyli. Ale o niczym to nie świadczyło, bo wiara to tylko uczucie, a nie fakt.

ROZDZIAŁ 6

BENIOWA, 2 CZERWCA 1946 ROKU

Każdą wieś pełną cywili można spacyfikować na dwa sposoby i major Koroniewski znał doskonale z autopsji zarówno jeden, jak i drugi. Oj tak, na wojnie i tuż po niej napatrzył się na takie rzeczy, których nikt nie powinien oglądać – mało tego, one nie powinny się nigdy wydarzyć. To, co człowiek potrafi uczynić bliźniemu, jasno dowodzi, że nie ma w nas pierwiastka boskiego, bo jeśli wierzyć, że Stwórca uczynił nas na swój obraz i podobieństwo, to musiałby być straszliwym skurwysynem.

W pierwszym przypadku używa się siły i przemocy, nie liczy się z ludzkim życiem i dąży do jak najszybszego opanowania obiektu. Najlepiej w tym celu na początku rozprawić się z najważniejszym ze wsi, jeśli ten wykaże chociaż cień sprzeciwu. Lubowała się w tym niezwykła Armia Czerwona, a przed nią stojący w swym mniemaniu o stopień wyżej w rozwoju cywilizacyjnym Niemcy. Przed nimi pewnie w historii tysiące, jeśli nie miliony, innych formacji, bo wojna nigdy się nie zmienia. Przemoc, strach i gwałty.

Drugi sposób polegał na zdecydowaniu, ale z poszanowaniem ludzkiego życia, i tę drogę obrał w przypadku wysiedlenia Beniowej i Sianek. Niestety, tutaj także trzeba było pokazać, że żartów nie ma, a co najważniejsze, nie istnieje droga powrotu.

Obydwie wspomniane metody łączyła jedna niezmienna rzecz: płacz dzieci i lament kobiet oraz gniewne miny mężczyzn.

Doskonale ich rozumiał; gdy jako ojciec i głowa rodziny stajesz w obliczu siły, wobec której jesteś bezradny, pozostaje ci zaciskać pięści i zacisnąć zęby, bo nic innego nie uczynisz.

– Każda rodzina ma godzinę na spakowanie swojego dobytku! – grzmiał z zaparkowanego pod rozłożystą lipą gazika sierżant Widecki, który głos miał donośny i dlatego został wybrany do

przekazania owej informacji. Wagę jego słów podkreślało kilkudziesięciu żołnierzy z karabinami wycelowanymi na razie w ziemię, lecz ich poważne twarze jasno informowały, że w razie potrzeby lufa może podskoczyć i postawić krwawy wykrzyknik na końcu zdania wypowiedzanego przez żołnierza.

– Dobytek musi zmieścić się na jednej furmance, nic więcej zabierać nie wolno. Wszelka chudoba ma być ostawiona w chatach. Zabierać rzeczy najpotrzebniejsze, dokumenty i odzienie. Dokładnie za godzinę zawyje syrena, żeby było ją w całej wsi słychać.

Major Koroniewski sam nie wiedział, co bardziej huczy w jego głowie, ten babsko-dziecięcy lament czy też gniewna cisza mężczyzn. Zdawał sobie za to doskonale sprawę z tego, co wisiało w powietrzu i jakie pytanie zaraz padnie, bo paść musi. I padło.

– A co? Strzelać będziecie? – zapytał starszy wioski, z którym wczoraj siedzieli przy jednym stole i przepijali wódkę.

– Jesteście obywatelami Rzeczypospolitej Ludowej, a do swoich obywateli wojsko nie strzela – odpowiedział sierżant. – Jednak aby utrudnić działania Ukraińskiej Powstańczej Armii, mamy rozkaz dokładnie za godzinę podpalić chaty.

Po ściśniętym tłumie mieszkańców przebiegł pomruk niedowierzania, oburzenia i trwogi. Wszyscy patrzyli nie na sierżanta ogłaszającego przykrą nowinę, ale na majora, który stał kilka metrów dalej w towarzystwie księdza. Ten starał się hamować napływające do oczu łzy i kiwał głową co bardziej narwanym z mieszkańców na znak, aby nie czynili rabanu, że tak trzeba, że z armią się nie wygra, że władzy się nie stawia, bo może dojść do tragedii.

– Jak to tak? – zapytał starszy. – My tu się rodzili, sami chaty budowali, dbali, gospodarzyli, a wy palić będziecie? Nasze chyże? I co z nami będzie? Też z dymem pójdziemy?

– Każda rodzina dostanie nowy, murowany dom i odpowiednie gospodarstwo, aby mogła na nowej ziemi zamieszkać. Mebli nie brać, bo domy wyposażone. Nikomu krzywda się nie stanie, bo

władza ludowa o swoich obywateli dba. Będzie się wam lepiej żyło, blisko miasta.

– A bo nam tu źle? – zapytał buńczucznie starszy.

Sierżant spojrział na majora, a ten skinął głową. Ustalenia były jasne: miał poinformować, zapewnić o lepszej przyszłości, ale już w dyskusje się nie wdawać. Trzeba było działać, mocno i szybko, nie pozwolić na jakiegokolwiek przeciwdziałanie, byli wojskiem, a w armii sprawy miały się jasno: padał rozkaz, należało wykonać.

– Macie godzinę, dobrzy ludzie – zarządził sierżant i dał znać jakiemuś szeregowemu, aby uruchomił syrenę. Ten energicznie pokręcił korbą urządzenia i nad wsią popłynęło zawodzenie syreny.

Koroniewski przypomniał sobie spotkanych w Berlinie po pokonaniu Niemców żołnierzy brytyjskich, a dokładnie z Irlandii. Opowiadali przy wódce o swoim kraju i wspomnieli o Banshee, demonie, który pojawiał się w wioskach i swoim lamentem przepowiadał śmierć. Demony, upiory, duchy, to wszystko bujda. To ręka człowieka nakręcała syrenę, jej wycie zapowiadało śmierć, a palców na spustach też nie trzymały diabły, tylko ludzie.

Ludzie. Wszędzie ci ludzie, gdzie się nie pojawili, to zaraz robiło się mokro od łez. Lepsze to, niż gdyby było tu mokro od krwi.

Tak pomyślał major i wydał rozkaz, aby przystąpić do działania.

Przez pierwsze pięć minut ludzie jeszcze nie chcieli działać, ale gdy jeden śmiałek, który rzucił się z pięściami do żołnierzy, został zdzielony kolbą w twarz, mieszkańcy Beniowej poczuli powagę sytuacji. Zupełnie jakby w tym kraju wszystko musiało zostać opieczętowane krwią, bo inaczej nie ma żadnego znaczenia i nikt nie traktuje tego z należytą powagą.

Godzina. Jako żołnierz potrafiłby swój dobytek spakować w kwadrans i jeszcze kawy się napić przed drogą, ale co, gdyby mu przyszło wyprowadzać się z rodzinnego domu? Patrzył na ludzi miotających się w panice po swoich obejściach.

Co zabrać? Ubranie na lato czy już też na zimę? Meble? No przecież na furę nie wejdą. Kufer z wianem dla córki? Talerze i garnki? Wiadra? Cebrzyki? Pierzyny? Ikony? Samowar? A może

lepiej narzędzia gospodarskie, przecież tam może nie być, a wtedy czym orać? Czym siać, kosić, grabić, młócić? Jak drewno porąbać? Czym prząść i tkać? A co z zapasami? Co z żywiną, kurami, kaczkami, gęsiami, królikami, świnkami i kozą? A pies? Koty? Będzie tam coś na nich czekało czy gołe obory?

I gdzie jest to „tam”? Jak daleko? To ta zimna Syberia, o której mówią, czy może gdzieś bliżej? Mówili: „mebli nie brać”. A jak trafi się im kiepski dom i meble zezarte przez korniki, gdy u nich porządne, malowane i zadbane? Długo będą jechać? Bo trzeba na drogę coś zabrać.

Miejsca na furze ubywa szybko, tobołek łąduje obok tobołka i wóz, na który zdawało się kiedyś, że i cały świat by się zmieścił, nagle robi się ciasny, a jeszcze trzeba na nim rodzinę posadzić. Jedna rodzina, jeden wóz, a całe życie.

Kapłan stał obok majora i spoglądał na wszystko z miną smutną, zrezygnowaną, kogoś pogodzonego z losem, bo przecież skoro tak się dzieje, to musi być wola boża. Zanim stanęli pośrodku wsi, to major powiedział mu, jakie mają rozkazy i żeby pomógł im w całym przedsięwzięciu. Stawka była olbrzymia: nikt nie chciał ofiar, a przy tak nerwowej sytuacji mogło dojść do najgorszego.

– I będziecie chałupy palić? – zapytał kapłan.

– Tylko kilka z brzegu – odparł major. – Wczoraj moi ludzie wybrali te, które nie przeniosą ognia na resztę wsi.

– A cerkiew?

– Nie ma rozkazu – odpowiedział Koroniewski. – Wy możecie się dłużej pakować, zabierzemy was ze sobą po zabezpieczeniu wsi.

– O nie! – zaprotestował niespodziewanie mocnym głosem ksiądz. – Ja z nimi.

– Batuszka, wy tu zostajecie – oznajmił Koroniewski. – Nie pojedziecie z nimi, osoby duchowne nie są relokowane.

– To pozwólcie chociaż pojechać do punktu zbornego – zaproponował kapłan. – Błagam. Potem wrócę.

Major spojrział na duchownego, a następnie przeniósł wzrok na wioskę. Chaty zbudowane wokół potężnej lipy na przemian to zasysały, to wypluwały z siebie mieszkańców taszczących tobołki, które następnie lądowały na furmankach. Ile już widziało to drzewo? Ile jeszcze zobaczy? Chyba już niewiele, bo operacja „Wisła” miała za zadanie raz na zawsze wyludnić Bieszczady. Czy ktoś tu jeszcze przyjdzie, zamieszka, schroni się w cieniu drzewa w upalny dzień albo schowa przed wiosennym deszczykiem pod jej rozłożystymi gałęziami?

– Dobrze – zgodził się Koroniewski. – Chorąży Czerwiński was zawiezie, a potem wróćcie na miejsce. Pomódlcie się tam z nimi, pocieszcie. Sami się przekonacie, że krzywda się im nie dzieje, dostaną jedzenie i schronienie, a potem nowe domy. Jak wspominałem, porządne, dużo lepsze od tych lepianek. Tylko nie pchajcie się tam przed oczy urzędnikom, bo na duchowieństwo jest szczególna uwaga zwrócona.

– Jak zawsze – stwierdził duchowny. – Żadna władza nie lubi tych, którzy zanoszą modły do Boga, ale usuwając nas, Boga nie zabijecie.

– Batuszka, ja jestem żołnierzem, nie filozofem.

– Przede wszystkim człowiekiem, majorze.

– Do wczoraj myślałem, że nawet dobrym człowiekiem. Do wczoraj.

Major odwrócił się i ruszył w stronę cmentarza zatopionego w zieleni.

ROZDZIAŁ 7

BIELMA. TERAZ

1.

– Kiedy ranne wstają zorze, tobie ziemia, tobie morze, tobie śpiewa żywioł wszelki, bądź pochwalon, Boże wielki! – darł się Kacper, a Kosma zastanawiał się, po jaką cholere odebrał od przyjaciela telefon.

– Piąta rano! – rzucił do słuchawki. – Z chuja spadłeś?

– Jutrznia, Kosmyk – powiedział wesoło przyjaciel. – Wyparłeś wspomnienia z seminarium? Nie wiem, o której wstają policjanci, ale na filmach Vegi to właśnie na pięć minut przed świtem odpalają papierosa i piją zimną kawę. Ale tam to są, kurwa, policjanci, a nie takie miękkie faje. Łapią bandziorów, napierdalają ich krzesłem na komendzie, strzelają z pistoletów, mało tego, noszą przy sobie broń! Zawsze! Powinni to puszczać w szkole policyjnej, ale wam to pewnie tylko *Ojca Mateusza* serwują, stąd ta uroczą dupowatość.

– Kończę!

– Dostałem twoje zdjęcia i muszę się do nich odnieść.

– O piątej rano?

– Już pięć po, a ja spędziłem noc na biczowaniu.

– I jak się czuje twoja partnerka?

– Myślam się biczowałem, Kosmyk. Ja już wiem, dlaczego w tych wszystkich serialach policjant ma zawsze jakiegoś pomocnika z zewnątrz, chociażby księdza. Sami byście nawet kataru nie złapali, drzwi od komendy nie otwarli.

– I co na tych zdjęciach znalazłeś, o najprzenikliwszy z wyświęconych?

– Otóż elektronika w tajemniczym pokoju nie mniej tajemniczego proroka to profesjonalny sprzęt, ale taki z wyższej półki. Sam laptop to, poczekaj, mam zapisane, bobym nie spamiętał, Asus Rog Flow coś tam, coś tam, numerów dalej sporo, ważne, że kosztuje prawie piętnaście koła.

– Ile?!

– Ano właśnie! To już są kwoty, przy jakich nie zdziwi się tylko biskup, natomiast proboszcz jeszcze winien się rumienić.

– Skąd wiesz takie rzeczy?

– Nasz parafialny informatyk mi powiedział.

– W nocy?

– Lecz o północy rozległo się wołanie: pan młody idzie, wyjdźcie mu na spotkanie! Wtedy powstały wszystkie owe panny i opatrzyły swe lampy.

– Przypowieść o pannach roztropnych – stwierdził Kosma.

– Brawo! – ucieszył się Kacper. – Coś tam w tym pustym dzbanie jednak zostało. Więc mój informatyk zawsze czuwa, szczególnie w nocy, natomiast sypia w dzień. Klasyczny komputerowiec. Zna się na tych wszystkich monitorach, komputerach, kablach i internetach. Ale ważniejsza kwestia, o mój dumny przyjacielu, tyczy się zasadniczego pytania. Pozwolę ci zgadnąć jakiego.

– Skąd kościelny w zabiedzonej wsi na granicy świata ma taki sprzęt i potrafi go obsługiwać?

– Otóż to. Mówiłeś, że było tam posłanie kogoś obcego?

– Tak.

– To mógł być szwagier?

– Nie wygląda na hakera – powiedział Kosma. – Jedyne zabezpieczenie, z jakim potrafi sobie poradzić, to banderola na flaszcze.

– Zatem wykluczmy go. Musi być ktoś trzeci. Rola twoja: złapać gnoja!

– Chyba go widziałem. Młody chłopak, bluza z kapturem, kamera w ręku.

– O widzisz, to by pasowało.

– Musiał go ktoś nagrać. Mam nadzieję, że moi szanowni koledzy policjanci zabezpieczyli komplet nagrań uczestników tego kazania. Dziś co drugi nagrywa, mało kto po prostu cieszy się chwilą.

– To postaraj się go namierzyć – polecił mu Kacper. – Z Bogiem!

– Kacpejro, poczekaj.

– Co tam?

– Czy ty wierzysz w objawienia?

– Z rana ci się na dysputy teologiczne zebrało?

– Rozbudziłeś mą chęć poznania świata. Zatem wierzysz?

– Dokładnie w te?

– W te i inne.

– Wierzę w Boga, zatem jak najbardziej wierzę, że może się nam objawić, uleczać duszę i ciało. Tak oficjalnie odpowiem.

– A w te?

– Nie powiem „tak”, nie powiem „nie” – zanucił Kacper melodię przeboju Czerwonych Gitar.

– Jak zawsze enigmatycznie.

– Kosmyczku kochany, jestem skłonny uwierzyć, jednak wcześniej muszę wykluczyć wszystko, co mi w tym przeszkadza. Czy tutaj mogło dojść do prawdziwych objawień? A i owszem.

– Ale pomagasz mi w ich zanegowaniu.

– Nie, kochany, ja pomagam sam sobie w rozwianiu wątpliwości. Może i Zenek doświadcza kontaktu z Bogiem, czemu nie, zazwyczaj pada na biednych i głupich. Natomiast czuję, że ktoś chce na tym zarobić trochę pieniędzy, a to mi się nie podoba. Od zarabiania na Bogu jest Kościół katolicki, w tym ja, więc nie życzę sobie nieuczciwej konkurencji.

– Motywacja jasna.

– Najważniejsze, że prawdziwa – odparł Kacper. – A teraz leć szybciotko, bierz pistolecik i złap mi tego gnoja. No już.

– Miłego dnia.

Kosma odłożył telefon, postanawiając jeszcze trochę dospać, ale nie mógł już zmrużyć oka. W głowie ciągle kołatał mu się obraz z wczorajszego wieczoru, a potem kolejne wydarzenia.

Wstał, ubrał się i zszedł po cichu do kuchni schroniska, licząc, że uda mu się zrobić jakąś kawę. W jadalni spotkał Paulinę, która rozkładała krzesła.

– Ranny ptaszek – powitała go właścicielka. – Kawy?

– Ratusz mi życie.

– Też nie mogłeś spać? – zapytała, idąc w stronę ekspresu. – Bo ja nie dałam rady zmrużyć oka. Tak się przejęłam śmiercią tego chłopaka. Straszne. Zajmiesz się tą sprawą?

– Od tego jest lokalna policja – odparł Kosma. – Ja tu jestem tylko w kwestii tego księdza, nie mogę im się mieszać w robotę.

– A jeśli to jest powiązane?

– Jadę zaraz do Ustrzyk dowiedzieć się, jaką mają teorię. Zobaczymy.

– Nie wierzę im. Dla nich to jakiś miejscowy chłopaczek niespełna rozumu. Bez rodziny. Nikt się o niego nie upomni, zamiotą sprawę pod dywan.

– Więcej wiary w organa ścigania – rzucił wesoło Kosma, odbierając od niej kubek z kawą.

– Jesteśmy na końcu świata, policja ma nas gdzieś. Straż graniczna wpada na herbatę codziennie, to naprawdę porządni ludzie, ale policja... Szkoda gadać.

– Pamiętaj, że ja też jestem z firmy.

– Aż dziw bierze, serio. Zrobić ci jajecznicę?

– Nie, zjem coś po drodze, nie lubię śniadań.

– To najważniejszy posiłek dnia.

– Bzdura. Wymyślili to amerykańscy marketingowcy i poszło w świat. Wszystko wzięło się od próby wprowadzenia mody na śniadanie, aby zwiększyć ilość sprzedawanego bekonu i płatków śniadaniowych. Żadne badania tego nie potwierdzają.

– Dobrze już, idź i łap naszego mordercę, nawet i bez śniadania. Chcemy mieć tu po prostu spokój. Pół nocy odbierałam telefony od dziennikarzy, którzy chcieli wynająć pokoje. Zjeżdża się tu ćwierć Polski, ale długo nie posiedzą.

– Dlaczego?

– Nikt z nimi nie będzie rozmawiał, absolutnie żaden z mieszkańców. Zignorują ich, zobaczysz. Tutaj nie ma dla nich miejsca, dlatego ja też wszystkich pogoniłam.

– Serio? – zdziwił się Kosma. – Przecież mogłaś ich skasować nawet potrójnie, a w dodatku nakręciliby jakiś reportaż sprzed schroniska, darmowa reklama.

– Nas tu powoli zaczęto akceptować i nie był to łatwy ani przyjemny proces. Pierwszej zimy czasem sobie po prostu siadałam i płakałam, bo nie miałam już siły. Zamarzło szambo, potem odmarzło i wybiło, przewróciło się nam drzewo na parking, zerwało linie energetyczne. Nikt nam nie pomógł. Dopiero po tej zaszrajonej zimie zobaczyli, że jesteśmy twardzi i się nie poddajemy, i powoli zaczęło się zmieniać. A to nam pożyczono ciągnik, ktoś pomógł naprawić generator, jak Łukaszowi zepsuł się samochód, to go holowali. Ale zasada jest jedna: tu są Bielma, a tam jest świat. I my jesteśmy tutejsi, a reszcie wara od tego, bo w historii tej wsi nikt nigdy nam nie pomógł. Nigdy. Karetka potrafi nie dojechać, policja to teraz się dowiedziała, gdzie jesteśmy, jak zerwie linie energetyczne, to jesteśmy na końcu listy do naprawy. Rozumiesz?

– Doskonale.

– Zatem nie ma wolnych pokoi dla dziennikarzy i nikt im tutaj nie powie ani słowa. Nawet ich szklanką wody nie poczęstują, a ma być dość gorący dzień. Każdy z nas myśli tylko o sobie, a rozgłos nam niepotrzebny.

Kosma wyszedł przed schronisko i z radością przyjął chłód poranka. Słońce pięknie kłuło w oczy ostrym światłem i zapowiadało cudowny dzień. Wdychał rześkie powietrze tak mocno przesycone zapachem lasu. Producenci choinek zapachowych i odświeżaczy powietrza mogli dwoić się i troić, ale tej atmosfery nie byli w stanie oddać za żadne pieniądze. Dopił powoli kawę, odniósł kubek do jadalni, wrócił do pokoju, aby spakować podręczne rzeczy i zgodnie z zaleceniem Kacpra zabrać pistolet.

W Bielmach spotkał pierwsze wozy dziennikarzy. Jeden czy dwóch chciało go nawet zatrzymać, ale nie skusił się na rozmowę. Zjechał w dół w stronę mostku nad Sychłowatym, spojrzął z zachwytem na ukraińską stronę i słońce wychodzące znad Buczoka, gdy usłyszał klakson, odruchowo wcisnął hamulec. Przez rzekę przeprowiał się duży wóz transmisyjny i kierowca niezbyt pewny wąskiej drogi zajął cały most. Pilotowała go młoda dziewczyna, którą chyba kojarzył z jakichś wiadomości, może zapowiadała pogodę? Nie oglądał na tyle często telewizji, aby teraz ją od razu rozpoznać. Zobaczyła jego samochód i ruszyła do drzwi, machając radośnie ręką. Opuścił z niechęcią szybę.

– Cześć – rzuciła z uśmiechem, telewizyjnym, zadbanym i wyćwiczonym.

– No cześć – odpowiedział bez entuzjazmu.

– Nina – przedstawiła się.

– W czym pomóc? – zapytał oschle, wyłapując, że sztuczny uśmiech nieco drgnął. Pewnie była znana i lubiana, wszyscy na jej widok promienieli, chcieli się przypodobać, a ona była do tego przyzwyczajona.

– Do Bielm dobrze jedziemy?

– Tak.

– A byłeś wczoraj podczas tej strzelaniny?

– Nie.

– Nie? – zdziwiła się nieco przesadnie. – Takie wydarzenie, pewnie wszyscy o nim mówią.

- Tutaj w nocy raczej ludzie śpią.
- Wiesz, gdzie to było? Pokazałbyś nam?
- Traficie – odparł Kosma i zamknął szybę, widząc, jak samochód opuszcza most. Wcisnął pedał gazu i ruszył przed siebie.

Stał się jednym z tutejszych? Cholera, tak się poczuł.

2.

Do Ustrzyk zajechał w chwili, gdy mieszkańcy powoli zaczęli ruszać do pracy i małe miasteczko zapełniało się samochodami. Działo się to dużo szybciej niż w Bielmach, gdzie większość ruchu samochodowego dziś powodowali dziennikarze. Pewnie teraz walczą o miejsce przed Świętą Lipą, którą wczoraj policjanci otoczyli taśmą jako miejsce popełnienia przestępstwa. Opuszczając wieś, minął radiowóz z dwoma mundurowymi pilnującymi porządku. Nie wróżył im spokojnego dnia. Ciekawe, czy telewizyjna blond gwiazda oczarowała kogoś swoim uśmiechem i mogła pochwalić się w redakcji świeżym materiałem, czy też nadal chodzi po Bielmach, coraz bardziej zdenerwowana, szukając kogokolwiek, kto z nią porozmawia.

Ciekawe też, czy w świadomości pielgrzymów to miejsce stanie się jeszcze bardziej święte, czy też przeklęte, splamione krwią napastnika, którym okazał się lokalny waryjot.

Zaparkował przed komendą i ruszył rażno do drzwi, gdy na jego spotkanie wyszedł policjant, którego znał, aspirant Paweł Nowak, ale towarzyszył mu już całkiem obcy Kosmie funkcjonariusz, młody mężczyzna, opalony, gładko ogolony, ubrany w dżinsy i czarną koszulkę polo.

– Komisarz Piotr Sepiołło. – Obcy wyciągnął rękę w jego kierunku.

– Kosma...

– Tak, wiem, wszystko wiem – przerwał mu policjant. – Za pana sprawą ściągnęli mnie z urlopu, żona została w Chorwacji. Wraca za tydzień, więc mam mniej więcej tyle życia, bo po powrocie zgotuje mi piekło.

Mężczyzna mówił szybko, jakby komentował mecz piłkarski, i szczerze mówiąc, nie wzbudził w Kosmie sympatii.

– Przyjechałem...

– Bardzo dziękuję za wczoraj. – Mężczyzna ponownie wszedł mu w słowo. – Naprawdę, ogarnięcie na szybko tego galimatiasu wzorowe, doceniam. Mamy z tą sprawą kupę roboty, przez transmisję w sieci trafiliśmy na usta wszystkich dziennikarzy w kraju, nieciekawie się zrobiło, ale myślę, że sobie poradzimy. Sami.

Po ostatnim słowie Sepiołło spojrział wymownie na Kosmę i nie musiał więcej niczego tłumaczyć, wszystko było jasne. To ich sprawa i nikt nie ma prawa im się do niej wpieprzać.

– No a w sprawie tego utoniętego księdza to nie mamy niczego nowego – wtrącił aspirant Nowak mocno przepraszającym tonem.

– A jak będziemy mieli, to damy znać – dodał Sepiołło. – Jasne?

– Jak słońce – odpowiedział Kosma.

– Świetnie! – ucieszył się młody policjant. – Mam przeczucie graniczące z pewnością, że w stolicy czekają na pana dziesiątki nierozwiązanych spraw. Podobno to miasto występku, w dodatku policja pilnuje domów polityków, a szczególnie jednego. Mój kolega w zaufaniu powiedział mi – tu Sepiołło zniżył konspiracyjnie głos – że nawet trzeba ścigać ludzi za gówna pozostawione na trawnikach przez te śmieszne pieski. No to nie będziemy pana dłużej zatrzymywać.

Wyminął Kosmę i ruszył w stronę zaparkowanego przy krawężniku brązowego opla. Aspirant Nowak podążył za nim jak cień, rzucił tylko jeszcze przepraszające spojrzenie, po czym odwrócił głowę. Kosmie nie pozostało nic innego, jak zawrócić, nie miał czego szukać w komendzie. Był pewien, że zalecenia o odsunięciu go od sprawy zapadły na wyższym szczeblu, a w dodatku lokalna policja miała do tego pełne prawo. Ba, sam by tak zrobił na ich miejscu, może trochę bardziej uprzejmie, ale wiedział, jaką warszawiacy mają opinię.

Zatem został odcięty od informacji posiadanych przez policję, a nie miał tutaj żadnego informatora. Aspirant Nowak mimo swej

jowialności też nie wyglądał na takiego, który zacznie ujawniać mu niusy dotyczące śledztwa.

Był zdany na siebie. Czas wracać do Bielm.

3.

Kosma spotkał proboszcza jakiś kilometr przed wjazdem do wsi. Był ubrany w normalne ciuchy i szedł nieśpiesznym krokiem wzdłuż drogi.

– Podrzucić dokądś? – zapytał księdza, zatrzymując samochód.

– Muszę spacerować, bo mam nadciśnienie, a to podobno dobre dla serca – poinformował go proboszcz. – We wsi istny armagedon, ledwo się wymknąłem.

– Dziennikarze – westchnął Kosma.

– Nie wiem, jak uda mi się wrócić niezauważonym. Odwołałem poranną mszę, bo przecież pchali się do środka z kamerami. Zamknąłem kościół, pierwszy raz w życiu zatrzasnąłem przed kimś drzwi świątyni.

– Mnie też nagabywała taka jedna.

– Blondynka? – zapytał ksiądz. – No ta to już jak jakaś caryca tam się panoszy. Gwiazda niby jakaś, sprawdziłem w internecie, bo telewizji nie oglądam.

– Podjedziemy i zobaczymy, jak to wygląda – zaproponował Kosma. – Najwyżej uciekniemy do schroniska, żeby przeczekać.

Proboszcz skinął głową i wsiadł do samochodu, zatrzasnął za sobą drzwi i spojrzał na Kosmę.

– Wiedzą, kto go zabił? – zapytał.

– Nie sądzę.

– Mają jakieś podejrzenia?

– Nie wiem. Nie pracuję z nimi, nie mają obowiązku mi raportować. Nikt nie lubi, jak ktoś patrzy mu na ręce, przygląda się robocie, szczególnie gdy jest obcy.

– Taka zbrodnia... – westchnął proboszcz.

- I to już druga w Bielmach – zauważył Kosma.
 - Druga? – zapytał ksiądz, spoglądając w jego stronę. – Mówi pan o tym księdzu? Przecież to był wypadek.
 - Tak mówią. Tutaj niby obrona własna.
 - Klaudiusz był nasz – stwierdził ksiądz. – Tutejszy. Ludzie są poruszeni. Tamten ksiądz przyjechał, nikt go nie widział, nie znał, ot, anonimowa sprawa.
 - Bliższa koszula ciała?
 - Otóż to. O księdzu to wielu mieszkańców przez kilka dni jeszcze nie wiedziało, a tutaj doszło do zbrodni na ich oczach. Zamordowano jednego z nich. To całkiem inna sprawa.
 - I to kogoś z drugiej fali.
 - Dokładnie.
 - I co mówią? Kogo winią? Zenka?
 - Nie wiem.
 - Ale nie chcą powiedzieć, kto strzelał. Nikt nie widział, każdy akurat patrzył w inną stronę. Nieco dziwne.
- Proboszcz tylko wzruszył ramionami.
- Może to jeden z mieszkańców? – zapytał Kosma.
 - Nie. Tu nikt nie nosi broni. No i nie strzeliliby do swojego.
 - Może go nie poznali?
 - Nie – odparł stanowczo.
 - Dlaczego go zaatakował? Bo był niespełna rozumu?
 - Mówili na niego „waryjot”, ale miał tylko lekkie upośledzenie. No i nigdy nie bywał agresywny. Spowiadał się u mnie i muszę powiedzieć, że naprawdę nie miał niczego na sumieniu. W dodatku znał się z Zenkiem.
 - Podobno razem łapali ryby – wtrącił Kosma.
 - Otóż to. Byli niemal jak rodzina, daleka, ale jednak. Nie przychodzi mi do głowy ani jeden powód, dla którego Klaudiusz

mógłby rzucić się z nożem na Zenka. A kto go powstrzymał? Też zagadka.

– Moja teoria jest taka, że to ktoś tutejszy. Reszta go chroni.

– Mordercę?

– Dla obcych to może być morderca, ale dla swoich? Obronił proroka przed napastnikiem. Prorok swój. Waryjot swój. Strzelający też swój. Wszystko wydarzyło się tutaj i obcym nic do tego. Z tego, co wiem, to mieszkańcy Bielm umieją trzymać język za zębami. Zmowa milczenia potrafi być naprawdę potężna. Proszę mi uwierzyć.

– Wiara. Nadzieja.

– Tylko miłości brak.

– Jest za to śmierć.

Wjechali do centrum wsi. Dziennikarze zaparkowali swoje wozy przed cmentarzem, kościołem i wzdłuż drogi. Naliczyli ich aż siedem. Snuli się po wsi, niektórzy w grupkach palili papierosy, ktoś relacjonował do kamery, jedno było jednak pewne: nikt z nimi nie rozmawiał. Paulina Ramka miała rację, mieszkańcy Bielm ignorowali obcych.

– Proszę podwieźć mnie pod drzwi plebanii – poprosił proboszcz. – Pewnie będą się dobijać, ale zamknę drzwi i założę sobie słuchawki, posłucham jakiejś muzyki. Przeczekam do zmroku.

– A co potem?

– Nie wiem, może się znudzą.

– Czas to pieniądz – powiedział Kosma. – Jeśli przez cały dzień nie nakręcą żadnego materiału, to faktycznie mogą się poddać.

– W Bogu nadzieja.

Pojawienie się bmw Kosmy wywołało małe poruszenie, ktoś machnął ręką, ale zignorowali go. Zatrzymał samochód dopiero przed samymi drzwiami plebanii, proboszcz zaś całkiem sprawnie ewakuował się z pojazdu, po czym zniknął w swoim domu. Zrobił to, zanim zdążył pojawić się pierwszy z dziennikarzy.

Kosma wyjechał z podwórka i ruszył pod dom proroka. Zauważył w lusterku, że jeden z samochodów podążył jego śladem, minął zatem domostwo kościelnego Zenka, które zresztą wyglądało na opustoszałe, i pojechał dalej. Droga się kończyła, więc skręcił w mały zagajnik, zaparkował samochód między drzewami i szybko wysiadł, po czym ruszył w las. Mając nadzieję, że nie zabłądzi, szedł wśród buków, aż wyszedł na tyły domu, który odwiedził nielegalnie zeszłej nocy. Nie było mowy o wejściu frontowymi drzwiami, dziennikarze natychmiast by go dorwali, ale przecież znał sposób na dostanie się tylnym wejściem.

4.

Szarość. Była wszędzie. Na niebie zwiastując deszcz, w domu kościelnego rozlana między starymi meblami i na jego twarzy, jakby wpadła tu niedawno jakaś ekipa i po prostu rzuciła „dobra, zabieramy kolory, do roboty!”. Prorok wpatrywał się w jakiś punkt nad głową Kosmy, może widział tam Jezusa? Czy ten coś do niego mówił?

Między równie szarymi palcami prorok przesuwiał paciorki różańca, wolno, jakby każda z odmówionych w myślach modlitw przychodziła mu z ogromnym trudem.

– Herbata – oznajmił szwagier Zenka, stawiając przed Kosmą szklankę z opadającymi na dno liśćmi. Nie robił problemów, wpuścił go tylnym wejściem i bez słowa zaprowadził do Zenka.

– Dziękuję.

– On nic nie powie. Nawet z policją nie chciał rozmawiać. Siedzi i się modli, ot co, tyle.

– Spróbuję – odparł Kosma.

– Dali mu jakieś tabletki dla spokojności – dodał mężczyzna. – Był nawet psycholog z policji, ale nic nie wskórał. Powiedział, że Zenek obwinia się o całe zajście.

Trzasnęły drzwi i zostali sami. Kosma zamieszał łyżeczką w szklance, specjalnie głośno stukając o szkło z nadzieją, że to poruszy Zenka, ale ten siedział jak skamieniały.

– Obwiniasz się – powiedział Kosma. – Dlaczego?

Brak reakcji. Szare palce odliczały kolejne paciorki różańca, usta raz na jakiś czas drgały, jednak nadal królowała szarość.

– Wydaje mi się, że jest coś, co powinieneś jednak powiedzieć policji. Choćby to, co znajduje się w pokoju na końcu korytarza.

Stop. Palce zamarły. Wzrok powoli, jakby milimetr po milimetrze, zaczął się przesuwać, aż w końcu, po trwającej całą nieskończoność chwili, zatrzymał się na Kosmie.

– Widziałeś?

– Tak – odparł Kosma, czekając na pytania o to, jak udało mu się odkryć tajemnicę. Rozkręciłoby to dyskusję, ale Zenek nie drążył.

Milczał.

– Nagrania mogłyby pomóc policji.

– Tam niczego nie ma – stwierdził Zenek.

– Film w internecie jest złej jakości. Przydałby się oryginał.

– To tylko moja wina. I ja muszę pokutować. Nikogo innego nie oskarżam i ty nie powinieneś tego czynić.

– Porozmawiaj z policją.

– Tylko on może mnie sądzić – powiedział Zenek, unosząc krzyż kończący różaniec.

– Nie chodzi o sądenie, ale znalezienie mordercy – odparł Kosma. – Ktoś zastrzelił chłopaka, trzeba znaleźć sprawcę, jest niebezpieczny i może zabijać dalej.

– Tu jest krew. – Zenek wyciągnął ręce w jego stronę. – Tylko tu. Nigdzie indziej.

Kosma doszedł do wniosku, że w ten sposób niczego nie ugra. Skutki szoku pourazowego u Zenka jeszcze nie ustąpiły, w końcu był zwykłym chłopkiem ze wsi, na oczach którego zamordowano jego kuzyna. Dodatkowo środki uspokajające przytępiły reakcje.

– Dlaczego Klaudiusz cię zaatakował?

Cisza. Szarość. Kolejny paciorek różańca.

– Pokłóciliście się?

Kolejna kulka na różańcu przesunęła się między szarymi palcami.

– Czy Jezus naprawdę ci się objawił? – zapytał Kosma, tracąc już jakąkolwiek nadzieję na dialog.

– Uchronił mnie przed śmiercią – odparł prorok. – Ale ja już nie zamierzam tam wracać, pod drzewo. Już nigdy. To skończone. Muszę się wyspowiadać. To jest kara za to wszystko, co tu się wydarzyło. Za wszystko. Dosłownie wszystko.

– To nie była odpowiedź na moje pytanie.

– Pytania. Ciągłe pytania. Przychodzą do mnie ludzie i nie chcą oglądać Jezusa, swojego pana i zbawiciela. Oni chcą odpowiedzi. Nie wystarczy im, że Bóg nakazał żyć dobrze i uczciwie, że jest to gwarancja życia wiecznego. Nie! Chcą więcej i więcej, przez cały czas. Mówią, ale co drugie słowo to „daj”. Nie przyjmują swojego życia takiego, jakie dostali od Boga. Ty też chcesz odpowiedzi.

– To moje zadanie. W momencie śmierci człowieka powstaje pytanie, jak do tego doszło, a ja muszę na nie odpowiedzieć.

Kościelny popatrzył mu w oczy, głęboko. Nie, to nie był Zenek, teraz siedział przed nim prorok, człowiek przemawiający do ludzi pod Świętą Lipą.

– Jesteś niedowiarkiem – powiedział głosem, który Kosma tak dobrze znał z kazań. – Wiem to, czuję to. Przeżyłeś nieprzyjemne zdarzenie, które skierowało cię na pewną drogę, a ta wizyta to jej skutek. Byłeś blisko Boga, potem całkowicie się oddaliłeś. A to niedobrze, bo zdarzenie, które zabrało cię z drogi kapłaństwa, było potrzebne, jak wszystko w życiu.

Kosmie przebiegł po plecach zimny dreszcz i gdyby nie był świadom tego, co się właśnie dzieje, pewnie połknąłby haczyk. Podstawy psychologii stosowane z równym powodzeniem przez wróżbitów i policjantów. Zagranie na wydarzeniu, które z dużą dozą prawdopodobieństwa mogło mieć miejsce, aby człowiek zaczął na gorąco dopasowywać w głowie fakty z życia do podstawionej sytuacji. Każdy dobry policjant mógłby zostać królem wróżbitów.

– Powiedział ci to Jezus? – zapytał ostro.
– On powiedział mi co innego. – Uśmiech zniknął z twarzy kościelnego.

– To musi być ciekawe.

– Raczej smutne. Straciłeś kogoś bliskiego, kilka lat temu, to zmieniło twoje życie. Ojca, mocno wierzącego w Boga. Zmarł na raka. Ciężka choroba, ale spokojnie, jest w lepszym miejscu. To mi powiedział Jezus.

– Czy aby na pewno Jezus?

– Powiedział mi o tym, dlaczego się od niego odwróciłeś. Czyż jest coś ważniejszego?

– A odwrócił się od ciebie?

Kościelny spoważniał. Ruszył nerwowo dłonią z różańcem, przesunął jeden z koralików między palcami.

– Bóg się od nikogo nie odwraca. Tylko człowiek może to zrobić. Ale mnie ukarał.

– Za twoje oszustwo?

– Czy wierzysz w powiedzenie, że Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy? – zapytał go kościelny, ignorując zaczepkę.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wierzę w żadnego z bogów.

– Powinieneś – stwierdził i zabrzmiało to bardzo gorzko.

Nie, nie gorzko. Kosma wyczuł w tym jednym słowie lęk, strach, mocny, skumulowany. Wczorajsze wydarzenia nie tylko wstrząsnęły Zenkiem, one go przeraziły.

Prorok przeniósł wzrok na punkt, który tak zaciekle przyciągał go od początku wizyty Kosmy, szare palce ponownie zaczęły odmierzać paciorki różańca.

– Nie dopił pan herbaty – usłyszał zza swoich pleców Kosma. – To porządny earl grey.

Ryszard przesunął w jego stronę metalowy koszyczek ze szklanką. Umoczył usta w gorącym naparze i musiał przyznać rację, herbata była wyborna. Wstał i ominął szwagra Zenka, po czym ruszył w stronę korytarza domu, stwierdzając, że nie dowie się niczego nowego. Stanął w półmroku i spojrzął na drzwi, za którymi znalazł wczoraj siedzibę tajemniczego mieszkańca. Podążający jego śladem Ryszard również spojrzął w tamtą stronę i zaprosił gestem do środka.

– Ładnie posprzątane – ocenił Kosma, lustrując pusty pokój, w którym dziś nie było ani śladu drogiego sprzętu.

– Kto ma porządek w domu, ma go i w duszy – odpowiedział mężczyzna.

Kosma spojrzął na niego, kamienny wyraz twarzy pokrytej drobnym zarostem nie zdradzał żadnych emocji. Gdyby wczoraj zaprosił tu policję, zdobyliby być może potrzebne dowody, dziś nawet nikt by nie uwierzył w jego zapewnienia, że jeszcze wczorajszego wieczoru znajdowało się tu niemal studio transmisyjne.

– Dziękuję za herbatę. – Ponownie ominął Ryszarda stojącego w drzwiach. – Rzeczywiście pyszna.

Ruszył do tylnego wyjścia.

5.

Dobrze zrobił, nie wychodząc fontowymi drzwiami, bo samochód zauważony wcześniej we wstecznym lusterku parkował na wprost zagrody Zenka. Gdy już przemknął lasem i dotarł do swojego pojazdu, zobaczył stojącą przy nim dziennikarkę. Opierała się o bagażnik i paliła cienkiego papierosa, spokojnie wydmuchując dym w górę.

– O! Jest pan! – Ucieszyła się na jego widok i rzuciła niedopałek na ziemię, po czym rozgniotła go butem.

– W lesie nie wolno śmiecić – skarcił ją Kosma.

Na początku wyduła usta w pogardliwym uśmiechu, ale zmitygowała się po chwili i kucnęła, podniosła peta i schowała go do chusteczki.

– Wzorowo – pochwalił ją. – A teraz przepraszam, obowiązki wzywają. Podwiózłbym panią, ale widzę, że samochód czeka przed domem. – Wskazał palcem na oddalony o kilkaset metrów dom Zenka.

– Ale ja się chętnie przejadę – oznajmiła z entuzjazmem, jakby czekała na taką możliwość od dziecka. – Piękny samochód.

– Na szczęście nie mój. Przepraszam, ale śpieszy mi się.

Zastąpiła mu drogę, opierając się tym razem plecami o drzwi kierowcy.

– Dziwię się, że tak pan sobie jeździ i chodzi po lesie. Nie jest pan miejscowy. A wczoraj tu zamordowano człowieka, trochę strach, co nie?

– Ja się dziwię, że będąc w Bieszczadach, wśród najczystszej powietrza w Polsce, pali pani to świństwo.

– Nie jest pan stąd – kontynuowała niezrażona. – I właściwie jest pan jedyną osobą, jaką dzisiaj spotkałam, oprócz turystów i ciekawskich.

Nie komentował.

– Zrobimy wywiad – oznajmiła po chwili ciszy. – Ta blizna tak cudownie zagra nam przed kamerą, przykuje wzrok. Będzie pan sławny.

– Zbytek łaski. – Uśmiechnął się i odruchowo potarł szramę na czole.

– Nie?

W odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

– To już nie wiem, co mogę panu zaoferować – odparła niskim głosem z lekką chrypką, przekrzywiając głowę.

– Proszę wybaczyć, ale nie ma pani niczego do zaoferowania.

– Brak mi do pana słów.

– Mało się czyta, to i słownictwo ubogie – odparł, po czym podszedł o krok, przesunął ją delikatnie, łapiąc za ramię.

Była niewątpliwie piękna, ale w ten wymyślony sposób. Idealnie, co do ułamka milimetra zarysowane brwi, rzęsy, usta, makijaż, włosy. Wszystko ktoś wymyślił i naniósł na tę kobietę, chowając gdzieś pod spodem jej prawdziwość i naturalność. Zaprojektowana uroda.

Ustąpiła, otworzył drzwi i wsiadł do środka. Uruchomił samochód i ruszył, mając nadzieję, że nisko zawieszony bmw nie zakopie się w leśnym poszyciu, ale do niczego takiego nie doszło. Ruszył drogą, mijając dom proroka i samochód dziennikarki, za którego kierownicą przysypiał jakiś mężczyzna.

6.

Kosma przejechał spokojnie znaną już dobrze drogą do schroniska i z ulgą stwierdził, że jest tam nadal cicho i spokojnie. Żadnego wozu z wielkim logo stacji telewizyjnej czy rozgłośni radiowej, dwa rowery w stojaku i kilkoro turystów przy stołach, raczących się zimnym piwem w ten dość gorący dzień. Na taras wyszła Paulina, niosąc zieloną konewkę, po czym zabrała się do podlewania kwiatów rozstawionych wokół schroniska. Zobaczyła go, gdy wysiadał z samochodu, machnęła ręką na powitanie.

– Był jakiś nalot dziennikarzy? – zapytał, podchodząc do niej. – Bo na wsi gorąco i tłoczno.

– Przyjechali i pojechali – odpowiedziała z uśmiechem. – Oznajmiłam, że nie mamy wolnych miejsc, a udzielić informacji możemy jedynie w zakresie pomocy na szlaku. Zamówili obiad, zjedli i pojechali. Trochę nabili dzienny rachunek, jedyny plus. Ale nie bój się, dla ciebie nie braknie. Głodny?

– Jak wilk.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Niczego konkretnego. Lokalna policja odsunęła mnie od sprawy.

– Już ci wspominałam, że tu tylko ze strażą graniczną można rozmawiać. Ale ich akurat takie kwestie nie interesują. Zobaczymy, wieczorem może zejdzie się kilka osób, będzie tradycyjna wymiana plotek, to się czegoś dowiemy. Siadaj, zaraz przyniosę ci obiad.

– Daj mi kwadrans, muszę wziąć szybki prysznic.

Kiwnęła głową, a on poszedł na górę. Kabina prysznicowa była wolna, więc szybko splukał z siebie kurz i pot, przebrał się w świeże ubranie i zszedł na dół, gdzie czekał już na niego talerz pierogów.

– Z jagodami – poinformowała go Luba. – Sama lepiła.

– Dzięki. – Niemal rzucił się na talerz z początku przerażony liczbą pierogów, ale w połowie wiedział, że wygra tę bitwę. Jagody były soczyste, nieskażone grzechem przegotowania, niemal strzelały w zębach. Ciasto jędrne i gładkie, trzymało w ryzach sok wypływający z jagód, dopóki człowiek nie przegryzł pieroga na pół, wtedy spływał na język słodki i cierpki zarazem sos, a wszystko skąpane w śmietanie oprószonej cynamonem. Esencja lata w zwiewnej formie, bo wiadomym jest, że jeśli pierogi z jagodami wystygną, to jedzenie ich jest jakby próbą pocałunku z trupem przez deskę trumienną.

– Smakowały? – zapytała Luba, gdy odstawiał pusty talerz.

– Genialne – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Czas na drzemkę.

– Praca czeka.

– Same przykre rzeczy się ostatnio dzieją. Jezu, co ja mówię. Przykre rzeczy. Ludzie giną, to raczej tragiczne. Ale wyjaśnisz to? Jak najszybciej?

– Tak tu gotujecie w Bielmach, że mi się nie śpieszy – powiedział, klepiąc się po pełnym brzuchu.

– Rozwiąż sprawę i zostań na kilka dni. Podtuczmy cię.

– Trzymam za słowo. Zostały mi dwie osoby do rozpytania, ten młody naukowiec i gosposia księdza proboszcza.

– Młody pewnie zjawi się na kolację. Nie jest zbyt towarzyski, w sumie rozmawia tylko z Łukaszem, jakby bał się kobiet albo co, nie wiem.

– A gosposia?

– Zaraz ci wytłumaczę, jak do niej trafić. – Odwróciła się i wyjęła spod baru czystą kartkę i czerwony długopis. – To najstarsze chałupy we wsi, trzeba odbić nieco od głównej drogi w taką jakby ścieżkę.

Naniosła kilkoma sprawnymi ruchami plan wsi na kartkę, wyszło jej to wyśmienicie. No tak, chyba wspominała, że studiowała architekturę, przypomniało się Kosmie.

– Trafie – poinformował, zabierając mapkę. – Pięknie rysujesz.

– Lepiej gotuję – odpowiedziała z uśmiechem i Kosma po raz kolejny stwierdził, że wcale nie dziwi się Romkowi, że zrzucił dla dziewczyny sutannę.

Wyszedł ze schroniska i zabrał ze stojaka rower, którym poruszał się ostatnio. Było tu zbyt pięknie, żeby tłuc się wszędzie samochodem. Fajne te Bieszczady.

7.

Dom należący do gosposi księdza nieco go zdziwił. Była to ni mniej, ni więcej po prostu rudera. Całość wyglądała jak świeżo wyjęta ze skansenu, i to takiego niezbyt tłumnie odwiedzanego przez turystów, nieco zapuszczonego.

Pobielona drewniana chałupka z dachem pokrytym drewnianym gontem, jej dwa okna przyglądały mu się jak oczy starca właśnie umierającego spokojnie z racji osiągniętego wieku, linia dachu była wypukła, jakby całość miała za chwilę po prostu się rozpaść. Z boku domu znajdowała się mała komórka, może obórka, nie bardzo wiedział, nie znał się na gospodarskich zabudowaniach.

Przed progiem na małym stołeczku siedziała kobieta, ubrana w miarę współcześnie, przez co całkowicie nie pasowała do zastanego obrazka. Powoli, z cierpliwością przynależną jedynie starszym osobom obierała jabłko, dbając, aby skórka odcinana krótkim nożem pozostała w jednym kawałku.

– Dzień dobry! – powitał ją z daleka Kosma. – Pani Zofia?

Kobieta zastygła na chwilę z nożem na jabłku, po czym wróciła do przerwanej czynności.

– To pan – powiedziała tylko, ale było jasne, że wie, kim jest i po co przyszedł oraz że nie za bardzo cieszy ją fakt zbliżającej się rozmowy. – Zje pan jabłko?

– Nie, dziękuję – odpowiedział, opierając rower o ścianę domu.

– Niech tam postawi. – Wskazała nożem na tył domu, a spiralna skórka z jabłka opadła na trawę. – Wejdziemy do środka. Co się będziemy pchać ludziom pod oczy.

Kosma nie dyskutował, chociaż był pewien, że nie ma ich tu prawa nikt zobaczyć, chatynka była faktycznie skryta w lesie i dziennikarze musieliby zabłądzić, aby tutaj trafić. Odstawił rower we wskazane miejsce i wrócił przed dom, ale gospodyni już nie zastał. Wszedł do środka i uderzył go w nos zapach starego domu, pełen kurzu i pleśni.

– Kawy nie mam – poinformowała go gospodyni. – Trochę herbaty. Wodę spod ogórków kiszonych i sok z tarniny.

– Woda z sokiem będzie w sam raz – przerwał szybko wylizankę.

Dom był dwuizbowy i z tego, co się orientował, to w dawnych czasach w jednej izbie przebywali ludzie, a w drugiej zwierzęta gospodarskie. Teraz jedno pomieszczenie przypominało nowobogacki salon z kuchnią, z tym że nie było mowy o kuchni indukcyjnej czy zmywarce, a raczej o kuchni węglowej połączonej z piecem, i starym łóżku pod drugą ścianą. Nad nim wisiał portret ślubny dwojga uśmiechniętych, młodych ludzi, co prawda całość była czarno-biała, ale aż biło z nich życie pełne barwnych chwil. Kobieta była zjawiskowo piękna, w stylu przedwojennych gwiazd filmowych, a mężczyzna pasował do niej idealnie, miał zawadiacki uśmiech, jakby świadczący, że oto zaprowadził przed ołtarz najpiękniejszą dziewczynę we wsi.

– Mój mąż, Jaśko – wyjaśniła Zofia, widząc, jak przygląda się portretowi. – Ale nie żyje.

– Przykro mi.

– Dawno to było. – Machnęła ręką. – Nie ma o czym gadać.

– I nie wyszła pani ponownie za mąż?

Wzruszyła tylko ramionami i podała mu szklanę z wodą zabarwioną ciemnym sokiem. Upił łyk, napój był gorzki, ale smaczny. Gospodyni odsunęła drewniane krzesło od stołu, wskazując Kosmie miejsce, a sama usiadła na łóżku.

– No, niech pyta.

– Z księdzem proboszczem się pani pokłóciła – stwierdził na początek.

– A bo to pierwszy raz?

No i po dyskusji, podsumował Kosma.

– Widziała pani tego księdza, co to przyjechał sprawdzić waszego proroka?

– Ani on prorok, ani nasz – odpowiedziała szybko. – Przyjezdny. A co do tego całego jezusowania, to kto to wie. Coś tam pitoli, mamrocze, ale to tylko Bóg w niebie osądzi.

– Rozumiem. To sprawę Zenka mamy omówioną. A ten ksiądz, co się utopił?

– Przyjechał, szukał proboszcza, ale akuratnie go nie zastał. No to powiedział, że później przyjedzie, i wyszedł. Tyle.

– Umarł człowiek, a jakby się tym nikt tutaj nie przejmował.

– A bo to pierwszy umarł? Co tu się działo kiedyś, to święci Pańscy tylko znają. Przyjeżdżał, kto chciał, i robił, na co miał ochotę. Wszystkich wysiedlili tak, jak stali, w niektórych chałupach jeszcze zupa w garnkach była. Później my nastaliśmy, ale żeby nas kto szanował? O nie! Kiedyś przyjechał tu jeden przesiedleńca, zaczął opowiadać o Beniowej, to nie minęła godzina, jak wpadli milicjanci i go zabrali. Pałkami zaprosili do samochodu. Zresztą, jak władza przyjeżdżała, to się dziewczuchy po ślepych izbach chowały, w oborze pod sianem, żeby siłą nikt nie wziął. Sami zawsze byliśmy w Bielmach, nikt nie pomagał, to i teraz co komu do nas.

– Szkoda człowieka.

– Ani on nam brat, ani swat. Zresztą, proboszcz mówił, że się tam na brzegu omsknął i utopił. Bywa i tak.

– Ale już Klaudiusz był wasz.

Zamilkła na chwilę, zmarszczki głęboko skupione wokół malutkich oczu nabrały mocy i głębokości.

– Taki nasz i nie nasz – powiedziała spokojnie.

– Bo z drugiej fali?

Wzruszyła ramionami. Kosma spokojnie dopił zawartość szklanki i pozwolił im obojgu na chwilę ciszy.

– I nie wie pani, kto go mógł zastrzelić? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała twardo. – I nie mam już więcej soku.

Kosma zrozumiał aluzję, odstawił szklanekę, skłonił się lekko i wyszedł z chałupy.

Piękny to był dzień, zdecydowanie wart spędzenia w Bieszczadach. Zapach lasu... Nie, nie czuł już tego orzeźwiającego aromatu, stał się dla niego codziennością, normalnością. Wciągnął głęboko powietrze i aż zakręciło mu się w głowie.

Wsiadł na rower i ruszył z powrotem do schroniska.

8.

Dotarło do niego, że zaczyna zauważać bieg dnia. W mieście wschody i zachody słońca były anonimowe, działały się w tle życia, od niechcienia, jakby nie miały wpływu na świat. Nawet on, policjant, który przecież często klepie nocki, nie zwracał na nie uwagi. Tutaj było inaczej. Słońce zachodziło nad bieszczadzkimi wzgórzami z rozmachem godnym królewskiego dworu, z przepychem ciemnej czerwieni i krwawym blaskiem rzucanym na zielony świat. Zmierzch zapadał stopniowo, każda minuta była bardziej szara, spokojniejsza, cichsza.

Kosma chłonał ten spektakl, ściskając barierkę na tarasie i wpatrując się urzeczony w zatapiające się w ciemności Bieszczady.

– Wróciłeś – usłyszał za sobą głos Pauliny.

– Piękny zachód słońca – odpowiedział, odwracając się.

– Luba mówiła, że byłeś u starej Zośki. Trafłeś? – Zignorowała jego zachwyty, ale nie było w tym nic dziwnego, przywykła, dla niej to była już codzienność.

– Tak, Luba wyrysowała mi piękną mapkę.

– I stara cię nie pogoniła?

– Na szczęście nie, ale też i niczego ciekawego się nie dowiedziałem.

– Yhm – odparła dziewczyna, ale w jej głosie dało się wyczuć coś na kształt zakłopotania, może i obawy.

– Stało się coś? – zapytał Kosma.

– Potrafisz dochować tajemnicy? – zapytała. – To znaczy czy policjanta obowiązuje coś podobnego jak adwokata czy tam księdza?

– Tak. Istnieje coś takiego jak tajemnica postępowania przygotowawczego. Plus dziesiątki innych zakazów, jak chociażby RODO.

– Zapytam inaczej; czy możesz obiecać, że gdy ci coś pokażemy, to nie ujawnisz tego od razu, bez konsultacji z nami?

Kosma spojrział na nią, otoczoną szarością zmroku, ledwo oświetloną lampami na tarasie. Miała zatroskaną twarz.

– Mogę to obiecać tak po prostu, jako człowiek. Dla mnie to silniejsze niż paragrafy.

– Chodź. – Odwróciła się i weszła do schroniska, a on podążył za nią.

W środku było pusto, przy stole żadnego turysty sączącego powoli piwo, co stanowiło standardowy widok poprzednich wieczorów.

– Nie macie żadnych gości? – zapytał.

– Policja ustawiła na drodze dojazdowej do Bielm punkt sprawdzający, co wystraszyło przyjezdnych. Innej drogi, aby do nas dotrzeć, nie ma, chyba że z Ukrainy, ale tutaj pogranicznicy zamknęli granicę.

– Dobry ruch – stwierdził. Ludzie pałętający się na miejscu zbrodni byli przekleństwem służb, szczególnie odkąd każdy miał w ręce smartfon i mógł transmitować wszystko na cały świat. – Dokąd idziemy?

– Mamy tutaj taki pokój socjalny, chodź. – Przeprowadziła go przez bar, potem kuchnię i mały magazyn, aż zeszli schodami do przyziemia i znaleźli się w małym, ale dość przytulnym pokoju. Stolik, kanapa, kilka krzeseł, telewizor na ścianie, szafa. W środku zastali Łukasza, Lubę i obcego chłopaka.

– Marcin Zięba. – W stronę Kosmy wystrzeliła ręka na powitanie, umięśniona i pokryta kolorowymi tatuażami. – To ja jestem tym gościem z uniwerku, z którym chciałeś pogadać.

Był wysoki, dobrze zbudowany i pewnie jako wykładowca łamał serca studentkom na swoim wydziale. Przystojna twarz, krótko przystrzyżona broda, harde spojrzenie niebieskich oczu, szeroka klatka piersiowa, wytatuowane przedramiona, luźny styl i szczery uśmiech.

– Kosma Ejcherst – uścisnął podaną dłoń – trudno cię złapać.

– Lubię góry, a Biesy w szczególności – odparł chłopak. – Płacam za pobyt tutaj, a do wieczora nie dzieje się pod drzewem nic ciekawego, przynajmniej do tej pory tak było. Robiłem sobie wypad, a to na Ukrainę na Kiczere Siankowską, a to tutaj zaliczyłem Tarnicę, Rozsypaniec, Kiczere, raz się przespałem w Wołosatem.

– A robota? – zapytał Kosma z uśmiechem.

– Robota nie Gołota, nie ucieknie.

– Siadajcie – zarządziła Paulina, a Łukasz wyjął z szafki kilka butelek piwa.

– Ale coś masz?

– No właśnie. – Mina chłopaka zrzędała i zadrzała mu ręka. – Wysłali mnie tutaj w celu zbadania ewentualnych objawień pod kątem naukowym. Dziwna sprawa, bo normalnie tym się nikt nie zajmuje, bo i jak do tego się zabrać, jakich metod użyć? Ktoś sobie coś uroił i sprawdzenie tego jest po prostu niemożliwe. Tutaj

prędzej psychiatra by się przydał, a nie doktorant na wydziale nowoczesnych metod kryminalistycznych.

– Więc olałeś temat? – wszedł mu w słowo Kosma.

– Absolutnie nie – zaprzeczył stanowczo Zięba. – Wiem, że mój przyjazd tutaj został niejako zlecony przez pewnego biskupa, który przyjaźni się z rektorem mojego wydziału. Co prawda zrobił to pewnie dla świętego spokoju, ale jakieś wyniki muszą być. Pierwszego wieczoru byłem na miejscu, ustawiłem kamery termowizyjne, badałem ślady promieniowania, nawet uruchomiłem mały sejsmograf. Wszystko po to, żeby mieć później cały zestaw wyników jako załączniki do raportów. Niczego oczywiście nie zarejestrowałem. Jednak dostałem zlecenie na cały miesiąc pracy, więc coś trzeba było robić. Stwierdziłem, że to bez sensu, żebym każdego dnia siedział pod drzewem i wysłuchiwał tych bredni, bo jeszcze się uwstecznię, ale gdyby jednak doszło do jakiejś niespodziewanej manifestacji, powinienem mieć to zarejestrowane. No nie wiem, słońce zacznie wirować jak w Fatimie, może będą rozbrzmiewać śpiewy jak w Guadalupe. Zamontowałem zatem swoje kamery na drzewie i zgrywam wszystko, co tam wpadnie.

– I nagrałeś wczorajszą strzelaninę – dopowiedział Kosma.

– Tak. Nawet nie wiedziałem, że tam do czegoś doszło. Każdego ranka zaglądam do mojego sprzętu, wymieniam kartę pamięci i baterię, po czym jadę dalej. W mieście zrzucaam pliki na laptopa, przesyłam je na chmurę do uniwerku. Tutaj jest tragiczny internet.

– Mamy tylko mobilny – wyjaśniła przepraszająco Paulina. – Nie ma szans dociągnąć na to zadupie światłowodu.

– Z tego powodu muszę codziennie meldować się w takim miejscu, gdzie mogę złapać dobrego neta – kontynuował Zięba. – Dziś miałem jechać do Dźwiniacza połączyć po rezerwacji, więc ruszyłem przed świtem. Stał radiowóz pod drzewem, ale ekipa spała, podszedłem spokojnie pod drzewo i oporządziłem sprzęt.

– Nie widziałeś, że tam stoi namiot, teren ogrodzony taśmą? – zapytał Kosma.

– Coś tam stało, myślałem, że to może pielgrzymi czy coś. Nie wiem, ciemno jeszcze było. Pojechałem do Dźwinacza, pozwiedzałem, a potem do Stuposian zjeść i podpiąć się pod sieć. Jest tam fajny zajazd Bieszczadzka Baszta. Tam dopiero od właścicielki dowiedziałem się, co wydarzyło się wieczorem w Bielmach. Szybko obejrzałem film, no i...

– Tam wszystko jest – uzupełniła Paulina, widząc, że Zięba zamilkł. – Widać, kto strzelał.

– I ja nie wiem, co mam z tym filmem zrobić – powiedział chłopak.

– To proste – odparł szybko Kosma. – Oddać policji. I to natychmiast.

– Widzisz, i tu się trochę sprawy komplikują – odezwał się milcząco do tej pory Łukasz.

W pokoju zapadła cisza, Kosma wyczuwał napięcie panujące pomiędzy ludźmi, którzy go tutaj zaprosili.

– Co jest nie tak z tym filmem? – zapytał w końcu.

– W normalnych okolicznościach zawiózłbym ten film od razu na policję – zapewnił Zięba. – Ale ja znam strzelającego.

– Dlatego postanowił najpierw skontaktować się z nami – wyjaśniła Paulina.

– Może ja pokażę, co? – zaproponował chłopak, po czym puknął w klawisz na swoim laptopie, a telewizor zawieszony na ścianie rozświetlił się obrazem znanej już Kosmie wsi.

Święta Lipa faktycznie stanowiła doskonały punkt obserwacyjny, kamera musiała być szerokokątna, bo widać było nawet położony po drugiej stronie drogi kościół i cmentarz. Obraz był bardzo wyraźny mimo zmroku.

– To kamera 4K – wyjaśnił chłopak. – Przy odpowiednim sprzęcie można wyciąć dowolny fragment nagrania i bardzo skutecznie go przeanalizować. Puszczam już tylko od momentu, gdy doszło do tego zdarzenia.

– Nikt jej nie zauważył?

– Przecież tam tyle krzyżyków i świętych obrazków nawalone, że telewizor byś schował, a tym bardziej kamerę wielkości pudełka zapalek.

Kosma spojrział na telewizor i przypomniał sobie ten obraz, aczkolwiek widziany z innej perspektywy. Monitor w domu Zenka pokazywał tłumek wiernych od tyłu, natomiast tutaj wszyscy stali na wprost obiektywu. Na pierwszym planie widniały plecy proroka, a jego słuchacze stali w pewnym oddaleniu, wszyscy bez wyjątku rozmodleni, część trzymała różańce, niektórzy świece, które dawały tyle światła, że można było rozpoznać poszczególne twarze. Pierwsze, za czym rozejrzał się Kosma, to kamerzysta, którego widział na miejscu zdarzenia. Stał po lewej stronie ekranu, daleko za tłumkiem. Jeśli kamera nagrywała cały czas, to później podszedł bliżej i na pewno znalazł się na nagraniu.

– Dźwięk? – zapytał Kosma, bo nie było niczego słychać.

– Nagrywam osobnym mikrofonem, mogę dorzucić osobno.

Przed tłum powoli wysunął się mężczyzna w krótkim płaszczu z kapturem, rozsunał poły odzienia i wyjął zza nich olbrzymi nóż. Spojrział na proroka, uśmiechnął się i kiwnął głową. Uniósł wysoko nóż i trzymał go tak, idąc w stronę Zenka, ale nie śpieszył się, jakby był Ponurym Żniwiarzem we własnej osobie i zdawał sobie sprawę, że ta dusza mu nie umknie, co ma się stać, to się stanie. Nóż odbijał refleksy ze świec trzymanyh przez pielgrzymów, aż w końcu opadł, ale nie w geście ataku, po prostu trzymający go Klaudiusz padł na ziemię. Za nim stał inny mężczyzna, łysy, dobrze zbudowany, z pistoletem w dłoni. Jego twarz było widać bardzo wyraźnie.

– To Strzyga – poinformował Łukasz.

– Kto? – zapytał Kosma.

– Lokalny... jak by to powiedzieć...? – zaczęła Paulina.

– Gangster – rzucił bez ogródek jej mąż. – Trzyma łapę głównie na przemyśle papierosów i innych rzeczy z Ukrainy, także narkotyków i ludzi.

– I jest miejscowy – dodała Paulina. – Wpada do nas nawet raz w tygodniu na piwo.

- I tak go poznałem – powiedział Zięba. – W dodatku to...
- Moja rodzina – westchnęła Paulina. – Nie ma się co kryć. To mój kuzyn, syn wujka, który prowadził to schronisko przed nami. Mówią na niego Strzyga, ale faktycznie nazywa się Jan Brodzki.
- I nie chcesz podawać rodziny na policję? – zapytał Kosma nieco zdziwiony. – Mimo że to przestępca?
- Nie o to chodzi – zaprzeczyła. – Wiążą nas bardzo luźne relacje, ale boję się o Marcina, także trochę o nas. Strzyga wie, że Marcin nagrywał te spotkania z prorokiem, rozmawiali tutaj przy piwie. Trochę się tym oburzał, bo jest bardzo wierzący i zapatrzony w tego Zenka, jak w święty obrazek.
- No i jest nieobliczalny – dodał Łukasz. – Potrafi zabić bez mrugnięcia okiem, jak widać.
- Czy jak oddam ten film na policję, to mogą objąć mnie jakąś ochroną? – zapytał Marcin. – Tak jak świadków koronnych?
- Nie zrobią tego – odparł od razu Kosma. – W Polsce do momentu skazania to oskarżony ma większe prawa niż świadek. Jednak musisz przekazać ten film. Najlepiej zrób to i od razu wracaj do siebie, do Krakowa.
- Jestem pewna, że Strzyga ma kilku lokalnych policjantów w kieszeni, może nawet kogoś z pograniczników – powiedziała Paulina. – Jak inaczej prowadziłby te swoje szemrane biznesy?
- Kilku to może przesada – odparł Kosma. – Ale niewykluczone, że ktoś jest na jego liście płac.
- Nie takiej odpowiedzi oczekiwali, ich miny jasno to wskazywały. Jak na komendę sięgnęli po butelki z piwem.
- Nie możemy zataić tego filmu – odezwał się Kosma, gdy butelki zgodnie stuknęły o blat stołu. – To zbyt ważny dowód, w dodatku jest na to paragraf. A ja jestem policjantem.
- Dlatego myślałam, że może tobie to zgłosimy, a ty przekażesz to bezpośrednio do Warszawy – powiedziała Paulina. – Ominiemy w ten sposób tych, którzy mogą być skorumpowani.

– I tak to tutaj trafi – poinformował Kosma. – Nie ma innej możliwości. To znaczy jest, musiałbym to przekazać bezpośrednio do CBŚP. Tam raczej twój kuzyn nikogo nie ma. Sprawa i tak już jest medialna, a oni lubią zaświecić swoim logo w wiadomościach. Jednak czy to przejmą, to decyzja zapadnie na górze.

– Zróbmy tak – poprosił Marcin. – Najlepiej, żeby moje nazwisko nawet nie padło w tym waszym protokole. Ja dam ci ten film, powiesz, że sam go nagrałeś, co?

– Mówiłeś, że Strzyga i tak o tym wie – zauważył Kosma.

– Zdążę wyjechać. Mało tego, zawinę dupę z kraju. Moja mama mieszka we Włoszech, na Sycylii dokładnie. Są wakacje, do końca września będę mógł tam siedzieć. Jeśli do tego czasu go nie złapią, to zostanę nawet i na rok, i tak na tej uczelni gównie zarabiam.

Kosma zauważył wpatrzony w siebie trzy osoby, a wszystkie czekały na jego jedno słowo.

– A wy się nie boicie? – zapytał Pauliny i Łukasza. – Może przecież tu przyjść i mścić się na was.

– Niby dlaczego? – zdziwił się Łukasz.

Kosma westchnął. Ludzie żyjący w błogim świecie, gdzie zbrodnie widywało się jedynie w wiadomościach i nagłówkach portali informacyjnych. Tacy ludzie jak Strzyga, przyciśnięci przez okoliczności, robią się nieobliczalni i bardzo niebezpieczni. Zaraz, a może to on go napadł tamtej nocy?

– Dobrze – zgodził się po chwili milczenia. – Potrzebuję tego filmu w całości.

– Już ci zgrywam – ucieszył się Marcin.

– I jeszcze czegoś.

– Tak? – W głosie chłopaka dało się wyczuć obawę, że jednak nie wszystko pójdzie po jego myśli.

– Powiedz, od kiedy prowadziłeś obserwacje?

– Od dziewięciu dni.

– W dniu, w którym utopił się ten ksiądz, także?

– Tak.

– Chcę wszystkie filmy, które tam nagrałeś.

– Nie mam ich tutaj. – Wskazał na swojego laptopa. – Mam dysk SSD o małej pojemności, wszystko wysyłałem do chmury na uczelni.

– Ale są tam?

– Oczywiście. Możemy jutro dokądś podjechać, jak złapiemy dobrego neta, to od razu ci wszystko ściągnę.

Kosma chciał już jechać, ale spojrzał na puste butelki po piwie stojące na stole. Sprawa będzie jednak musiała poczekać do jutra.

– Bardzo ci dziękuję. – Paulina zwróciła się do Kosmy. – Wiedziałam, że się na tobie nie zawiodę. Z daleka czuć cię porządnym człowiekiem.

– Weźmy po piwie i chodźmy na taras – odparł lekko zarumieniony. – Zapowiada się piękna noc.

Gdy szli po schodach na górę, usłyszeli podniesione głosy. Luba z kimś się kłóciła.

8.

Luba stała na środku jadalni i trzymała się pod boki, a z jej postawy była władczą siłą. To był ten typ kobiety, któremu byle kto nie mógł się postawić. Naprzeciw niej stała blondynka, którą Kosma poznał dziś w lesie niedaleko domu proroka. Ona natomiast była uśmiechnięta, ale zaciśnięte pięści i zwężone w szparki oczy mówiły jasno, że trafiła kosa na kamień.

– Powtarzam, nie mamy wolnych miejsc! – nieomal krzyczała Luba.

– Pieprzenie – odpowiedziała jej podniesionym głosem dziennikarka. – Przecież widzę, że macie puste schronisko.

Kosma uśmiechnął się na wspomnienie biednego Romusia, którego spotkali przed chwilą na schodach. Schodził po nich w poszukiwaniu pomocy, czując nadciągającą burzę. „Chyba będą się biły” – powiedział przestraszonym głosem.

– Nie spełnia pani standardów lokalu – odpowiadała twardo Luba.

– O! A jakich to?

– Przyzwoitości. No i za dużo silikonu. – Wskazała na piersi i usta blondynki. – Tyle to nam nawet w trakcie remontu nie poszło, jeszcze pęknie i pościel poklei. Nie mam zamiaru tego sprzątać.

– Stop! – zainterweniowała Paulina, bo dziennikarka ewidentnie szykowała się do eskalacji konfliktu w kierunku użycia siły. – Luba mówi prawdę, całe schronisko mamy zajęte.

– Ale... – podjęła blondynka, ale zauważyła Kosmę i w ułamku sekundy zmieniła się z wojowniczką w najmiłą kobietę świata. – Może pan coś pomoże? Jest noc, jeśli nas tutaj nie przyjmiecie, to będziemy musieli spać w samochodzie. W pobliżu nie ma wolnych miejsc, pozostali dziennikarze wszystko pozajmowali.

– Jeszcze po jednej nocy w samochodzie nikt się nie zesrał – skomentowała Luba.

– Proszę wybaczyć, ale swojego pokoju pani nie oddam – odpowiedział Kosma. – A skoro nie ma miejsc... – Wzruszył ramionami i spojrzał na Paulinę, nie umknął jego uwagi także triumfujący uśmiech Luby.

– Oj, dajcie już spokój – włączył się Łukasz. – Mamy taki jeden rezerwowany pokój na czarną godzinę, zazwyczaj trzymamy go dla pograniczników. Paulinko?

– Nieposprzątanym jest – powiedziała Luba.

– Może być – rzuciła szybko blondynka. – Zapłacimy podwójnie, tylko proszę nam fakturę wystawić.

– Nie ma problemu – westchnęła Paulina. – Proszę iść po bagaże, Łukasz zaraz pokaże wam pokój. I zapraszamy na kolację, właśnie mieliśmy podawać.

Dziennikarka odwróciła się radośnie i ruszyła w stronę drzwi.

– Miększon – skomentowała Luba, patrząc na Łukasza.

– Oj, daj spokój – odpowiedział z uśmiechem. – Tak jej pojechałaś, że aż mi się jej szkoda zrobiło.

– A ty spójrz na jej cycki, to ci oczy wydłubię. – Luba tym razem zwróciła się do swojego Romusia.

Ten zaczerwienił się po same uszy, skulił i zniknął w kuchni.

9.

Kolacja przebiegała w nie najlepszej atmosferze, pomimo stołu suto zastawionego różnymi wędlinami, serami od lokalnych dostawców i świeżo wypiekanym w schronisku chlebem. Dziennikarka żywo zagadywała wszystkich, jej kolega pełniący rolę kierowcy i operatora też starał się podtrzymywać konwersację, ale reszta zdecydowanie nie dawała się wciągnąć w rozmowę. Romuś siedział ze spuszczoną głową. Luba miała taką minę, że można było za jej pomocą zakwaszać ogórki, Paulina starała się nikomu chyba nie podpaść, potakiwała i podsuwała gościom pod nos co lepsze smakołyki. Kosma natomiast został zagadnięty przez studenta o kwestie tego, czy w policji stosowane są jakieś nowe narzędzia, jak chociażby sztuczna inteligencja, a że nie miał o tym pojęcia, to postanowił dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat właśnie od chłopaka. Tylko Łukasz stanął na wysokości zadania i starał się podtrzymywać rozmowę, co jednak wychodziło nieco sztucznie.

Każdy z delikatną ulgą przyjął moment, gdy kolacja została uznana za zakończoną. Pośpiesznie wstawali od stołu i ruszali do swoich spraw. Kosma nie inaczej, już szedł do swojego pokoju, gdy złapał go pod rękę Marcin i pociągnął na zewnątrz.

– Wypijemy po piwie – powiedział głośno. – Mam taką prywatną sprawę – dodał, wybijając pozostałym z głowy jakiegokolwiek pomysły co do towarzyszenia im w tej wyprawie.

Wyszli przed schronisko, chłopak bez słowa ruszył rażno w stronę Sanu; trzymane w prawej ręce dwie butelki piwa podzwaniały cicho. Dotarł do wąskiej rzeczki i przeskoczył ją kilka metrów od mostku prowadzącego na drugą stronę. Kosma zrobił podobnie.

– Straż graniczna – powiedział ostrzegawczo.

– Daj spokój – odpowiedział Marcin. – Oni przecież przychodzą do schroniska wieczorami, nie mają nic przeciwko, gdy goście kręcą się w tym miejscu.

– Mogliśmy usiąść na tarasie.

– Dziennikarka – odparł chłopak i potarł palcem płatek ucha, jakby to wszystko miało tłumaczyć, i chyba tak było.

Usiadł w końcu na ławce wykonanej ze starego drzewa, które musiało się przewrócić podczas jednej z wichur przetaczających się po Bieszczadach. Otworzył jedną butelkę o drugą i podał Kosmie piwo.

– Co to za sprawa? – zapytał chłopaka, biorąc butelkę do ręki i siadając przy nim.

– Jak bardzo wierzysz w te objawienia?

– A jakie to ma znaczenie?

– Fundamentalne. Jeśli wierzysz w cokolwiek, to na świat już będziesz patrzył przez pryzmat swoich przekonań.

– Jestem ateistą – odparł Kosma. – To chyba na starcie wyklucza jakiegokolwiek rozterki nad prawdziwością objawień.

– Zawsze można się nawrócić.

– Daj spokój. Jeśli raz już przejrzyś na oczy, to patrzyś na to jak na kiepskiej jakości cyrk. Jakiś chłop w Bieszczadach twierdzi, że rozmawia z Jezusem, no i co? Ze wszystkich objawień w historii świata nie wynikło kompletnie nic oprócz pobudowania kolejnych kościołów, żeby wyciągać pieniądze od wiernych.

– Uzdrowienia?

– Jak zaczną ludziom odrastać amputowane kończyny, dzieciom zniknie zespół Downa, a sparaliżowani faktycznie wstaną z wózków, to pogadamy. Na razie jedyne, co przynoszą objawienia, to zalecenia modlitw i odmawiania różańca. Módlmy się, aby odezwał się do nas Bóg, a jak się odezwie, to każe się modlić. Perfekcja! Zresztą, ty jako naukowiec powinieneś to wiedzieć najlepiej.

– Wiem, ale chciałem poznać twoje stanowisko w tej sprawie. Liczby potwierdzonych uzdrowień w miejscach objawień są tak śladowe, że ciężko je przypisać do czegokolwiek. Poza tym, dlaczego na pół miliona pielgrzymujących jedna osoba nagle zostaje uzdrowiona? To jakiś boski totolotek?

– No to już znasz moją opinię. To oszust, zresztą jak każdy od objawień.

– Dobrze. Rozmawiałeś z nim?

– Tak.

– Powiedział ci coś takiego, co wprawiło cię w zdumienie?

– Tak. Ale to tanie sztuczki, nawet policjanci poznają je na szkoleniach, jak sprawiać wrażenie, że wszystko się wie, jak czytać mowę ciała, kojarzyć fakty i dedukować. Jedni są w tym kiepscy, inni wręcz wybitni. Tutaj mamy jednostkę wysoce uzdolnioną.

– Zgadzam się. Powiedz mi, czy zaprosił cię na kolejną rozmowę?

– Można tak powiedzieć. Zapowiedział, że przyjdę do niego po kolejne informacje, a wtedy powie mi więcej, niż chcę usłyszeć.

– A na twoje próby wyciągnięcia czegokolwiek od niego powiedział, że masz wrócić, jak będziesz wiedział, o co pytać?

– Tak.

– Idź tam jutro. Porozmawiamy wieczorem w tym samym miejscu.

– Dlaczego nie dziś?

– Ten człowiek to oszust, ale musisz się sam o tym przekonać. Empiryzm jest najlepszą formą potwierdzania założeń.

Kosma pokiwał głową, pociągnął długi łyk piwa.

– On żeruje na ludziach – powiedział Marcin po chwili ciszy. – Na uczuciach, a to najgorszy rodzaj uczyty, zawsze kończy się obgryzionymi kośćmi rzuconymi w kąt, z tym że to my jesteśmy posiłkiem na tym stole. Przerwij to. Dostarczę ci wszystko, czego tylko chcesz.

- To i tak nie przekona wiernych pod drzewem.
- Ich nic nie przekona. Wiara na tym się opiera, to podążanie z zawiązanymi oczami za przewodnikiem, to bezgraniczne zaufanie. Wierysz w Boga? – zapytał chłopak odwracając się w stronę Kosmy.
- Chyba nigdy nie wierzyłem. Kiedyś na przekór rodzinie, która jest mocno związana z Kościołem katolickim, a dziś już świadomie.
- Ale rozumiesz, o co mi chodzi?
- Tak. Ci ludzie będą przychodzić pod drzewo i słuchać proroka, bo ten mówi to, co chcą usłyszeć.
- Mój przypadek pokazuje, że to, co chcesz usłyszeć, niejednokrotnie, okazuje się kłamstwem.

Marcin dopił piwo i poczłapał w stronę schroniska. Kosma odprowadzał spojrzeniem jego sylwetkę to znikającą w ciemności, to po chwili pojawiającą się, gdy padły nań światła z tarasu.

10.

Zauważył ją, gdy już kończył swoje piwo. Stwierdził, że miejsce po drugiej stronie Sanu jest idealną lokalizacją, aby zadzwonić do Kacpra i omówić z nim wydarzenia dnia. Prorok kłamał, coś, co powiedział chłopakowi, nie było drobnym błędem, to była prawidłowość i miał na to dowód, ale niemożliwy do publicznego ujawnienia. Już wyjmował telefon, gdy schronisko rozjaśniło się jasnym prostokątem światła, ktoś otworzył główne drzwi.

Dziennikarka wyszła ze schroniska i ruszyła w jego stronę, a raczej chyba w kierunku rzeki, bo on siedział w kompletnych ciemnościach. Przeszła przez mostek i skręciła w prawo, ale nie dotarła do jego ławki, usiadła po prostu w trawie na zrzuconej z pleców kurtce. Po chwili usłyszał klikanie zapalniczki, kilkukrotne, potem jakieś burknięcie i kilkanaście kolejnych prób skrzesania ognia. Wszystkie musiały być nieudane, bo dziewczyna zaczęła kląć. Potem usłyszał przełykanie, chyba piła. A potem szloch.

Płacząca kobieta, tylko tego mu brakowało. Ruszył w jej kierunku.

– Będziesz zdrowsza – powiedział głośno, aby nie przestraszyć jej swoim pojawieniem.

– To ty – powiedziała odwrócona w jego stronę, specjalnie wyszedł tak, aby księżyc oświetlił jego twarz. – Pomaga na nerwy. – Zamachała paczką papierosów, po czym otarła grzbietem dłoni oczy.

– Wszyscy palacze tak mówią, że papierosy pomagają na nerwy, ale nie widziałem, żeby któryś się po swojej dawce nikotyny uspokoił.

– Szukamy wymówek dla swoich nałogów, czyż nie? – zapytała i posunęła się delikatnie, robiąc mu miejsce.

– Ano. – Usiadł.

Trzymała w ręku butelkę wina, którym go teraz poczęstowała. Podziękował i odmówił, mieszanie piwa z winem nigdy mu nie służyło.

– Nina. – Wyciągnęła w jego stronę rękę.

– Kosma.

– Pięknie, oryginalnie.

– Twoje imię też nie jest typowe.

– Mama była fanką Niny Terientiew, oglądała pasjami jej programy, *Bezludna wyspa* leciała w domu na okrągło. Wypchnęła mnie na dziennikarstwo, no i już. Oto moja historia – zakończyła z goryczą.

– Moja matka była fanką świętego Kosmy i wypchnęła mnie do seminarium.

– Jesteś księdzem? – zapytała, ze zdziwienia krztusząc się winem.

– Różnie mówią – odpowiedział. – Wydawało mi się, że lubisz swoją pracę. Nie oglądam telewizji, ale podobno jesteś gwiazdą.

– Widziałeś kiedyś gwiazdę, która włączy się po takich zadupiach?

– To co tu robisz?

– W mojej stacji kupili prawa do zagranicznego formatu opowiadającego o największych przestępcach i postanowili, że to ja go poprowadzę. Super! Świetnie! Tylko że do tej pory siedziałam w telewizji śniadaniowej, prowadziłam program kulinarny i śledziłam życie celebrytów. Muszą mnie ograć jako ekspertkę od zbrodni. Tydzień temu zaczęli przygotowywać plan działań, aż tu nagle wpadła taka sprawa. To nie moja działka, nie znam się na tym. Nie potrafię wściubiać nosa w życie zwykłych ludzi, nie umiem wyciągać informacji. Taki celebryta to pieprzy, ile wlezie, bo musi być na okrągło w mediach, a tutaj co bym kogoś nie zapytała, wszyscy milczą. Wiesiek, mój operator, powiedział, że zawsze w każdej miejscinie znajdzie się jeden, co ma parcie na szkło i opowie o wszystkim, co się dzieje u sąsiada, ale tutaj nikogo takiego nie ma. Pierdolę to, wracam do domu.

Przekleństwo w jej ustach zabrzmiało jakoś nienaturalnie, jakby z ust pluszowego misia wypadł kamień. Pociągnęła spory łyk wina i ponownie poczęstowała Kosmę, ale odmówił.

– Mam plan wesolutko się najebać, a rano na kacu niech mnie Wiesiek odwiezie do domu. Z tego, co wiem, to żadnemu z dziennikarzy nie udało się namówić kogokolwiek na rozmowę. Wszyscy zwijają manatki.

– Nie lubią tu obcych – skwitował Kosma.

– Teraz to widzę. Jak mnie potraktowała ta sucz w schronisku, to masakra. W Warszawie wyjebaliby ją z roboty w dwie minuty. Co ludzi kręci w tych Bieszczadach? Ani porządnie zjeść, wypić czy gdzieś przekimać. Mogliby tu sobie jakąś saunę czy jaccuzi postawić. Jedyna rozrywka to się najebać.

– Ludzie przyjeżdżają tutaj zakochać się w życiu – stwierdził Kosma.

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, podniosła dłoń i zamarła w tej pozycji.

– Mogę? – zapytała, wskazując na bliźnię.

Nie czekając na pozwolenie, dotknęła jego twarzy.

– Skąd to masz? – zapytała. – Ksiądz z taką szramą, to ciekawe.

Miała ciepłą dłoń, a delikatne opuszki palców przesuwają się po wrażliwej na dotyk skazie na jego czole powolutku, czuł, jakby po bliźnie spływał balsam. Pachniała owocami i winem, Kosmie skurczył się żołądek i zabiło mocniej serce.

– To pamiątka – odpowiedział, delikatnie łapiąc ją za dłoń i odsuwając od twarzy.

– Po czym?

Westchnął głęboko i odchylił się, bo zauważył, że się do niego przysuwa, jej twarz była już tak blisko, że czuł jej oddech, pełen cierpkiego wina.

– Po nocnej schadzce pod drzewem – odparł. – Właśnie...

Nie pozwoliła mu dokończyć, pocałowała go, mocno wpychając mu język do ust, na co odchylił się jeszcze bardziej, ale ona napierała. Poczul na klatce jej piersi, niezwykle twarde, uniosła się lekko, próbując usiąść na nim okrakiem, i uderzyła go czołem, wprost w bliznę. To go otrzeźwiło. Odsunął ją od siebie stanowczo, choć nie było to łatwe, broniła się przed tym, a i jego zalewała fala pożądania.

– Dlaczego? – wyszeptała ciepłym od wina oddechem, który rozlewał się po jego twarzy.

– Jak wspomniałaś, jestem księdzem – odpowiedział.

– Tym lepiej.

– Nie. – Tym razem odepchnął ją mocniej.

Co miał jej powiedzieć? Że blizny nabawił się, bo uległ właśnie pokusie żądzy? Miał jej opowiedzieć wszystko, do czego doszło we Wnykach? Nie starczyłoby nocy, a i tak by mu nie uwierzyła. Mało tego, była dziennikarką, a te wydarzenia były objęte tajemnicą i oby nigdy nie ujrzały światła dziennego.

– Przepraszam, mam kogoś – rzucił szybko, żywiąc nadzieję, że nie wyczuła kłamstwa.

– Rozumiem – odpowiedziała i westchnęła, sięgnęła z powrotem po swoją butelkę. – Chciałam się odstresować i dobrze wiem, że nie jesteś księdzem, tylko policjantem. Aha, i drugiej szansy nie będzie.

– Przyjmuję do wiadomości.

– Zostaw mnie teraz samą, dobrze? Nie lubię pić w towarzystwie mężczyzn, jeśli nie mają planu zostać ze mną do rana.

Wstał bez słowa, zabrał pustą butelkę po piwie i ruszył w stronę schroniska. Będzie musiał znaleźć lepsze miejsce na telefon do Kacpra.

11.

Kosma mówił, a jego przyjaciel słuchał. Cierpliwie. Nie przerywał mu, co było do niego niepodobne, nie pozwalał sobie na tradycyjne wycieczki w rejony biblijnych cytatów, nie drwił z rozmówcy. Jak nie on.

– Kacpejro, masz jakiegoś gościa? – zapytał w końcu Kosma.

– Co? Ja? Dlaczego pytasz?

– Nie przeklinasz i nie mądrujesz się.

– Zdaje ci się.

– Jeśli to ten twój parafialny informatyk, to wygoń go ze swojego łóżka, będzie nam potrzebny jutro do analizy filmów, niech się wyśpi.

– Na wszystkie zwierzęta pominięte przez Noego podczas potopu, co ty pierdolisz? Przecież wiesz, że jestem hetero.

– Co to za różnica dla księdza? Przecież celibat wiąże ci ręce i... nie tylko.

– Taka różnica, że jeśli grzeszę w myślach, to z kobietami płci przeciwnej. Dorosłymi!

– No i?

– Ano jak ulegnę pokusie zbliżenia cielesnego, to złamię tylko celibat, a nie prawo. Informatyk, chociaż słodki, też raczej

rozgląda się za dziewczynami, tak przynajmniej wynika z historii jego przeglądarki. Zresztą, Kosmyk, nie zagaduj mnie.

– Nie zagaduję, tylko zachowujesz się nico dziwnie.

– Mam gościa, zgadłeś.

– Kobieta?

– Ksiądz. Przyjechał do mnie z kurii na rozmowę. Wychowawczą.

– Cholera.

Sprawa musiała być poważna, bo kuria nie wysyłała raczej swoich ludzi na zapadłe plebanie, aby dyskutowali o poczynaniach kapłanów. Kuria wzywała.

– Nom, otóż to.

– Czego chce?

– Sprawa jest dość delikatnej natury, wyjaśnię ci jutro, ma wyruszyć po obiedzie. Musiałem oddać mu swój pokój, sam śpię w kuchni, a tutaj głos się niesie.

– Prześpij się zatem ze sprawą.

– Dobra, jutro pogadamy, proszę cię, Kosmyk, to poważne – Kacper ściszył głos.

Kosma aż przełknął ślinę, bo jego przyjaciel faktycznie zdawał się nie żartować.

– Dobra, jadę jutro z tym chłopakiem do miasta, ściągnie mi wszystko na dysk, prześlę na chmurę i wystawię ci link. Ja mam tu tylko laptopa, wrzućcie to na jakiś duży ekran, poróbcie zbliżenia czy co tam można.

– Jasne. Dobranoc.

Kacper rozłączył się. Kosma schował telefon do kieszeni i wysiadł ze swojego samochodu, w którym schował się na czas rozmowy. Ruszył do schroniska. W lesie za budynkiem coś trzasnęło. Zatrzymał się w miejscu, nasłuchując, ale otaczała go cisza, słyszał tylko łomotanie swojego serca. Przesunął odruchowo ręką po swojej bliźnie i przypomniał sobie, że przecież

po drugiej stronie rzeki została Nina. Poradzi sobie, przecież to duża dziewczyna.

Złapał za klamkę i przekroczył drzwi schroniska.

ROZDZIAŁ 8

BENIOWA. ROK 1947

Major Lew Koroniewski spojrział na siedzącego za kierownicą gazika swojego przyjaciela, chorążego Marcela Czerwińskiego, jakby to mogło przyśpieszyć podróż. Szofer zaciskał kurczowo ręce na kierownicy i nie bacząc na nierówności drogi, wyciskał z wysłużonego silnika siódme poty. Rzut oka na zegarek uświadomił majorowi, że jedyna nadzieja na ratunek była w podejściu do służby żołnierzy, którzy mieli wykonać dziś rozkaz. Było w nim jasno określone, że akcja ma zacząć się o dziewiątej rano, a oficer na miejscu był Polakiem, zatem nie da rozkazu ani o minutę wcześniej czy później. Mieli dziesięć minut na dotarcie do celu, a wiadomo, że jak człowiek się spieszy, to czas spieprza jak Niemcy w czterdziestym piątym przed aliantami. Chociaż oni raczej spierdalali.

– Nie da rady szybciej! – zawołał chorąży, przekrzykując wyjący silnik.

Major uchwycił się mocniej burty pojazdu z obawą, że zostanie wyrzucony w torfowisko na najbliższym wertepie. Resory zajęczały, a radziecka konstrukcja oparta na patencie Amerykanów wyskoczyła z za wzgórza i zobaczyli pozostałości wsi Beniowa. Widać było zarówno zabudowania, jak i kilkanaście samochodów wojskowych i kręcących się dookoła nich żołnierzy. Najważniejsze jednak, że nie unosił się nad nimi żaden dym, czyli akcja się jeszcze nie rozpoczęła.

Major spróbował wstać, żeby zobaczono go z daleka, ale samochodem szarpnęło i walnął z powrotem na twarde siedzisko. Uspokoił się jednak, bo wszystko wskazywało na to, że zdążą.

Była dokładnie ósma pięćdziesiąt dziewięć, gdy major Lew Koroniewski wyskoczył z samochodu i oddał salut dowodzącemu akcją porucznikowi Marcinowi Zakrzewskiemu.

– Towarzyszu majorze – powitał go Zakrzewski, salutując regulaminowo, choć z uśmiechem. – Cóż to się stało?

– Nie zaczęliście jeszcze, jak widzę.

Porucznik rzucił okiem na zegarek, poruszył mocno zarysowaną szczęką, jakby coś żuł, i spojrzał na majora.

– Miałem właśnie wydawać rozkaz.

– To dobrze, że zdążyłem – odparł Koroniewski.

– Chciał coś major z kościoła zabrać?

– Nie, skąd.

– To dobrze, bo wszystko rozkradzione – odpowiedział porucznik. – Nic nie zostało. Ikony i inne dobra pobrał towarzysz Kunicki. Mawiają, że to kolekcjoner – dodał z przekąsem oficer, komentując poczynania nielubianego w armii aparaczyka, który kładł łapę na niemal wszystkich wartościowych rzeczach pozostawionych w cerkwiach.

Lew Koroniewski się uśmiechnął. Niewiele słyszał o poruczniku Zakrzewskim, nie wiedział, czy jest w tej armii dlatego, że żadnej innej Polska raczej mieć nie będzie, czy też aby robić karierę i salutować przed towarzyszami ze zwycięskiej Armii Czerwonej. Wydawało się, że w grze jest ta pierwsza ewentualność.

– Szkoda – skwitował major. – Dobra pobrane, pewnie nawet ikona się nie ostała, ale przynajmniej cerkiew przetrwa.

– Jasne – odparł porucznik, przeciągając wyraz i spoglądając na nich z uśmiechem człowieka, który spotkał niegroźnych turystów. – Mamy rozkaz spalić cerkiew, chałupy, co się ostały, zasypać studnie. Wybacz pan major, ale rozkazy na piśmie, z samej góry.

– Tak, wiem – odpowiedział Koroniewski, z lubością słysząc „pan” zamiast „towarzysz” przed swoim stopniem wojskowym.

– Zatem wyjścia nie ma – stwierdził z westchnieniem Zakrzewski, po czym zdjął czapkę, przeczesał włosy i uważnie założył ją z powrotem.

– Panie poruczniku, mam rozkaz wstrzymania działań w stosunku zarówno do budynku cerkwi, jak i dworu Stroińskich w Siankach. Oczywiście na piśmie.

Gdy major Koroniewski dowiedział się o planowanej akcji, natychmiast przystąpił do działania i używając znajomości oraz wszystkich przysług, jakie miał do wykorzystania, postanowił uratować cerkiew. Tyle mógł zrobić, aby chociaż trochę ukoić swoje sumienie, wątpił jednak, czy to uleczy skazę, jaka splamiła jego sumienie i honor rok temu, podczas wyganiania ludzi z ich domostw.

– Mogę prosić? – zapytał porucznik, na co natychmiast po lewicy majora zmaterializował się chorąży Czerwiński i przekazał skórzaną aktówkę z odpowiednim papierem w środku.

Zakrzewski wyjął rozkaz, przyjrzał się pieczętom, po czym schował go z powrotem do teczki i włożył pod pachę.

– Panie majorze, panie chorąży – zsalutował. – Jestem waszym dłużnikiem. Kościołów palić się nie godzi.

– Tak jest – zgodził się Koroniewski.

– Że się tak wyrażę, do dupy z takimi rozkazami – dodał porucznik.

– Takie czasy – odparł major.

– Panowie, zapraszam na kieliszek wódki, zaraz będziemy palić chałupy, sporo roboty przed nami, trzeba się wzmocnić.

– Prowadźcie – zarządził chorąży.

– Kwaterę mam w starej plebanii, zapraszam.

Ruszyli od cerkwi przez drogę w stronę budynku, w którym rok temu major i chorąży spali, rankiem jedli śniadanie, a później...

– A samowar wyrzuciliście? – zapytał Koroniewski, wskazując na stertę gratów i łachów leżących przy wejściu do budynku. Na samej górze leżał porzucony samowar, z którego przed rokiem mieli okazję pić bardzo dobrą herbatę.

– Tak, żaden z żołnierzy nie chciał, pełno tego tutaj.

– Zabrałbym na pamiątkę – oznajmił major.

– Nie widzę przeszkód.

– Dziękuję.

– Sierżancie Gorzka! – krzyknął porucznik w stronę drzwi od plebanii i ze środka wyskoczył rosły żołnierz z nieprzystającą do munduru strzechą płowych włosów. – Spakujcie ten samowar dla majora, tak aby się nie obił. Wcześniej wydajcie rozkaz, że odkładamy akcję o godzinę. Zostało coś ze śniadania?

– Tak jest – zameldował krótko sierżant.

– No to donieście z mojego samochodu butelkę, wicie którą.

– Tak jest!

Sierżant Gorzka stuknął obcasami butów, co zdradzało jego przedwojenną służbę, po czym rażnym krokiem ruszył wykonać rozkazy.

– Panie majorze. – Dowódca zatrzymał się przed drzwiami i spojrzał na dwójkę oficerów. – Szanuję was, wstrzymanie tego rozkazu musiało sporo kosztować, ale oni i tak to spalą, nie dziś, to za rok.

– Panie poruczniku – odparł Koroniewski. – Nie wolno zaniechać okazji, aby uczynić w życiu coś dobrego. Może jednak uda się temu zakątkowi przetrwać.

– Oby – westchnął porucznik.

– A jeśli tu wróci kiedyś życie, to ja im ten samowar odwiozę – oznajmił major.

– I za to możemy wypić – powiedział ze śmiechem, ale i dumą polskiego oficera Zakrzewski.

I wypili.

ROZDZIAŁ 9

BIELMA. TERAZ

1.

Kosma nastawił budzik na szóstą rano, będąc pewnym, że wstanie przed dziennikarką. Nie chciał jej spotykać, po wczorajszej nocy czuł się niezręcznie, ogólnie przy płci przeciwnej raczej baraniał, ale pierwszy raz zdarzyło mu się odmówić kobiecie zbliżenia i obawiał się z jej strony jakiejś paskudnej zemsty. William Congreve powiedział, że piekło nie zna furii takiej jak kobieta wzgardzona, i pomimo iż brytyjski pisarz i poeta skreślił te słowa na przełomie siedemnastego i osiemnastego stulecia, wydawały się obecnie Kosmie upiornie aktualne.

Nina siedziała przy stoliku i piła kawę.

– Siadaj – powiedziała na jego widok, wskazując miejsce przy stoliku.

Kosma podszedł do baru, za którym stał tym razem Romuś. Ten z bladym uśmiechem podał mu kubek kawy i talerz z wędliną, warzywami i masłem, po czym wskazał głową stolik zajmowany przez dziennikarkę.

– Romuś, dolejesz mi kawy? – zapytała na cały głos Nina, okraszając wypowiedź taką dozą czułości i erotyzmu, że powietrze w schronisku niemal zgęstniało.

– Po co to robisz? – zapytał Kosma, zajmując miejsce naprzeciwko niej. – Jak Luba to usłyszy, to chłopak będzie miał przesrane.

– Tak mi mów! – powiedziała, oblizując lubieżnie łyżeczkę.

Miała perfekcyjnie zrobiony makijaż, usta pomalowane mocną czerwienią, której delikatny ślad pozostał na łyżeczce. Kosma poczuł, jak walczy w nim serce z rozumem. Widział sztuczność tej

twarzy, jednak męskie instynkty sprawiały, że zaczynało robić mu się ciepło.

– Wino nie zaszkodziło? – zapytał.

– Nie miało prawa. Smaczniutkie było. No i uczciwie przespałam noc, w sumie tylko dzięki tobie. I wiesz co? Pomyślałam sobie, że przydałaby mi się taka blizna. Idealna do prowadzenia programów kryminalnych.

– Nie polecam – odparł, upijając łyk kawy. – Boli, ciągnie, przeszkadza w uśmiechaniu się. Jedyne plus, to że działa odstraszająco na żuli pod sklepami.

– Ale za to przyciąga dziennikarki. – Obdarzyła go swoim firmowym uśmiechem, który pewnie otworzył jej drzwi do kariery.

– Kolejna niedogodność.

– Dobra, chłopcze, dość tego słodzenia – powiedziała, zmieniając ton na oficjalny. – Przejdźmy do interesów.

– Zamieniam się w słuch.

– Ja potrzebuję informacji. Materiału. Wywiadu. Ładnej nagrywki. Muszę to mieć, bo bez tego nie wrócę do Warszawy.

– Z różnych powodów ludzie osiedlali się w Bieszczadach, ale taki słyszę pierwszy raz.

– Pajacujesz zacnie, ale nie czas na to. Daj mi cokolwiek. Wiem, że coś masz. Nie siedziałbyś tutaj, gdyby tak nie było. Widziałam, jak wychodziłeś z domu proroka. Rozmawiałeś też z księdzem, byłeś na miejscu zdarzeń, i to jako pierwszy policjant, podsłuchałam, jak wczoraj mówili o tym jacyś mundurowi.

– No i?

– Daj mi cokolwiek.

– A gdzie tu interes?

– Jak się czegoś dowiem, to natychmiast poinformuję ciebie.

– O tym, co wiesz, to mogę akurat dowiedzieć się z telewizji.

– To najpierw powiem tobie i zachowam to w tajemnicy na kilka godzin, żebyś mógł z tego skorzystać.

- Dobrze, podoba mi się ten układ.
- No i super.
- Jak tylko czegoś się dowiesz, to daj znać, ja ocenię, ile to warte, i wymienimy się informacjami.
- Kosma! – Podniosła głos, co bardzo mu się spodobało.
- Nina, ja wiem, że leczenie w chuja to podstawa twojej profesji, ale miej choć trochę szacunku dla mojej inteligencji. Myślałem, że z tą blizną będę wyglądał na bardziej poważnego gościa, ale chyba nadal moja gęba uduchowionego kleryka wysyła jasny komunikat, że można faceta robić, jak się chce.
- Nie ufasz mi?
- No pewnie, że nie. Pali ci się dupa i szukasz kogoś z wiaderkiem wody. Zły adres.
- Tak, pali mi się dupa. Jeśli zrobię ten materiał, dostanę najlepszy program kryminalny w kraju. Policjanci będą się zabijali o to, aby ze mną współpracować, a ja dam ci pierwszeństwo.
- Jak już do tego dojdzie, to zwołaj mnie na ten śmiertelny turniej, z chęcią popatrzę.
- Przecież wielu policjantów współpracuje z dziennikarzami przy gromadzeniu materiałów – nie ustępowała.
- Zgadza się. Ale ja już mam swojego, dwóch nie wykarmię.
- Kogo?
- Żurek – odparł z uśmiechem.

Jej mina zrzędała. Kazimierz Barszczyk zwany Żurkiem był najsłynniejszym dziennikarzem śledczym w kraju, a ich drogi przecięły się przy poprzedniej sprawie zaginionego księdza we Wnykach.

- Ten oblech? – nie ukrywała zdziwienia.
- No akurat on nie próbował wepchnąć mi języka do ust, więc nie wiem, jak to tam z nim jest. A teraz wybacznij, ale muszę spadać.

Powiedział to, słysząc szybkie kroki na schodach, i zgodnie z przewidywaniem w stołówce pojawił się Marcin.

– Cześć – rzucił chłopak w ich kierunku.

– Śniadanie zjesz w samochodzie – zarządził Kosma, spoglądając wymownie w stronę Romusia. Ten zrozumiał w lot i zaczął pakować kanapki w papierową torbę z logo schroniska.

Zostawili Ninę przy stoliku, sztucznie piękną i autentycznie wkurwioną.

2.

Po dziennikarzach nie pozostał nawet ślad. Co prawda przejeżdżali przez Bielma dość wcześnie, ale pod lipą nie było nikogo z napotkanych wczoraj przez Kosmę reporterów. Zgodnie z tym, co mówiła Nina, część wyjechała na nocleg do Ustrzyk, niektórzy pewnie wrócili do swoich ośrodków. Sensacja była szybko psującym się pokarmem i syciła na krótko, gdzieś tam w Polsce działy się znacznie ciekawsze rzeczy, trzeba było za nimi gonić. Jedyнным zaparkowanym na poboczu samochodem był policyjny radiowóz, o który opierał się właśnie jeden z funkcjonariuszy, popijając coś leniwie z czarnego kubka, na dachu obok kogutów stał czerwony termos.

– A jak nie pozwolą mi zabrać sprzętu? – zapytał Marcin, głośno przełykając ślinę, gdy Kosma parkował za samochodem policjantów.

– Podejdz po prostu na pewniaka do drzewa i bierz, co twoje. – Kosma uspokoił go po raz kolejny. – Jeśliby marudzili, to nawinę im coś na uszy, ale zaufaj mi, po całej nocy marzy im się tylko zawinięcie na chatę.

Wysiedli z samochodu, Kosma ziewnął, przeciągając się, po czym zabrał z tylnego siedzenia prowiant przygotowany w schronisku i podał go policjantowi opartemu o swój radiowóz.

– Pewnie głodni? – zapytał z uśmiechem. – Świeże śniadanie ze schroniska, właścicielka prosiła, żeby wam przekazać.

– Dziękuję, aż mi w brzuchu zaburczało – odpowiedział rozradowany policjant, którego Kosma kojarzył z widzenia.

– Smacznego – powiedział. – A tak to spokojna noc?

– Ta – odparł policjant, rozwijając pakunek.

– Nie zabezpieczyliście jeszcze wszystkich śladów?

– Gdzie tam, wszystko zrobione na cacy. – Funkcjonariusz strzepnął resztki kawy z kubka na trawę. – Pilnujemy, żeby nie było żadnych nabożeństw, i przed dziennikarzami, ale z tego, co mówili chłopaki z centrali, to zmienników nie będzie, zdejmujemy ochronę.

Marcin zgodnie z wcześniejszymi zaleceniami Kosmy, który nakazał mu podejść pewnym krokiem do drzewa i zabrać swój sprzęt, ruszył w stronę lipy.

– Macie strzelca? – zapytał Kosma.

– E tam. – Policjant kompletnie nie zareagował na Marcina, schował kubek do samochodu przez otwarte okno, po czym sięgnął po termos, sprawdził, czy jest dokręcony, i również schował go w środku. – Ani widu, ani słychu, chyba że góra coś wie. Wydaje mi się, że z tymi mszami to już koniec będzie. Ludzie się przestraszyli, a i ten cały prorok sra pod siebie. Zresztą nasz prorok ma podobno wystawić na niego papier. Prorok kontra prorok, he, he – zażartował policjant.

– Zatrzymają go?

– Do wyjaśnienia – potwierdził mundurowy. – Prokurator jest przekonany, że tamten widział, kto strzelał, tylko z jakiegoś powodu kryje gościa. Posiedzi w wydobywczym, to zmięknie.

– Dobry ruch – powiedział Kosma dla podtrzymania rozmowy.

Marcin tymczasem wrócił ze sprzętem spod drzewa i wsiadł bez słowa do samochodu Kosmy. Ten pożegnał się z policjantem i zajął miejsce za kierownicą bmw.

– Masz? – zapytał Kosma.

– Pewnie – odparł uradowany chłopak. – Ale że tak pozwolili?

– Służby mundurowe zawsze działają tak samo. Wiedzą, że jestem policjantem, i to gdzieś tam z Warszawy. Jeśli zatem na miejsce zdarzenia lub akcji przychodzi inny funkcjonariusz i bez pytania robi, co mu się żywnie podoba, to bezpieczniej założyć, że ma do tego prawo.

– Przecież mógł pomyśleć, że...

– Stop! – uciszył go Kosma. – Wiesz, dlaczego mundurowi mają stopnie służbowe i pagony? Żeby z góry ustalić, kto jest od myślenia w danej sytuacji, a kto od zapierdalania. Bez dopytywania, przekomarzania, przekrzykiwania się. Przychodzi gość wyższy stopniem i możesz spokojnie przestać myśleć.

– Jakiś sens to ma – zauważył Marcin.

Kosma tylko pokiwał głową.

3.

Księgarnia Papirus i Kawa w Ustrzykach Dolnych była ciekawym przybytkiem, bardziej pasującym do warszawskiego stylu modnych kafejek niż surowego i górskiego krajobrazu Bieszczad. Marcin zaprowadził tutaj Kosmę, twierdząc, że będą mieli spokój, najlepszą kawę z ekspresu w okolicy i mocne wi-fi, a potrzebowali dokładnie tych trzech rzeczy. Dodatkowo otaczały ich półki pełne książek, co jednak powodowało mały dyskomfort, bo Kosma chciał w nich pobuszować, szczególnie widząc sporo tytułów poświęconych Bieszczadom.

– Dobra, zarzucam ściąganie – poinformował go Marcin. – Dogadałem się z właścicielami i dali mi dostęp do swojego prywatnego wi-fi, więc powinno pójść szybciej.

– Możesz w tym czasie pokazać dzisiejsze nagrania?

– To dwadzieścia cztery godziny – ostrzegł chłopak. – Nawet na przyspieszeniu będzie to trwało w cholerę. Zabierz sobie te pliki i przejrzyj w wolnym czasie. Ja bym chciał stąd już się ewakuować.

– Hola! – zaprotestował Kosma. – Obiecałeś mi wieczorną rozmowę po wizycie u proroka.

– Zdzwonimy się. Mamy piękny dwudziesty pierwszy wiek.

– Nieładnie.

– Wybacz, ale zgodnie z pędem zaszytym od tysiącleci w naszym instynkcie przetrwania martwię się przede wszystkim o własną dupę. Dam ci pliki, tak jak obiecałem, zrób z nimi, co

chcesz. Przekaż je do CBŚP, jak mówiłeś, niech działają. Zanim informacja dotrze tutaj, ja już będę grzał dupę na Sycylii.

Kosma wyjął swojego laptopa i po kolei przerzucał pliki. Na szczęście miał starszy model z pojemnym dyskiem i mógł zachować nagrania w pełnej jakości. Interesowało go w sumie tylko nagranie z dnia śmierci księdza, jednak postanowił zatrzymać wszystkie. W międzyczasie podano im kolejną kawę i talerzyk z ciastkami.

– Komplet – westchnął z ulgą Marcin. – Rób z tym, co chcesz, w razie czego nadal wisi to na chmurze. Ja mam za pół godziny autobus do Krakowa, a wieczorem lot na Sycylię. Prześlę ci zaraz moje namiary, jakbyś potrzebował czegoś, to pisz przez komunikator.

– Jasne.

– I Kosma. Cholernie dziękuję. Ja nie jestem jakimś tam typem wojownika, zawsze wolałem się uczyć, niż bić. Teraz po prostu się boję.

Marcin spakował swoje rzeczy, podał mu rękę, podziękował za kawę, pożegnał się z gospodarzami tego miejsca i wyszedł.

Kosma zaczął przeglądać pliki i już po kilkunastu minutach stwierdził, że to żmudna praca. Najpierw szybko przyciął film z ataku na proroka i wystawił go na swoją chmurę, do której prześle potem link Kacprowi. Następnie zabrał się do nagrania z dnia śmierci księdza Adama Kamińskiego.

Przewinął do godziny, o której według rekonstrukcji zdarzeń kapłan detektyw miał pojawić się w Bielmach. Wszystko się zgadzało, jego samochód przejechał spokojnie drogą, w środku siedziała tylko jedna osoba, a był nią kierowca. Zniknął z pola widzenia kamery i na ekranie zagościł sielski spokój bieszczadzkiej wsi. Zgodnie z zeznaniami gosposi winno minąć nie więcej jak kwadrans, gdy nie zastawszy proboszcza, ksiądz Kamiński wsiał z powrotem do samochodu i udał się w nieznanym kierunku.

Nagle u góry kadru pojawił się jakiś człowiek. Szedł ścieżką za cmentarzem, spokojnym krokiem, chociaż w tym ujęciu jawił się

niczym jakiś upiór. Wszystko przez długi, czarny strój, który sprawiał wrażenie, jakby mężczyzna płynął. Kosma postawiłby wszystko na strzał, że to sutanna. Czyli gospoia nie kłamała, proboszcza nie było w kościele i odprawiła gościa z kwitkiem. Postać zniknęła, a za kolejne dziesięć minut samochód ruszył w powrotną drogę. Ponownie w środku siedział tylko kierowca.

Kosmie nie pasowały dwie rzeczy. Po pierwsze, dlaczego ksiądz nie pojechał do schroniska, gdzie miał nocować, tylko nad paskudną sadzawkę? Był tam z kimś umówiony? Logicznym punktem było właśnie schronisko, ewentualnie, jeśli chciał od razu zabrać się do pracy, to powinien skierować swoje kroki pod Świętą Lipę lub wprost do proroka, ostatecznie poczekać na proboszcza. Po drugie, jego pobyt na plebanii trwał pół godziny, a nie piętnaście minut. Fakt, że rozbieżność mogła powstać dlatego, że gospoia nie stała ze stoperem w dłoni i podała czas na oko, poza tym to mógł po wyjściu z kościoła zrobić mały spacer, ale gdzie powinien pójść w pierwszej kolejności? Pod Lipę, którą było widać spod budynku kościoła.

Przyjechał, wysiadł z samochodu, porozmawiał z gospoią, poinformowany o tymczasowej absencji proboszcza, wsiadł ponownie do auta i pojechał nad zapuszczony zbiornik wodny, gdzie zakończył swój żywot. Amen.

Kosma przesłał na serwer plik i czekając na zakończenie tego procesu, dopił kawę. Zerknął na zegarek, dochodziła godzina jedenasta. Kacper powinien być już po porannej mszy, postanowił zadzwonić do przyjaciela.

– Kosmyk! – W głosie księdza nie było nawet śladu po wczorajszym kiepskim nastroju. – Żyjesz!

– Zdziwiony?

– Każdy kolejny dzień jest łaską Pana, cieszę się, żeś jej ponownie dostał.

– Oho, widzę, że humorek lepszy.

– Zdecydowanie. Ta gnida z kurii pojechała w pizdu i można spokojnie knuć na nowo.

– Czego chciał?

– Wiesz, za dużo ostatnio rozpytuję to tu, to tam. Głównie w twoich sprawach, ale i zdarzy się też w innych. W mojej firmie takie ciche pytanie brzmi niemal jak krzyk. Wiesz, szczególnie ostatnio, gdy wychodzi jeden skandal po drugim. Jest jakaś paranoja, że to kolejny dziennikarz szuka brudów i zaraz coś nasmaruje o papieżu, a to już jest próg, którego przekroczyć nie wolno. Zostało mi to właśnie wytłumaczone.

– Przeniosą cię na inną parafię?

– Nie ten kaliber zbrodni. Jestem bezpieczny na tym swoim zadupiu, każdy ksiądz jest teraz na wagę złota. Do seminarium chłopcy trafiają już chyba tylko przez przypadek. Ciężkie czasy nadchodzą, Kosmyczku drogi. No a dla mnie w szczególności, muszę na chwilę się przyczaić.

– Ale informatyka ci nie zabrali?

– Siedzi na miejscu.

– No to przesyłam ci nagrania z kamery. Sprawdźcie to, Kacpejro. Wrzuciłem tam też plik tekstowy z notatkami, co i w której minucie warto szczególnie zweryfikować.

– Świetnie. Małolat będzie wieczorem, to go zagonię do roboty. Prowadzi właśnie dla parafianek zajęcia z bezpieczeństwa w sieci, chociaż mu tłumaczę, że dopóki hakerzy nie opracują metody włamania przez Radio Maryja, to nic tym moherom nie grozi. Zresztą Rydzyk już im się włamał, gdzie trzeba, i wyciąga pieniądze lepiej niż najbardziej paskudna aplikacja.

– No to działajcie, ja muszę znaleźć kogoś zaufanego w CBŚP.

– Dzwon do wujka.

– On jest biskupem, a nie oficerem śledczym.

– Oj, jeden dzień bez moich życiowych rad, a rozum wyruszył na wycieczkę – westchnął przez telefon Kacper. – Powiedział Pan w Księdze Powtórzonego Prawa: Wybierzcie sobie w waszych pokoleniach mężów rozumnych, mądrych i szanowanych, abym ich postawił wam na czele. Jeno Kosmy nie wybierajcie, bo głupi on niczym sandał Filistyna.

– Oho, widzę, że wszystko już wróciło do normy.

– Dzwon do wuja, ten niech da ci namiar na kapelana policji, a tamten znowu do kogoś zaufanego. Będiesz podwójnie kryty, a i u wuja załapiasz plusa.

– Niechaj tak będzie.

– No! To z Bogiem. Idę ściągać te twoje filmiki.

– Kacpejro?

– Tak?

– Co się stało podczas tej wizyty?

– Na szczęście nic.

– Pieprzysz.

– Po czym wnosisz?

– Nie przeklinasz.

– Twoja spostrzegawczość zaczyna być legendarna – odciął się Kacper. – Jeszcze chwila i przeniosą cię do tej sekcji stołecznej policji, która sprawdza, kto nie klaszcze na przemówieniach Kaczyńskiego.

– Nie kpij, tylko mów, na ile poważnie się zrobiło. – Kosma nie dał się zbić z tropu.

– Serio, nic złego – odpowiedział Kacper. – Jednak zadałem sobie miesiąc pokuty, aby przebłagać Boga za swe grzechy. Wiesz, idea postu polega na tym, aby odmówić sobie rzeczy, którą najbardziej się lubi. Jedni przestają pić, inni współżyć seksualnie, ty pewnie przestałbyś robić głupoty, a ja postanowiłem nie przeklinać.

– Nie wytrzymasz.

– Pożyjemy, zobaczymy. Żegnam oziębłe – rzucił do słuchawki jego przyjaciel.

Rozłączyli się, a Kosma przesłał do Kacpra link do plików zapisanych w chmurze, a następnie faktycznie zadzwonił do swojego wuja. Ten szczerze ucieszył się z tego, że może pomóc, i kwadrans później zadzwonił do Kosmy oficer CBŚP z Rzeszowa.

Pod domem proroka czekały tłumy, tak przynajmniej wyglądało z daleka. Po bliższym rekonesansie Kosma stwierdził, że to raptem kilkadziesiąt osób, ale ich wzniesione ku górze ręce, w których trzymali różańce, niektórzy portrety Jana Pawła II, stwarzały wrażenie dużo większej liczby. Lekko bujali się na boki i gdy Kosma wysiadł z samochodu, usłyszał, że śpiewają ulubioną pieśń swojego papieża, czyli *Barkę*. Ciekawe, czy wiedzieli, że jej autor, ksiądz Cesareo Gabarain, osobisty kapelan Karola Wojtyły, został oskarżony o molestowanie młodych chłopców w madryckiej szkole.

Przeszedł nie niepokoiony przez tłum wiernych i napotkał trzymającego straż przy drzwiach szwagra proroka, Ryśka. Ten nawet nie pytał, tylko od razu skinął głową i wpuścił go do środka.

– Ma gościa – rzucił tylko i wrócił do pilnowania drzwi, pozostawiając go samego w domu.

Kosma od razu wszedł do salonu i zastał w środku... Ninę.

– Jesteś – ucieszyła się, wstając energicznie, podeszła i dała mu całusa w policzek. – To ja już będę szła, bo pewnie macie do omówienia strasznie ważne rzeczy. Jak to prorok z księdzem – powiedziała, puszczając do niego oko.

– A co ty tutaj robisz? – zapytał bez ogródek Kosma.

– Składam przyjacielską wizytę – odparła.

– To dziennikarka – poinformował Zenka Kosma.

– Wiem. – Zamieszał herbatę. – Żadna praca nie hańbi.

– Kłóciłbym się – odpowiedział Kosma.

– Oj, daj już spokój – zachnęła się Nina. – W dodatku jestem na urlopie. Odesłałam ekipę do Warszawy i wzięłam sobie kilka dni zaległego wolnego. Postanowiłam odpocząć, a pan Zenon zaprosił mnie na herbatę.

– Zaprosił? – zapytał zdziwiony Kosma.

– Otóż to – potwierdziła dziewczyna. – Przysłał po mnie swojego szwagra. Prawda, panie Zenonie?

– Zgadza się.

– I dobrze zrobił – kontynuowała. – Poprosił mnie o przeprowadzenie wywiadu. Pod tym drzewem. Chce trafić do wszystkich Polaków, opowiedzieć o wszystkim, co tu się wydarzyło.

– Wypowiadać się – dodał prorok.

– Otóż to – powiedziała Nina.

– Spowiedź przed okiem kamery? – zapytał z lekką kpina w głosie Kosma. – To chyba raczej przed księdzem.

– Spowiedź winna być powszechna i jawna – odparł twardo prorok. – Tak robili pierwsi chrześcijanie, spotykali się raz w tygodniu i każdy na głos spowiadał się zgromadzonym braciom i siostram ze swoich grzechów. Tak to powinno wyglądać i dziś. Nie szeptanie w konfesjonale wprost w kratkę, ale publiczne przyznanie się do swych win. Dziś ludziom wydaje się, że można grzeszyć do woli, bo potem wystarczy się wypowiadać. To tak nie działa, potrzebny jest żal za grzechy i zadośćuczynienie. Zatem zamierzam publicznie opowiedzieć o swoich grzechach i prosić o wybaczenie. Jeśli je otrzymam, powrócę do swojego dzieła. Muszę odzyskać łaskę Pana, którą utraciłem – zakończył ze smutkiem.

– I to właśnie zrobimy – powiedziała Nina poważnym, współczującym głosem. – W sobotę o godzinie dwudziestej, w momencie największej oglądalności.

– Amen – westchnął prorok.

Nina odwróciła się do niego plecami, a twarzą do Kosmy, pokazała mu język i ruszyła do drzwi, zostawiając ich samych. Zatrzymała się w progu i spojrzała na niego.

– A może mnie odwieziesz do schroniska? – zapytała. – Pan Ryszard jest tu potrzebny, musi pilnować porządku.

– Zaraz wyjdę – odparł Kosma. – Zostaw nas samych.

Nie protestowała. Odwróciła się na pięcie i wyszła, zamykając za sobą delikatnie drzwi.

– To część jakiegoś planu – stwierdził Kosma, spoglądając na proroka. – Zwiększasz zasięgi?

– Spowiadam się Bogu wszechmogącemu i wam, bracia i siostry... – odparł Zenek.

– Jej to nie obchodzi, nie jest głupia, doskonale wie, co chcesz zrobić, i uczyni z tego materiał dekady. Ja też wiem, że to wyrachowane działanie obliczone na rozgłos.

– Mylisz się.

– Chciałbym.

– Ty też powinieneś się wypowiadać.

– Mam czyste sumienie.

– Czyżby?

– Owszem – odpowiedział zdecydowanie Kosma.

Czekał. Zgodnie z tym, co powiedział mu wczoraj Marcin, prorok winien pójść o krok dalej, zagrać kartą, której nikt przy stole się nie spodziewa, dowieść teorii, jakoby faktycznie rozmawiał z Jezusem Chrystusem.

– Porzuciłeś Boga, to największy grzech – powiedział prorok, spoglądając mu w oczy. – Wyparłeś się go. I nie chodzi o to, że zszedłeś ze ścieżki kapłaństwa, ale o świadome rozstanie z Bogiem.

– Żeby mnie to obchodziło, musiałbym wierzyć w Boga, a tak naprawdę to chyba nigdy nie miało miejsca – odpowiedział Kosma. – Za dziecka to był strach przed rodzicami, potem pragnienie, aby ich zadowolić, aż w końcu zrozumiałem, że nie przeżyją za mnie życia. Dlatego nie zgodzę się, że porzuciłem Boga, bo ja po prostu nigdy w niego naprawdę nie uwierzyłem. Dziś jestem szczęśliwy jak jeszcze nigdy dotychczas. Co dzień otwieram oczy i wiem, że życie jest wspaniałe, a każda jego chwila piękna, bo potem nie ma nic. Szanuję ten stan i w takim samym stopniu poważam życie innych ludzi i ich prawo do szczęścia. Zostałem policjantem właśnie po to, aby stać na straży tego prawa.

– I twoje grzechy ci nie ciążyą?

– Nie zrobiłem nic, co nie dawałoby mi spać po nocach.

– Ja myślę, że jednak coś takiego uczyniłeś...

– Co?

– Dobrze wiesz.

– Oświeć mnie. Nie krąż, nie oszczekuj drzewa, nie owijaj w bawełnę, po prostu powiedz mi w oczy, co takiego zrobiłem. Na mnie twoje sztuczki nie zadziałają.

Prorok nie spuszczał wzroku i jeśli poczuł się zapędzony w ślepa uliczkę, to nie dawał tego po sobie poznać. W końcu uśmiechnął się, zabrał ze stołu różaniec.

– Będę się za ciebie modlił – powiedział.

– Modlitwa – westchnął Kosma. – Najlepszy sposób, aby nie robiąc kompletnie nic, sprawiać wrażenie, że się pomaga.

– Błędzisz.

– A ja ci pomogę, Zenku. Dam ci dobrą radę. Strzeż się Niny. Wywiad z nią nie przyniesie ci niczego dobrego.

Kosma ruszył do wyjścia, otworzył drzwi i nieomal wpadł na Ryśka.

– Coś za dużo ich tutaj. – Szwagier proroka wskazał ludzi za swoimi plecami.

– Policja zdjęła blokady z dróg wjazdowych – powiedział Kosma. – A twój szwagier stał się całkiem sławny.

– Skaranie boskie – skomentował Rysiek.

Po wyjściu Kosmy do pokoju wszedł starszy mężczyzna około pięćdziesiątki. Spojrzał na Zenka i pokiwał głową z dezaprobatą.

– To nie jest najlepszy pomysł – powiedział.

– Może i tak, ale nie mam innego wyjścia – odparł Zenek.

– Nie oddam się w ręce policji.

– Nie musisz. Tu nie chodzi o ciebie, ale o mnie i Klaudiusza. Intencje miałeś dobre. Zginął i jego śmierć nie może pójść na marne. Dziś rano to zrozumiałem, usłyszałem od Chrystusa. Powiedział, że nie mogę zaprzestać dzieła ewangelizacji, choćbym

stracił wszystko. Bądź jak Hiob, usłyszałem. Jeszcze wiele krzywd spotka cię w życiu, ale jesteś w uświęcającej łasce Ducha Świętego. I jest w niej Klaudiusz.

– To był wariat.

– Przestań.

– Mówisz, że nie chodzi o mnie, ale w trakcie spowiedzi trzeba być szczerym. Nie wolno zatajać niczego, więc będziesz musiał także powiedzieć o mnie.

– Zaufaj Bogu.

– Zawsze ufałem tylko sobie.

– I dziś ukrywasz się w chatce w środku lasu. Strzyga, najwyższy czas zaufać najwyższemu. Zrób to.

Mężczyzna podszedł i ukląkł, po czym pocałował proroka w dłoń.

– Wierzę – powiedział szeptem. – I ufam.

Kłamał. Całe życie kłamał.

5.

Czekała na niego przy samochodzie, paląc z zadowoleniem papierosa. Odwrócił się i spoglądał jeszcze na ludzi zgromadzonych przed domkiem Zenka, chyba kilku przybyło.

– Busem ich dowożą – powiedziała. – Jakiś lokalny biznesmen uruchomił rano linię.

– Rośnie nam tutaj nowy kult – skomentował Kosma.

– I ja jako pierwsza wspomnę o nim na łamach ogólnopolskiej telewizji, czyż to nie piękne? Może nie zabłysnę jako gwiazda programów kryminalnych, ale religia sprzedaje się chyba nawet lepiej niż zbrodnia. W końcu mordercy stają przed sądami, a księża są tylko przenoszeni na inną parafię.

– Taki masz plan?

– Jeden z wielu – odparła, gasząc papierosa. – Jednak ten obecnie wysuwa się na pierwsze miejsce.

Wsiedli do samochodu, przy czym Nina niemal jak do siebie. Wizja sobotniego wywiadu dodała jej olbrzymiej pewności siebie, co nieco zirytowało Kosmę. Jechali polną drogą, na której co chwilę mijali kolejnych pielgrzymów, w większości emerytów. Pewnie część z nich traktowała całe wydarzenie jako ciekawostkę, jednak pośród postaci drepczących trawiastym poboczem dostrzegli rosłego mężczyznę pchającego wózek inwalidzki z młodą i bardzo ładną dziewczyną, już przy samej krzyżówce koło cmentarza starszego mężczyznę o kulach ściskającego plastikowe uchwyty poskręcanyimi z artretyzmu palcami.

– Zaczyna się... – westchnął Kosma.

– Co? – zapytała Nina.

– Do każdego miejsca objawień niemal natychmiast ściągają chorzy w nadziei na uleczenie i to na nich robi się największy biznes. Za kilka dni będą tutaj tłumy.

– Nie sądzę, prorok to skromny człowiek i przecież nie leczy.

– Dziś może jeszcze nie, ale jutro wyczekuj pierwszego cudu, a potem to już nic tego nie powstrzyma. Dopiero będziesz miała materiału do reportażu, nie nadążysz nadawać. Ludzie odrzucają kule, ślepi przecierają oczy ze zdumienia, głusi cieszą się dźwiękiem kościelnych dzwonów, niemi wielbią Pana głośnia modlitwą i radosną pieśnią. Alleluja. Hosanna.

– Mylisz się, ale jeśli nie, to mogę zostać dziennikarką, która całość odkryła. Pierwsza na miejscu z wyłącznością na wywiady z prorokiem. Też dobry plan.

Kosma skręcił w stronę schroniska, jadąc bardzo powoli, parking pod cmentarzem i kościołem był zapchany samochodami, a po drugiej stronie ulicy, obok budynku plebanii stało w nieładzie kilka innych pojazdów, w tym jeden bus.

– A na mnie jaki był plan? – zapytał Kosma.

– Nie rozumiem.

– Wczorajszy wieczór nad Sanem, to zbliżenie. To był plan numer jeden, dwa czy trzy? A może pojawił się spontanicznie?

– Zatrzymaj samochód – zarządziła, szarpiąc za klamkę, ale blokada nie zezwalała na otwarcie drzwi w trakcie jazdy.

– Daj spokój, Nina, nie zgrywaj mi tutaj obrażonej panny na wydaniu.

– Stań, kurwa! – krzyknęła, a on automatycznie nacisnął pedał hamulca.

Wysiadła szybko, ale nie zniżyła się do trzaśnięcia drzwiami, tylko ostentacyjnie ruszyła w stronę kościoła. Odprowadził ją wzrokiem, po czym spokojnie wcisnął gaz i pojechał do schroniska.

6.

Kosma podniósł z niechęcią telefon i spojrzął na ekran. Oj, jak mu się nie chciało robić niczego ponad błogie nicnierobienie. Siedział sobie na tarasie schroniska i sączył piwo, układając myśli i fakty w jakąś zgrabną całość, ale wszystko mu się rozjeżdżało. Marcinowi przekazał, że dzisiejsza wizyta u proroka nie przyniosła efektów, że próbował go podejść, ale do niczego nie doszło. Ustalili, że odwiedzi go ponownie jutro i wtedy będą mogli się zdzwonić z młodym naukowcem. Kosmie to pasowało, postanowił spędzić jeden wieczór na odpoczynku, usprawiedliwiając się faktem, że przecież musi podsumować fakty i obmyślić strategię działania na najbliższe dni.

Ekran pokazał wiadomość od Kacpra. Przyjaciel informował, że za chwilę prześle link do pobrania zdjęcia młodego człowieka nagrywającego wydarzenie w Bielmach. Dobra wiadomość, Kacpejro i jego parafialny informatyk widocznie uczciwie pracowali nad przesłanymi do nich materiałami, nie lenili się nad brzegiem Sanu ze szklanką piwa w dłoni.

Kolejna wiadomość zawierała link do pobrania zdjęcia w dużej rozdzielczości, ale też w mailu otrzymał tę samą fotografię w małym formacie, aby mógł się jej przyjrzeć. Internet miał tutaj tragiczny i duże zdjęcie pewnie pobierałoby się w nieskończoność, tymczasem mógł się przyjrzeć miniaturce, a oryginał przesłać do informatyka z jego macierzystej jednostki w Warszawie, który który miał wrzucić je na bęben.

Chłopak uwidoczniiony na zrzucie ekranu nie wyróżniał się niczym szczególnym. Miał około dwudziestu lat, a może nawet mniej. Posturę skrywała bluza z kapturem. Twarz jednak była dobrze widoczna, a oprogramowanie, jakim obecnie dysponowali, spokojnie porówna ją z bazą osób notowanych, zaginionych, pracowników administracji państwowej, posiadaczy paszportów oraz nowych dowodów osobistych. W którejś z nich młody człowiek powinien figurować.

Kosma spojrział na spokojnie płynący San i turystów odpoczywających w schronisku po zejściu z bieszczadzkiego szlaku. Piękne i spokojne życie. Może takie byłoby lepsze?

Z lasu wyłonił się samochód straży granicznej, zatrzymał się na parkingu, ze środka wysiadła Nina. Przez chwilę śmiała się przesadnie głośno, rozmawiając ze strażnikami siedzącymi w środku, po czym posłała im buziaka i ruszyła w stronę schroniska. Nie zaszczyciła go nawet najdrobniejszym spojrzeniem.

7.

Nina weszła do schroniska, z ulgą przyjmując chłód wnętrza, po czym poszła prosto do swojego pokoju, rzucając po drodze kwaśny uśmiech tej wrednej barmance, która nie chciała jej poprzedniej nocy zakwaterować. Na szczęście nie dzieliła już lokum z kierowcą, który miał przykry zwyczaj nadmiernego pocenia się i, co tu dużo kryć, śmierdział przez to okrutnie. W ciasnym pokoju była to zdecydowanie niezbyt komfortowa sytuacja.

Zamknęła za sobą drzwi i rzuciła na łóżko plecak z zakupami. W Bielmach nie było sklepu, ale co dwa dni dojeżdżał tutaj mobilny spożywczy, w którym dało się kupić podstawowe produkty. Sprzedawca nie mógł prowadzić sprzedaży wyrobów tytoniowych ani alkoholowych, ale po krótkiej wymianie zdań zaprosił ją do kabiny, gdzie znalazła się butelka wódki i kilka paczek papierosów.

Plecak zaszeleścił, co zwróciło jej uwagę. Podniosła go i zauważyła kopertę na kocu stanowiącym pościel w tym górskim przybytku. Podniosła ją szybko i bez zbędnego zastanowienia.

Koperta nie była zaklejona, w środku znalazła kartkę z odręcznym pismem.

„Grobowiec Hrabiny. Po zmroku. Dowiesz się wszystkiego. Weź pieniądze”.

Uśmiechnęła się do siebie szczerze i bardzo szeroko. Miała nosa, żeby tu jednak zostać. Cholerne go dziennikarskiego nosa. Już godzinę po wyjeździe jej kierowcy zjawił się Ryszard, szwagier proroka, szukający jakiegokolwiek dziennikarza. Ona była jedyna. A teraz to.

Wyjęła z plecaka butelkę wódki i dokupionej do niej coli. Przygotowała sobie drinka, korzystając ze szklanki stojącej na malutkim stoliczku.

– Twoje zdrowie, Kosma – powiedziała, podnosząc szkło do góry w geście toastu. – Planie numer dwa, który nie wypalił.

Może i dobrze. Podobał się jej, nigdy by nie poszła do łóżka dla uzyskania informacji, jeśliby jej nie kręcił, a w jego przypadku wszystko było na swoim miejscu: pociąg i motywacja. Ale cóż zrobić.

Przez chwilę zaniepokoiła się dopiskiem o pieniądzach, miała przy sobie raptem niecałe trzy tysiące na bieżące wydatki, uszczuplone dodatkowo podczas zakupów, a w Bielmach nie było bankomatu. Bez przesady, taka kasa dla wioskowego ćwoka to i tak będzie sporo.

Wypiła drinka, nieco się krzywiąc, był za ciepły, a w tej dziurze pewnie nie mają lodu. Spróbuje poszukać. Ruszyła na dół.

Zatrzymała się z ręką na klamce.

Dopiero teraz do niej dotarło, że ktoś wszedł do jej pokoju.

Kto?

Ktoś z kluczem. Na pewno nie Paulina ani ta flądra, Luba. Musiał to być Łukasz, właściciel tego przybytku, albo Romuś, cichy i gnojony przez swoją partnerkę chłopak z za baru. Nie, to na pewno nie Łukasz, on od razu by podszedł i z nią porozmawiał, przecież jako jedyny ujął się za nią podczas negocjowania noclegu. To musiał być Romuś. Nie mógł rozmawiać tutaj, ba,

nawet nie pozwalano mu na Ninę spojrzeć, a Grobowiec Hrabiny był o rzut kamieniem od schroniska, ale jednocześnie całkowicie na uboczu. A o co chodziło z tymi pieniędzmi? Pewnie napisał tak dla niepoznaki, gdyby ta franca przechwyciła wiadomość. A może jednak potrzebuje zastrzyku gotówki? Taka cicha woda.

No to wszystko jasne.

Ruszyła rażno na dół po kilka kostek lodu do kolejnego drinka.

8.

Kosma nie wytrzymał i przerwał swoje błogie lenistwo. Niby był z nieco starszego pokolenia niż dzisiejsza młodzież, ale miał także cechujący ją syndrom paniki z powodu utraty czasu. Każda chwila, gdy czegoś nie robił, choćby było to bezsensowne smyranie smartfonu, była w jego mniemaniu tym ziarnem piasku w klepsydrze, którego będzie żałował na starość, gdy już będzie chory i przykuty do łóżka.

Wyjął laptopa i postanowił ponownie przejrzeć film z dnia, w którym zginął ksiądz Adam Kamiński. Nagranie nie pokazywało niczego nowego, przynajmniej na siedemnastocalowym ekranie. Ksiądz niezmiennie podjeżdżał pod kościół, parkując poza okiem kamery, a po trzydziestu minutach samochód wracał tą samą drogą. W międzyczasie pojawiała się za cmentarzem postać w sutannie. Przez ten czas na drodze nie działo się absolutnie nic. To był czas, gdy do proroka nie zjeżdżały jeszcze tłumy, dopiero zaczynano o nim mówić i gdyby nie zdecydowana prośba proboszcza o szybkie zajęcie się sprawą, długo by się nią nie zainteresowano.

Spojrzał znad ekranu komputera na zachodzące nad lasem słońce, podniósł szklankę z piwem, opierając ją na czerwieniejącej tarczy, a przez to zmieniając barwę pilznera na bursztynową. Nagle coś zauważył, jakiś ruch na końcu ścieżki. Ktoś się tamtędy przemykał w gubiącym jasność dniu.

To była kobieta.

9.

Nina nie należała do strachliwych. Nie ruszały jej duchy, cmentarze nocą czy domy, w których straszy. Na studiach robili

pracę na zaliczenie, kopiując jakiś słynny telewizyjny show, i jej grupa wybrała słynny amerykański program *Łowcy duchów*. Postanowili nagrywać w najbardziej nawiedzonym miejscu w Łodzi, czyli Las Ruda Popioły. Stał tam dom, w którym podobno sporo działo się złego, począwszy od drugiej wojny światowej. Początkową ekscytację wspomaganą dobrym ziołem zabiła nuda. Jakoś koło trzeciej w nocy wszyscy pozasypiali, a nagrywająca całą noc aparatura nie zarejestrowała kompletnie niczego nadprzyrodzonego. Musieli zjawić się tam kolejnej nocy i dograć sceny, w których niby coś słyszą, podstawić tajemnicze dźwięki i tak dalej. Zabawy dużo, duchów jak na lekarstwo.

Las tonący w zmroku także jej nie przerażał, miała kiedyś wakacyjny epizod z nagrywaniem programu podróżniczego, spędzili z ekipą dwa tygodnie w polskich górach i lasach, oswajając się z przyrodą. Dodatkowo wspomogła odwagę kilkoma drinkami na bazie kupionej w przewoźnym sklepie wódki. Ku swojemu zaskoczeniu dostała w schronisku kubek z kostkami lodu, co tylko poprawiło jej humor. Planowała tylko jednego drinka, ale po trzecim powiedziała sobie głośno, że przecież ma urlop, więc jej się należy. Na co dzień nie pijała zbyt dużo, musiała być ciągle pod telefonem, w razie gdyby jakiś celebryta zaliczył wpadkę na imprezie, nie lubiła także wspomagać się mocniejszymi specyfikami przekazywanymi z ręki do ręki poza wzrokiem osób postronnych. Podsumowując: wódka weszła gładko.

Las zaszeleścił.

Zatrzymała się i ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że nie słyszy żadnego odgłosu poza głośnym łomotaniem własnego serca. O nie, jednak było coś jeszcze. Jej głośny oddech, szybki i płytki.

Rozejrzała się, nie było jeszcze całkiem ciemno, promienie słońca płynęły nad czubkami drzew, nieśmiało odbijały się od wąskiego strumienia Sanu, ale chyba już wołałaby, żeby było ciemno. Jeśli teraz zaświeci latarkę wbudowaną w telefon, bo oczywiście innej nie miała, to niczego to nie zmieni.

Uspokoila oddech, poczekała na wyrównanie oddechu i uspokojenie kołatającego serca. Posłuchała lasu. Nic poza cichym szumem drzew głaskanych delikatnym wiatrem, wieczornym śpiewem ptaków, niezbyt głośnym, przyjemnym dla ucha. Ruszyła dalej ścieżką.

Zostało jej raptem piętnaście minut drogi niezbyt trudnym i dobrze zadbanym szlakiem. Minęła jeszcze jakiegoś zabłąkanego turystę zmierzającego w stronę schroniska, co tylko dodało jej odwagi. Była w Bieszczadzkiem Parku Narodowym, nie wolno było tutaj przebywać po zmroku, dodatkowo ten szlak stanowił strefę nadgraniczną, co powodowało, że łamała dwa zakazy jednocześnie.

Mimo szybko zapadającego zmroku szlak był przyjemny. Gdy potknęła się pierwszy raz, postanowiła uruchomić latarkę w telefonie i była to dobra decyzja, bo od razu zrobiło się przyjemniej. Oczywiście wbudowane w smartfony latarki nadawały się do namierzania po pijaku zamka w drzwiach albo szukania kluczy w torebce, za to niezbyt do rozdierania czerni nocy w bieszczadzkiem lesie, ale rozproszone światło jej wystarczało.

10.

Mężczyzna otrzepał buty przed wejściem do schroniska, chociaż ostatnio było dość sucho, jednak gdy wchodziło się do czyjegoś domu, wypadało zostawić kurz tego świata za drzwiami. Taką wyznawał zasadę.

– Dobry wieczór – rzucił w stronę głównego pomieszczenia.

– Pan Jacek? – zapytała dziewczyna za kontuarem. – Czekaliśmy. Już myślałam, że pan zabłądził albo zapomniał odwołać rezerwację.

– Ależ skąd – odpowiedział mężczyzna, zrzucając plecak pod nogi. – Po prostu lubię wykorzystać dzień do ostatniego promienia słońca. A potem to samo zrobić z nocą, zatem liczę na smaczną kolację, doborowe towarzystwo, zimne piwo i wygodne łóżko.

– Wszystko się znajdzie – zapewniła go dziewczyna, puszczając oko.

Była ładna. Nawet bardzo. No i szczerze uśmiechnięta.

– To może zaczniemy od piwa? – zaproponował.

– Już otwieram – zapewniła, odwracając się do lodówki stojącej pod ścianą.

– Wolałbym kufłowe, jeśli to nie kłopot.

– Ależ żaden – odparła dziewczyna. – Tylko beczka się skończyła. Miałam podpinać nową dopiero rano, ale skoro pan ma życzenie, to już się robi.

– Sam mogę przynieść i podpiąć, z chęcią pomogę.

– Nie ma mowy! – zaprzeczyła barmanka. – Pełna obsługa. Romuś! – krzyknęła od serca w stronę zaplecza.

Odpowiedziała jej cisza, co wywołało na pięknej twarzy nieciekawy grymas.

– Przepraszam – rzuciła zakłopotana. – Gdzieś się zawieruszył.

– Mówiłem, że mogę pomóc – zaofiarował się ponownie turysta.

W odpowiedzi pokręciła przecząco głową i nabrała powietrza.

– Romuś!!! – ryknęła niczym syrena alarmowa.

Pan Jacek był pewien, że nawet jeśli przywoływany Roman znajdował się obecnie nad morzem, to raczej powinien usłyszeć wezwanie i po wyrazie twarzy dziewczyny lepiej by dla niego było, jeśli faktycznie je usłyszał.

– Jestem – doleciało z zaplecza.

W jednej chwili pojawił się za kontuarem zdyszany chłopak niezwykle delikatnej urody i w pierwszym odruchu pan Jacek pomyślał, że brakowało mu tylko koloratki i ksiądz jak malowany.

– Skarbie, przynieś nową beczkę piwa, dobrze? – zapytała, a raczej poleciła słodkim głosem dziewczyna.

– Już – odpowiedział krótko chłopak i ponownie zniknął na zapleczu.

– Pięć minut i piwko będzie – oznajmiła dziewczyna. – Podam może od razu kolację?

– Bardzo proszę.

Turysta z uśmiechem człowieka, który aż za dobrze wie, jak na co dzień wyglądają stosunki damsko-męskie, a jednocześnie jest szczęśliwy, że jego takie kwestie nie dotyczą, usiadł za drewnianym stołem i poluzował sznurowadła w butach.

11.

Dotarła w końcu do polany mieszczącej cmentarz w Siankach i dwie kaplice, jedną ceglana pod wezwaniem Świętego Jana postawioną przez Stanisława Stroińskiego dla przedwcześnie zmarłych córek, oraz drugą, kamienną. Kiepskie światło latarki nie było w stanie wyłowić wykutego epitafium „Dla tej, która uczyniła mnie najszczęśliwszym z ludzi”. Historię tego miejsca poznała z lokalnego przewodnika w schronisku, sącząc drugiego i trzeciego drinka. Obok cmentarza znajdowało się miejsce odpoczynku dla turystów wyposażone w kilka drewnianych stołów z ławkami i to właśnie tam postanowiła zaczekać na swojego informatora.

Wyłączyła telefon, aby oszczędzać baterię, i zatopiła się w cichej bieszczadzkiej nocy. Gwieździste niebo i jasny księżyc spowijały delikatną poświatą cmentarz, a z obydwu kaplic dobiegał blask zapalonych przez turystów zniczy. Jedna z legend głosiła, że można sobie tutaj zapewnić wieczną miłość ukochanej osoby. Wystarczyło wspólnie z nią stanąć między grobami małżonków, Franciszka i Klary, chwycić się za ręce i wypowiedzieć swoje imiona, a potem zmówić „wieczny odpoczynek”. Natomiast jeśli było się nieszczęśliwie zakochanym lub pragnęło wzbudzić czyjeś uczucie, zostawiało się czerwoną świecę. Paliło się ich całkiem sporo.

Niesamowita była historia tej pary mieszkającej niegdyś we dworze, zamienionym obecnie na schronisko. Ona przybyła tu z Lwowa, zakochana po uszy porzuciła najpiękniejsze miasto

Rzeczpospolitej i zamieszkała na końcu świata. Kochali się z Franciszkiem na zabój, w końcu ona umarła przedwcześnie, w wieku czterdziestu lat, a on, oszalały z miłości, przez kolejne dwadzieścia sześć codziennie pielgrzymował do jej grobu, dokładnie tą samą drogą, którą przybyła tu dziś Nina, by powiedzieć jej, jak minął dzień. W końcu także Franciszek umarł, spoczął obok swej Klary, a miejsce zyskało magiczną moc zarządzania miłością innych ludzi. Bieszczady zdobyły tym samym swoją niepowtarzalną legendę o zakochanej parze, piękną i ponadczasową. Aż do roku dwa tysiące dwudziestego drugiego, gdy podczas renowacji płyt nagrobnych odkryto, że prawda wyglądała zgoła inaczej. To Franciszek zmarł wcześniej od swej małżonki, a ta pielęgnowała swą miłość jeszcze przez szesnaście lat. Zdarzenie to pokazywało tylko moc legendy i udowadniało, że fakty sobie, a ludzkie pragnienie romantycznych historii sobie.

Nina siadła na ławce najmocniej skrytej w mroku i zamarła w bezruchu, oczekując tego, który zostawił jej wiadomość. Była bardziej niż pewna, że będzie to Romuś, jednak kobieca przezorność nakazała jej zabrać ze sobą gaz pieprzowy, który zawsze nosiła w torebce. Jeszcze nigdy go nie użyła, ale noszenie go zalecano wszystkim kobietom, które często wracały po zmroku do domu. Wolałaby pistolet, jak powiedziała jedna z bohaterek filmu Quentina Tarantino: „Nie chcę, aby facet chcący mnie zgwałcić płakał, że chcę odstrzelić mu jaja, dlatego noszę pistolet, a nie gaz”. No cóż, w Polsce nie było to takie proste.

Usłyszała odgłos szurania w kamiennej kaplicy, jakiś cień przesłonił migotliwe płomienie świec zostawionych przez beznadziejnie zakochanych.

Zadrzała.

Odezwały się zaszyte w głowie opowieści o duchach, obudził się atawistyczny strach przed nocą i zmarłymi wstającymi z grobów. Po raz kolejny żałowała, że nie wzięła ze sobą butelki wódki.

Cień poruszył się i wypełnił drzwi od kaplicy, następnie jak smolisty cień popłynął z cichym szuraniem stóp w jej stronę, po czym zamarła skryta w mroku. Postanowiła zagrać bezczelnie i swoim działaniem zamaskować wzbierający w niej strach.

– Jestem – rzuciła hardo, chociaż nie potrafiła wyczuć tej odwagi we własnym głosie.

Odpowiedziała jej cisza. No nie do końca, bo postać poruszyła się i dziewczyna usłyszała odgłos kroków, ciężkie buty zachrzęściły na ścieżce między grobami nieszczęśliwych małżonków.

Kurwa, ten mężczyzna nie wyglądał jak Romuś, był zdecydowanie większy.

– Ty nie jesteś Romuś – powiedziała niemal automatycznie, jakby jej myśli potrafiły narodzić się, tylko będąc wymawianymi na głos.

Usłyszała chrapliwy śmiech.

– Nie – padła odpowiedź wypowiedziana gardłowym głosem.

Zmroziło ją, sparaliżowało, jakby spojrzała w oczy śmierci i nie potrafiła odwrócić wzroku mimo pełnej świadomości grożącego jej niebezpieczeństwa.

Powinna chwycić za gaz, ale ręka za cholere nie chciała jej słuchać.

12.

Piwo było wyborne. Zimne, mocno chmielone, spłukiwało całodzienny kurz z gardła, jakby zostało właśnie do tego stworzone przez dobrego Boga. Kolacja także była wyborna, prosta, ale wyśmienita. Baranie kiełbaski z pieca podane z serem i żurawiną. Pan Jacek na początku, widząc przygotowaną porcję, oświadczył, że to za dużo, ale po pierwszej przegryzionej kiełbasce pojął, że talerz zostawi pusty i dokładnie wylizany.

– Cudo! – oznajmił, przełykając pierwszy kęs i od razu popijając go piwem.

– Trzymałam specjalnie dla pana – odpowiedziała dziewczyna, przecierając pozostałe stoliki.

– Dobrze, że zdążyłem.

– Tym bardziej że u nas po nocy nie wolno się szwendać.

– Tak, wiem – odparł. – Jednak chyba nie trzymacie się tego zakazu zbyt gorliwie.

– Ze strażą graniczną nie ma żartów. Jeśli kogoś złapią po zmroku, to potrafią dla przykładu zamknąć do wyjaśnienia, więc lepiej nie ryzykować.

– Pewnie mnie by zgarnęli – powiedział pan Jacek, pochłaniając ostatni kęs pierwszej kiełbaski. – Ale pięknym dziewczynom to nie grozi, jak mniemam.

– Nas znają. – Barmanka lekko się zarumieniła.

– Nie chodzi mi o panią – oznajmił mężczyzna, ścierając natychmiast uśmiech z pięknej twarzy. – Po drodze minąłem taką blondynkę idącą w stronę lasu, w kierunku cmentarza w Siankach.

Dziewczyna wyprostowała się i spojrzała na niego uważnie.

– Samą? – zapytała.

– No tak – potwierdził pan Jacek.

– Wysoka, długie i równe włosy, sztuczna mordka, małe cycki i wąska dupa? – uściślała dziewczyna.

– Można tak powiedzieć – przytaknął mężczyzna z uśmiechem. – Odważna, nie ma co.

– Głupia co najwyżej.

– Tak teraz myślę, że mogłem ją jednak zatrzymać. Nie wyglądała na turystkę. W dodatku widziałem tam też mężczyznę.

Przez krótką chwilę schronisko wypełniała cisza mącona jedynie chrzęstem pękającej skórki mocno wypieczonej baraniej kiełbaski.

– O Boże! – Mężczyzna odłożył widelec. – Pani myśli, że mogło jej się coś stać?

Dziewczyna spojrzała na niego dziwnym wzrokiem, niezbyt dobrym, nasączonym zajadłością i wypranym ze współczucia.

13.

Mężczyzna szedł w jej stronę wolnym krokiem i ta nieśpieszność w zbliżaniu się miała w sobie coś z upiorności,

jakby miał pewność, że Nina i tak mu nie ucieknie. Był duży, ale sama nie wiedziała, czy to jego realny wzrost, czy też ciemność i strach potęgowały to wrażenie. Wszystko było wielkie, szerokie barki i twarz, która powoli, jakby od niechcienia, wyłaniała się z mroku.

– Pan... – Nina cofnęła się o krok.

– Ja.

– Ma pan informacje? – namacała gaz w kieszeni.

– Oj, mam – odpowiedział.

Podjęła decyzję natychmiast, a właściwie zrobił to za nią strach. Zaciśnęła dłoń na puszcze z gazem i wyciągnęła w jego stronę.

Był szybki. Diabło szybki.

Uderzył niemal w tym samym momencie, gdy wyprostowała rękę i trafił ją prosto w dłoń. Krzyknęła z bólu, a gaz wyfrunął z jej drobnych palców i poleciał gdzieś w ciemność, upadając bezgłośnie na wilgotną trawę. Mężczyzna zatrzymał się w pół ruchu i w bladym świetle księżyca dostrzegła jego paskudny uśmiech. Pozostało jej tylko jedno: pisk!

– Policja! – Rozbrzmiało zza jej pleców. – Stój, bo strzelam.

Rozbłysła mocna latarka, rzucając trupio bladą plamę światła na wykrzywioną w grymasie twarz napastnika.

Mężczyzna rzucił się nagle w tył i po prostu rozpląnął w ciemnościach. Słyszała tylko jego ciężkie i szybkie kroki, cichnące z każdym ułamkiem sekundy. Mimo mocnego snopu światła rzucanego przez latarkę trzymaną przez kogoś za jej plecami nie było widać uciekającej sylwetki.

Odwróciła się i zmrużyła oczy, osłaniając je ręką przed mocnym światłem.

– Nic ci nie jest? – zapytał przybysz.

– Kosma?

– Widziałem, jak idziesz w stronę lasu.

– Wszystko w porządku. Wytrącił mi tylko gaz.

- To dobrze.
- Dlaczego nie strzelałeś? – zapytała z gniewem. – Przecież chciał mnie... sama nie wiem.
- Nina, co tu, do cholery, robisz po nocy?
- A ty?
- Widziałem, jak idziesz w stronę lasu, a raczej wykradasz się ze schroniska. Zaintrygowało mnie to na tyle, że postanowiłem za tobą pójść. W tych lasach nie jest bezpiecznie. Ja też zostałem napadnięty.
- Dziękuję, ale mogłeś strzelać, chociażby w nogi.
- Nina, po pierwsze, to strefa nadgraniczna, użycie broni natychmiast zaalarmowałoby pograniczników. Po drugie, policjant nie może sobie strzelać ot tak, do każdego. No a po trzecie, to jestem po dwóch czy tam trzech piwach i jeśliby doszło do najgorszego, to byłoby nieciekawie.
- Mnie tu mordują, a ty rozważasz za i przeciw, czy użyć broni?
- Nie odpowiedział. Było jeszcze po czwarte, a brzmiało ono „nie mam przy sobie broni, została w samochodzie”.
- Wracamy – zarządził. – Opowiesz mi wszystko po drodze.
- Tak i nie.
- Co to znaczy?
- Wracamy – zgodziła się. – Ale niczego ci nie powiem.
- Informacja za informację? – zapytał.
- To znaczy?
- Ty mi powiesz, co cię tu przygnało, a ja wyjawię ci, kim był napastnik.
- Spojrzała na niego i podeszła krok bliżej, w delikatnej poświacie dojrzała jego twarz, zasępioną i ozdobioną czarną blizną.
- Coś ty taki zorientowany, co?
- Zazdrościsz?

– Może trochę – odparła przekornie. – Chodź – rzuciła, ruszając w stronę schroniska z zapaloną latarką.

Opowiedziała mu o karteczce znalezionej na łóżku i swoich przypuszczeniach względem Romusia oraz zaskoczeniu, gdy nie poznała mężczyzny, który na nią czekał.

– To był Strzyga – poinformował ją Kosma. – Lokalny watażka.

– I czego ode mnie chciał? – zapytała. – Czy chodziło mu o... no wiesz, chciał mnie zgwałcić?

– Nie sądzę.

– Ale przecież w tym lesie nikt by mnie nawet nie usłyszał. On... – ponownie urwała w pół zdania.

– Nina. – Zatrzymał ją, łapiąc za ramię. – To bardzo groźny człowiek. Kurewsko niebezpieczny. Chciał cię nastraszyć albo uciszyć.

– Ale przecież ja nic nie wiem – zaprzeczyła stanowczo, odwracając się do niego.

– Miał powód, to pewne. Może coś widziałaś albo jemu się wydaje, że o czymś wiesz.

– A ty skąd go znasz? – zapytała Nina.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– O nie, kochany. – Złapała go palcem za kołnierzyk koszulki i delikatnie przyciągnęła do siebie, niemal stykali się ze sobą twarzami. – Informacja za informację. Ja ci powiedziałam wszystko.

– Ujawniłem ci tożsamość człowieka.

– Mów – szepnęła tak głośno, że powietrze aż zasyczało.

Kosma westchnął, chciał się odsunąć, ale dziewczyna cały czas trzymała go za koszulkę, zakrzywiając coraz mocniej palec.

– Ujawnisz to dopiero, gdy ci pozwolę, zgoda?

– Jasne.

– To on strzelał do zamachowca.

– Co? – zapytała, a głos jej się załamał. – Kosma, on mógł mnie...

– Zabić – dokończył za nią.

– Zabić – powtórzyła szeptem, po czym przytuliła się do niego, opuszczając głowę na jego ramię. Oddychała ciężko, powaga sytuacji i realność zagrożenia, któremu przed chwilą stawiała czoła, wywarło na niej kolosalne wrażenie. Jej oddech był ciepły i łaskotał go w szyję. Jej szybko poruszające się twarde piersi naciskały na jego klatkę.

– Piłeś wódkę – powiedział spokojnie.

– A czy ja się chwale, że jestem trzeźwa? – zapytała, spoglądając mu w oczy.

Nagle od strony schroniska doszedł ich odgłos kroków kilku osób, a noc przecinały snopy świateł. Nikt się nie zakradał, nadchodzący ludzie rozmawiali ze sobą głośno i nie próbowali skryć się w mroku nocy.

– Ekipa ratunkowa – stwierdził Kosma.

– Jak zawsze nie w porę – westchnęła Nina.

Kosma zaśwycił swoją latarkę i zamachał nią energicznie.

– Hej, tam na szlaku! – zawołał. – Zawracajcie.

Ruszył w stronę przybyszów, pociągając za sobą Ninę.

13.

Siedzieli w pokoju socjalnym na dole, najedzeni i lekko upojeni. Turysta, który zorganizował wyprawę ratunkową, zabierając ze sobą Romusia i Łukasza, postanowił udać się na spoczynek, ale wcześniej musieli mu dotrzymać towarzystwa i wysłuchać kilku górskich opowieści.

Nina trzymała się wersji, że po prostu chciała sobie pospacerować po Bieszczadach nocą, a Kosma, widząc to, lekko się zaniepokoił. Znał opowieści o włóczących się po okolicy niedźwiedziach i finalnie miał rację, jakieś tajemnicze zwierzę postraszyło ich w okolicy cmentarza. Wszyscy jednak byli pewni, mimo widocznego roztrzęsienia Niny, że wymknęli się do

Grobowca Hrabiny w celach romantycznych, i nie szczędzono im docinków i uszczypliwości z tej okazji. Jednak gdy życzliwy turysta poszedł do swojego pokoju, to zmienili miejsce na pokój socjalny, aby nikt ich nie słyszał, i Kosma wyjawiał im prawdziwy przebieg zdarzeń.

– Skąd ten bydlak miał klucz do mojego pokoju? – zapytała Nina.

– On kiedyś kierował tym schroniskiem, przez dwa miesiące – poinformowała ją Paulina. – Wie, gdzie są zapasowe klucze do wszystkich drzwi, mógł swobodnie wejść i zakraść się do twojego pokoju.

– Albo komuś to zlecić – wtrąciła dziennikarka. – Na przykład tej Ukraince, ona mnie nienawidzi.

– Wykluczone – odezwał się Łukasz. – Luba to bardzo dobra i uczciwa dziewczyna, w dodatku nienawidzi Strzygi za to, że zarabiał na przemycaeniu ludzi przez granicę. Zresztą ona nie ma nic do ciebie, jest po prostu chorobliwie zazdrosna o swojego Romusia.

– Ale dlaczego napadł na Ninę? – zapytała Paulina, zmieniając temat.

– To proste – odpowiedział Kosma. – Prorok doskonale widział, kto strzelał. Zna zarówno Strzygę, jak i łączyły go zażyłe relacje z Klaudiuszem, stąd pewnie jego sumienie jest dość mocno obciążone, a dusza, że się tak górnolotnie wyrażę, rozdarta. Postanowił dokonać publicznej spowiedzi i poprosił o to Ninę, Strzyga musiał się o tym dowiedzieć i usiłuje temu zapobiec. Obawia się, że prorok ujawni jego tożsamość.

– To nie mógł dać w łeb Zenkowi? – zapytał Łukasz.

– Wierzy w jego objawienia – odparł Kosma. – Dlatego go obronił, strzelając do Klaudiusza. Nina jest dla niego obca. Wątpię, żeby chciał ją zabić. Prędzej nastraszyć, może pobić. Trup znowu by ściągnął tutaj wszystkie służby świata i teraz to już nikt by nie odpuścił. Znana dziennikarka zamordowana w Bieszczadach? Kilka stacji pewnie wybudowałoby tutaj swoje placówki.

– Oj tak – zgodziła się Nina. – Znam ich bardzo dobrze, tematem żyłaby cała Polska.

– Teraz jednak już się nie odważy cię zaatakować – powiedziała Paulina. – Od razu byłoby jasne, kto za tym stoi. Nie będzie sobie dokładał kolejnych rzeczy na głowę.

– Równie dobrze może mu już nie zależeć – wtrącił Kosma. – Polskie prawo jest tak sympatycznie skonstruowane, że kara za jedno morderstwo jest taka sama jak za dwa, trzy czy dziesięć.

– Pocieszaj mnie dalej – skomentowała Nina, sięgając po szklankę z kolejnym drinkiem. Gdy wrócili do schroniska, napięcie z niej zeszło, rozkleiła się i rozplakała, a potem zażądała procentów. Nawet niezbyt jej przychylna Luba poklepała Ninę po plecach, a Kosma stwierdził, że można grać twardzielkę i nosić oprócz makijażu drugą maskę, ale każdy ma swoje granice. Zobaczył przestraszoną kobietę obawiającą się o własne życie, zwyczajną dziewczynę z małego miasta, która hardo wkroczyła w wielki świat, ale tak naprawdę to nadal ma chęć schować się pod kocem i poczekać, aż potwory spod łóżka przegoni światło poranka.

– Będziemy cię mieli na oku – powiedział Kosma. – Chociaż radziłbym ci po prostu odpuścić ten materiał i wyjechać.

– Chyba cię... – zaczęła, ale ugryzła się w język. – Jesteś niepoważny, mój drogi – dokończyła.

– Tak myślałem – westchnął Kosma.

– Kolego sympatyczny – Nina zaczęła gestykulować trzymaną w dłoni szklanką z drinkiem – skoro ktoś chciał mnie zamordować, aby nie doszło do tego wywiadu, to on musi się odbyć.

– No tak.

– Otóż tak! – podniosła głos i stuknęła szklanką o blat biurka. – Po drugie, to, jak widać, nie znasz się na kobietach. Jeśli ktoś nam czegoś zabroni, to uzyska efekt całkowicie odwrotny, to chyba jasne.

– Dobra, pax między chrześcijany – przerwał im Łukasz. – Kosma, mówiłeś, że masz coś ciekawego dla nas.

Kosma spojrział na zebranych przy stole i zastanawiał się, czy wciągać Ninę w sprawę. Chyba było już za późno, jeśli tylko spróbowałyby ją teraz wyprosić, to mogło dojść do dantejskich scen lub wręcz przeciwnie, poskutkowałyby to cichym fochem, ale też całkowitym zerwaniem stosunków, a wolał mieć ją jednak na oku. Dla jej bezpieczeństwa. I swojego.

– Pokażę wam pewne zdjęcie – powiedział w końcu. – To chłopak, który nagrywał wszystkie wystąpienia proroka, i według dostępnej mi wiedzy robił to na jego życzenie. Mieszkał u niego, ale wczoraj zniknął.

Wyjął telefon i pokazał im fotografię przesłaną dziś przez Kacpra. Jego smartfon wędrował z rąk do rąk, Paulina i Łukasz, a na końcu Nina, przyglądali się młodemu chłopakowi, ale z ich twarzy nie dało się niczego wyczytać, nie drgnęła im nawet powieka.

– Nie znam gościa – odezwał się Łukasz.

– Ani ja – dodała Paulina.

– Ja też – rzuciła Nina. – Ale skoro organizował te transmisje, to zna się na sprzęcie. Mogę wysłać fotkę do moich techników, ci do znajomych i tak dalej. Może gdzieś się spotkali z chłopakiem, to wbrew pozorom hermetyczny światek.

– Zrób tak – zgodził się Kosma. – Tylko nie informuj o kontekście.

– Spoko – odpowiedziała Nina.

– No to co – odezwał się Łukasz. – Czuję, że ciężkie tematy mamy pozałatwiane. Jeszcze po maluchu i spać?

– Z chęcią – odparł Kosma, spoglądając na zegarek, na którym dochodziła pierwsza w nocy.

Stuknęli się szklankami i butelkami, a Nina puściła oko Kosmie.

14.

Nina chwiała się na schodach, wódka musiała jej wejść dość mocno. Kosma pomógł jej wejść na górę, mając nieodparte wrażenie, że specjalnie tak się zatacza, aby jak najmocniej ją trzymał. Zaprowadził dziennikarkę do pokoju i pomógł wylądować na łóżku.

– Boję się sama spać – powiedziała, mrużąc oczy.

– Będę za ścianą – odparł.

– Za dupą – rzuciła cierpko.

– Co?

– Kurwa, aleś ty kompletnie nieromantyczny – rzuciła. – Dama w opałach, a ty olewasz temat, zostawiasz ją na pastwę losu. Nieładnie. Ktoś może tu się zakraść, już zresztą raz to zrobił. I gotów mi coś zrobić, a ja bym wołała, żebyś to ty mi coś zrobił.

Lekko bełkotała i próbowała podnieść się z łóżka, ale zatoczyła się i walnęła na posłanie. Chyba nerwy kumulowały się z procentami, odcinając stabilizację pionową.

– Nina, potrzebujesz odpoczynku.

– Już ja lepiej wiem, czego potrzebuję – rzuciła, zalotnie mocno świszcząc i szeleszcząc, jednocześnie zaczęła rozpinąć bluzkę.

– Snu.

– Raczej kolejnego drinka.

– Przyniosę ci.

– Serio? – zapytała z typową pijacką radością. – Jesteś kochany.

– Właż pod kołdrę, zaraz wracam – oznajmił, po czym wyszedł za drzwi, widząc, jak Nina mocuje się z koszulką, odsłaniając czarny biustonosz.

Zrobił kilka głośnych kroków, po czym wrócił na palcach pod drzwi. Nasłuchiwał. Ze środka dobiegało przez chwilę szamotanie i pomrukiwanie, potem chichot bardziej przystający nastolatce, a następnie, po jakichś dwóch minutach, zgodnie z jego przewidywaniami, chrapanie. Wszedł do środka, przyjrzał się śpiącej dziewczynie skrytej pod kołdrą, rozrzuconemu na

podłódze ubrani, po czym zgasił lampkę stojącą na szafce i zostawił ją sam na sam ze snami.

ROZDZIAŁ 10

BIELMA. TERAZ

1.

Kosma wstał nie bez problemu, po omacku walcząc z alarmem w telefonie nastawionym na szóstą rano. Do czego to doszło, że w piękny letni dzień, będąc w górach i śpiąc w schronisku, musi się zrywać tak wcześnie. Ano tak, myślą przewodnią tego postanowienia podjętego nocą było wymknięcie się ze schroniska jeszcze przed Niną. Wstał i szybko się ubrał, szybki prysznic wziął w nocy, żeby z rana nie hałasować.

Wymknął się z pokoju, po czym podszedł cicho do drzwi, za którymi zostawił pijaną dziennikarkę. Nasłuchiwał chwilę, ale nie dobiegał go żaden odgłos. Zaniepokoił się nieco, nie chciał jej zamykać na noc na klucz, a jeśli ktoś po cichu przyszedł w nocy, gdy wszyscy mieszkańcy schroniska smacznie spali i postanowił ją uciszyć? Kosma wierzył w swój lekki sen, budził go zazwyczaj byle szmer, ale przecież też troszkę się znieczulił po wieczornych przygodach.

Z bijącym głośno sercem nacisnął delikatnie klamkę i zajrzał do środka. Od razu odetchnął, bo po pierwsze, Nina nadal była w swoim łóżku, a po drugie, nie spoczywała w kałuży krwi, ale w zmiętej pościeli, płytko oddychając. Leżała na plecach, jej blond włosy rozsypały się na poduszce, a kołdra przykrywała jedynie lewą nogę i biodro, ukazując bladą skórę i kształtne piersi poruszające się w rytm sennego oddechu. Wyglądała pięknie, może i przy jej biuście majstrował jakiś warszawski chirurg z nieprzyzwoicie drogiej kliniki, ale na pewno zrobił porządną robotę. Odbiór psuł jedynie unoszący się w powietrzu zapach przetrzawionego alkoholu, dobitnie przypominający o tym, że Nina wczorajszego wieczoru za kołnierz nie wylewała.

Ociągając się, bo widok był bardzo przyjemny dla oka, Kosma zamknął drzwi. Było mu nieco głupio, że trochę zbyt długo przypatrywał się nagiej dziennikarce, ale z drugiej strony pocieszył się tym, że przecież w nocy miał okazję wykorzystać dziewczynę, a zachował się isticie po dżentelmeńsku.

W jadalni schroniska krzątała się już Luba, zapach kawy unosił się w całym pomieszczeniu. Za jednym ze stołów siedziała dwójka turystów, jedząc szybko jajecznicę, rzucali w jego stronę krótkie spojrzenia, ale nie przerwali rozmowy dotyczącej dzisiejszych planów na wycieczkę, które mogły pokrzyżować zapowiadane na popołudnie burze.

– Cześć. Ty kiedykolwiek sypiasz? – powitał dziewczynę Kosma.

– Ludzie lubią wychodzić na szlak bardzo wcześnie, trzeba ich wymeldować i nakarmić – odpowiedziała Luba. – Wystarczy mi pięć godzin snu, serio.

– Twardzielka.

– A jak nasza gwiazda? – zapytała, wskazując głową w kierunku schodów wiodących na piętro. – Wczoraj się narąbała, jakby pierwszy raz wódkę widziała na oczy.

– Żyje.

– Pilnowałeś jej całą noc? – Mrugnęła porozumiewawczo.

– Niech się sama pilnuje – odparł.

– Wisiała nad tobą jak mucha nad gównem.

– Nie mój typ. Serio.

– Wierzę ci na słowo – odpowiedziała. – W nagrodę dostaniesz gorącą kawę i naleśniki z jagodami.

– Zatem warto było – stwierdził Kosma i usiadł przy barze.

Po chwili Luba postawiła przed nim duży kubek czarnej kawy i talerz pełen amerykańskich naleśników zalanych sosem z jagód. Na czubku wieży z małych pancakes wycisnęła solidną porcję bitej śmietany.

– Nie do końca zdrowe, ale da ci kopa – poinformowała z uśmiechem.

– Dziękuję – odparł, przysuwając talerz i słodząc kawę. – A co ty sądzisz o tym wszystkim, co tu wczoraj się działo?

– Jak dla mnie to ona szuka guza i go znajdzie.

– Nie lubisz jej.

– Owszem – zgodziła się bez cienia skrepowania. – Ale to nie powód, abym jej życzyła źle. Najlepiej by było, gdyby zwinęła dupę w troki i wróciła do tej swojej warszawki. Tam jej chcą, tutaj nie za bardzo. A teraz wybaczyć, muszę wstawić mięso na pieczeń. Dzisiaj mamy grupę na obiedzie.

Kosma odprowadził ją wzrokiem, ubraną w krótkie spodenki podkreślające zgrabne pośladki, koszulkę z dużym dekoltem, w dodatku odsłaniającą brzuch. Była piękna, ale tak inaczej niż Nina, tutaj każdy chirurg, próbując cokolwiek poprawić, najpewniej tylko by zaszkodził. Ciekawe, że swojego chłopaka trzymała krótko, nie pozwalała mu nawet spojrzeć na inne kobiety, ale sama raczej do skromnych nie należała. Nie jego sprawa.

On musiał dziś popchnąć pewne sprawy do przodu, a przede wszystkim rozmówić się z lokalną policją. No i prorokiem. Najlepiej, zanim dojdzie do wieczornego wywiadu.

Dojadł naleśniki, wszedł za bar i przygotował sobie dolewkę kawy z dużego ekspresu, po czym skierował się na taras schroniska. Słońce pomimo wczesnej pory już całkiem nieźle przygrzewało, udał się na koniec drewnianego podestu, rozłożył sobie leżak i ułożył się w nim wygodnie, tak aby go nie oślepiało. Wyjął telefon, przejrzał niusy ze świata, ale ten nadal trwał mimo usilnych działań człowieka, aby go zniszczyć. Wybrał w końcu numer do Kacpra. Owca

– Zdjęcie już krąży po ludziach – poinformował przyjaciela. – Może uda się nam namierzyć tego chłopaka.

– Alleluja – skomentował ucieszony Kacper. – Ale co ja mam za wieści, to nawet Mojżesz takich z góry Synaj nie przyniósł.

- Co takiego? – zaciekał się Kosma.
- Dzwonił do mnie w środku nocy kolega, nazwijmy go roboczo „Judasz”.
- Adekwatne imię.
- Kompletnie bez znaczenia. Z racji jego bliskiej współpracy z pewnym dostojnikiem kościelnym musi się wymykać nocami, żeby do mnie zadzwonić, mówię to po to, żebyś docenił powagę sytuacji i jego starania.
- Nie może napisać?
- Pismo zostawia ślady. W dodatku nie jest miłośnikiem nowych technologii, podejrzewam, że ma wciąż jakąś nokię, którą można wbijać gwoździe. Mniejsza z tym. Powęszył dla mnie za tym proboszczem z Bielm i jak powiedziała Maryja do Józefa pewnego poranka, gdy spóźniał się jej okres: nie uwierzysz w to, co ci zaraz opowiem.
- Opowiadaj.
- Otóż nasz sługa boży zaraz po święceniach trafił do niedużej parafii pod Wrocławiem, w którym to kończył seminarium. Nie dalek jak trzy miesiące później przeniesiono go aż pod Suwałki.
- Transfer wychowawczy?
- Najpewniej tak, chociaż powodów nie znamy i pewnie nigdy byśmy nie poznali, gdyby nie to, że pół roku później ponownie zmienił barwy klubowe i trafił dokładnie na drugi koniec Polski, w Bieszczady, do Bielm. Tutaj już zachowała się notatka pewnego kancelisty, który wypisał to zlecenie, zatem było już kogo zapytać. I tak mój kolega dotarł do informacji, że z księdzem Pawłem Janiakiem był mały problem. Młody wikariusz, dość urodziwy, brał się za parafianki. Zazwyczaj takie ekscesy przechodziły bez echa, ale akurat w tym przypadku wsadzał łapska, czy też inne części ciała, tam, gdzie nie powinien. Znamy scenariusz drugiego przeniesienia. Chodził po kołędzie i zabawił nieco dłużej w domu sołtysa, który to niespodziewanie wrócił do chałupy i zastał księdza oraz małżonkę przy głoszeniu dobrej nowiny. Chłop nie podszedł do sprawy po chrześcijańsku, wytrzaskał Janiaka po pysku i wyrzucił z chałupy w samych gaciach na mróz, a na

Suwalszczyźnie zimy do łagodnych nie należą. Podejrzewam, że sytuacja związana z pierwszym transferem była analogiczna. Co ciekawe, gdy trafił w marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku do Bielm, to już osiadł tutaj na dobre. Stąd wniosek, że albo przysiadł na dupie, albo...

– Znalazł sobie stałą partnerkę – dopowiedział Kosma.

– Otóż to.

– Gosposia. Są w podobnym wieku, a ona jest wdową, ponoć mąż zmarł zaraz po ich ślubie, nie dochowali się dzieci. Gdy byłem w jej chałupie, wyglądała na nieco opuszczoną, jakby ktoś tam bywał jedynie raz na jakiś czas.

– Wizytowałeś plebanię?

– Nie.

– Spróbuj.

– Będzie trudno – stwierdził Kosma. – Ksiądz w związku z tym całym zamieszaniem niemal nie wychodzi z domu. Ale spróbuję.

– Kołaczcie, a będzie wam otworzone.

– Dobrze, zawierzę Mateuszowi ewangeliście.

– Kosmyk, a powiedz mi jedną rzecz. – Kacper nagle zmienił ton na zaczepny.

– Muszę kończyć.

– Masz tam jakąś niewiastę płci odmiernej na oku, w tych Bielmach? – zapytał niezrażony ksiądz.

– Naprawdę muszę kończyć.

– Czyli masz! – W głosie Kacpra triumf z trafnie postawionej hipotezy był aż nadto słyszalny. – Ja ci chciałem tylko nadmienić czy też przypomnieć, jak wolisz, że ostatnio, we Wnykach twoje podboje miłosne nie wyszły ci na zdrowie. Tobie po prostu kobiety szkodzą.

– Nikogo nie mam i nie ma mowy o żadnych podbojach.

– Pamiętaj, co powiedział Tertulian, jeden z ojców Kościoła: Kobieta jest bramą, przez którą wdziera się diabeł.

Kosma uśmiechnął się, myśląc: „nawet nie wiesz jak szeroką i kuszącą, szczególnie w przypadku odsypiającym piętro wyżej wczorajsze spożycie”.

– Moje ostatnie przeżycia mogą być dowodem na jego twierdzenie – powiedział na głos. – Ale z tego, co pamiętam z seminarium, to on odrzucał rozum, a zalecał ślepą wiarę.

– Odrzucanie rozumu brzmi jak cały ty. Dobrze, działaj! Z Bogiem!

– Kacpejro?

– Co?

– Prawie nie klniesz. Gratuluję!

– Bardzo, motyla noga, dziękuję – rzucił ksiądz, po czym się rozłączył.

Kosma dopił spokojnie kawę, po czym odniósł kubek do schroniska. Turyści już gdzieś zniknęli, za barem nie widział nikogo, na szczęście Nina także się nie obudziła. Odczekał dwadzieścia cztery godziny obiecane Marcinowi Ziębie, musiał zawiadomić policję.

2.

Przejeżdżając obok plebanii, przyhamował i spojrzał na nieduży drewniany domek tak niepodobny do stojących w całej wsi chyży. Z tego, co mówił ostatnio proboszcz, to oryginalną plebanię spalono, ale potem, gdy zaszła potrzeba, pobudowano nową. Najwidoczniej budowlańcy przywiezieni przez władzę ludową nie potrafili stawiać tradycyjnych domów łemkowskich, zatem sklecieli coś będącego swobodną wariacją na temat góralskiej chałupy. Kosma zaparkował, wysiadł, rozglądając się po okolicy, ale zarówno przy kościele, Świętej Lipie, jak i plebanii nie widział nikogo obcego. Podszedł do drzwi i zapukał, jednak bez efektu. Nie odpuścił, ksiądz musiał być w środku. Uderzył kilkakrotnie w drzwi dużo mocniej – dopiero to przyniosło skutek i ktoś szarpnął od środka za klamkę.

– A, to pan – powiedział na jego widok gospodarz. – Coś się stało?

– No właśnie o to samo chciałem zapytać.

Proboszcz stał w progu i przyglądał się Kosmie, minę miał skwaszoną. Zza jego pleców dało się usłyszeć jakiś dźwięk, chyba stuknięcie kubków, co ksiądz przywitał jeszcze bardziej ponurym wyrazem twarzy.

– Właśnie gospoia robi śniadanie – powiedział głosem niebudzącym żadnych wątpliwości, że nie było to zaproszenie.

– Można? – zapytał Kosma, dając od razu krok do przodu, na co ksiądz odsunął się i wpuścił go do środka.

Wnętrze już nie odbiegało tak bardzo od wystroju lokalnych chat, było czymś pomiędzy domem proroka i chatą Zofii, czyli gosposi księdza, z tym że tutaj było czysto i schludnie. Z pomieszczenia po prawej wychynęła siwa głowa Zofii, ozdobiona zmarszczkami pogłębionymi przez szeroki uśmiech.

– Jajeczniczy zje? – zapytała.

– Jestem już po śniadaniu, dziękuję – odpowiedział Kosma. – W schronisku jadłem.

– A tam dobrze gotują – oznajmiła gospoia. – Ta młoda Ukrainka ma rękę do garów, jakby się do tego urodziła.

Kosma wszedł do kuchni i usiadł przy stole stojącym pod oknem, zajmując jedno z trzech miejsc. Pomieszczenie było czyste i dobrze wyposażone, czuło się ciepło domowego ogniska. Jego uwagę przykuł stojący na szafce olbrzymi samowar, z którego unosiła się para, gospodyni zauważyła to i od razu skomentowała.

– Nie zna smaku herbaty, kto nie pił rosyjskiej z samowara. – Podstawiła kubek pod kranik i uważnie śledziła ciemnobrązowy strumień naparu. – Rosyjska herbata to najlepsza jest, tak pan Edgar mówił, a on przecież się zna. Niby że ta angielska to płynęła do nas statkami, a tam przecież wilgoć i grzyb, toteż Anglicy musieli dolewać do niej mleka, bo pić się nie dało. Ruskie woziły herbatę na wielbłądach przez pustynię. Sucho tam, jeszcze przez tyle tygodni, jak karawana szła, to się sama ponoć wędziła i zapachu wielbłąda nabierała. Taka najlepsza!

– Nigdy nie próbowałem – odpowiedział Kosma, przyjmując kubek od gosposi.

– Tylko bez cukru. – Pogroziła mu palcem. – Osłodzić trzeba konfiturą. – Wskazała miseczki stojące na stole. – No, niech się częstuje.

Proboszcz dosiadł się po drugiej stronie stołu z ciężkim sapnięciem i złapał swój kubek, a Zofia podstawiła mu pod nos talerz z blinami. Była uśmiechnięta, tak różna od kobiety, którą Kosma widział przed dwoma dniami. Może pogodzili się wreszcie z księdzem, a może po prostu to tutaj czuła się jak w domu?

– Słyszałem, że wywiad ma dzisiaj być pod lipą – odezwał się w końcu ksiądz, od razu pakując sobie całego blina do ust.

– Ja właśnie w tej sprawie – powiedział Kosma. – Trzeba by temu jakoś zapobiec.

Proboszcz przeżuwał spokojnie śniadanie, popił herbatą, pokiwał z namysłem głową.

– Zamknąłem kościół – oznajmił w końcu. – I nie otworzę, dopóki ten cyrk się nie skończy.

– Można tak? – zapytał Kosma. – Co na to wierni?

Ksiądz lekceważąco wzruszył ramionami i skrzywił się, dając do zrozumienia, że ma to w głębokim poważaniu.

– Tutaj wszystko można – odparł. – Przez czterdzieści lat pies z kulawą nogą tu nie zajrzał, wszystkie komunie czy bierzmowania w Ustrzykach robią. Ważne, że ktoś tutaj siedzi i odsyła, co trzeba, gdzie trzeba.

– Nie smakuje? – weszła im w słowo gospodyni, widząc, że Kosma nie ruszył kubka. Złapał więc za ucho i spróbował, a po pierwszym łyku aż mu załzawiły oczy. Herbata była mocna, ale nie przesadnie gorzka, nieco pachniała wędzonką i pakowała się do ust nachalnie, niczym niesławna Armia Czerwona. Wyczyściła ze smaków język, zostawiając nieco cierpki film, jakby krzyczała „ja tu rządę”. Kosma złapał szybko za blina, nałożył na niego konfitury z borówek i przegryzł, co od razu zmieniło wystrój

kubków smakowych. Gorzka i wędzona herbata, słodko - kwaśna konfitura, nieco twarogowy w smaku blin. Perfekcyjne połączenie.

– Pyszne – pochwalił gospozię.

– A nie mówiłam – ucieszyła się jak mała dziewczynka. – Jak chce, to może częściej zachodzić na śniadania – dodała, na co ksiądz zgromił ją wzrokiem, ale Zofia nawet nie spojrzała w jego stronę.

– To pani musi tu codziennie rano chyba o świcie przyjeżdżać – zagaił Kosma.

– Gdzie tam. – Machnęła ręką.

– Pani Zosia tu ma swój pokój – oznajmił ksiądz. – W lecie to by mogła jeszcze przyjeżdżać raz na dwa czy trzy dni, ale w zimie kłopot. To nie miasto, jak śnieg się położy, to tylko na nartach, saniami albo skuterem.

– Nie odśnieżają?

– Kto niby? – zdziwił się proboszcz. – Jakby miejscowi zobaczyli pługopiaskarkę, to pewnie by kamieniami w nią rzucali, myśląc, że to UFO. Nigdy tutaj nie dotarła. Zresztą po deszczu nie lepiej, to ogólnie podmokłe tereny, kiedyś były wokół same torfowiska, ale po melioracji i osuszaniu nieco się polepszyło. No i jak w Bieszczadach deszcz się rozpada, to potrafi kilka dni chmura nad nami siedzieć.

Kosma pokiwał głową ze zrozumieniem, wypił herbatę i przegryzł kolejnym blinem.

– Czyli głowa w piasek? – zapytał, patrząc księdzu w oczy. – Pozwoli pan, żeby hulali pod drzewem?

– A co mam zrobić?

– Zwołać ludzi do kościoła i przemówić. Ksiądz w takiej małej wsi to autorytet, posłuchają.

– Gdyby żyli tu z dziada, pradziada, to może i tak. Ci z pierwszej fali to chodzą na msze, bo już starzy. Z drugiej niewielu, a trzeciej to już w ogóle. Kościół świeci pustkami. Tylko patrzeć, jak zlikwidują. Utrzymuję się praktycznie tylko z turystów, którzy

w skarbnice kościelnej zostawiają datki na remont. Po sezonie to bieda aż piszczy.

– To może lepiej ugrać coś na tym objawieniu? – zapytał Kosma.

– Ja już ci swoje powiedziałem, jak żeśmy rozmawiali pierwszego dnia, a nie lubię się powtarzać. Przeczekam, przejdzie. Szkoda, że ten ksiądz się utopił, bo w nim był jedyny ratunek, nowego prędko nie przyślą.

– Zobaczymy. Jeśli dojdzie do tego wywiadu, to wszystko pójdzie w świat, a wtedy Kościół zostanie wywołany do tablicy. Przyślą wtedy kogoś, nie widzę innej możliwości, tylko muszę wcześniej ustalić, czy kolejny człowiek z Kongregacji Nauki Wiary będzie w Bielmach bezpieczny.

– Czyli mnie na rękę, żeby doszło do tego wywiadu – powiedział proboszcz z westchnieniem, wstając od stołu i odkładając talerz do zlewu. – Niech się dzieje wola nieba.

Kosma uznał to jako sygnał kończący spotkanie, także wstał i chciał posprzątać po sobie, ale Zofia go uprzedziła.

– Z Bogiem – rzucił w jego stronę proboszcz.

– Jeszcze jedno – powiedział Kosma, opierając się o drzwi. – Jesteś tu nieprzerwanie od osiemdziesiątego pierwszego roku, zgadza się?

– Tak.

– Traktujesz pobyt tutaj jako pokutę?

– Pokutę? – zapytał ksiądz.

– Wcześniej było dość burzliwie, przenoszenie z parafii na parafię.

Proboszcz wzruszył ramionami, jakby te słowa nie wywarły na nim wrażenia, i spojrzął z ukosa na gosposię, ta wytarła dłonie w ściereczkę i wyszła z kuchni.

– Co było, to było – odpowiedział po chwili, gdy dobiegł ich dźwięk zamykanych drzwi. – Ja już mam prawie siedemdziesiąt lat. Myślę, że dla każdego starość to pokuta. Sutanna tak samo.

Kosma skinął głową. Co do starości nie mógł się wypowiedzieć, ale jeśli chodzi o stan kapłański, to miał nieco odmienne zdanie.

– Każdy ma swoje za uszami – kontynuował proboszcz. – Niby ludzie takie mądre, mówią, że spowiedź oczyszcza duszę, że Bóg wybacza. To wszystko jest palcem na piasku pisane, bo nikt nie wie, jak to jest naprawdę. Żyć dobrze, umrzeć w spokoju, nikomu nie wadzić. Pobyt w Bieszczadach dla jednych jest wyrzeczeniem, dla innych marzeniem, ale nie nazwałbym tego pokutą. Ja chcę już tylko spokoju, świętego spokoju, niczego więcej.

3.

Kosma dostrzegł na przykościelnym parkingu dwa samochody, jednym był radiowóz policyjny z włączonymi sygnałami, a drugim duży bus z logo stacji telewizyjnej. I złożoną anteną satelitarną na dachu. Policjant stał przy drzwiach wozu transmisyjnego i podawał do środka alkomat.

– Akcja trzeźwy poranek – zagaił Kosma mundurowego.

– Panowie z Warszawy pędzili jak do pożaru – wyjaśnił mu policjant w randzie aspiranta, Kosma kojarzył go z akcji pod lipą. – A tu przecież teren zabudowany, no i w dodatku park narodowy, więc nie tylko przepisy, ale i rozsądek nakazuje zwolnić.

Kierowca i pasażer siedzący w kabinie busa nie skomentowali, czekali cierpliwie na wypisanie mandatu.

– Mam prośbę, podrzucilibyście temu oficerowi prowadzącemu sprawę morderstwa spod lipy coś ode mnie? – zapytał drugiego policjanta, który właśnie wysiadł z radiowozu. To był ten sam, którego wczoraj poczęstował kawą. – Zapomniałem, jak się nazywa.

– Komisarz Sepiołło – odparł jeden z policjantów z tak sztucznym szacunkiem w głosie, iż było jasne, że oficer nie jest zbyt lubiany.

– Otóż to – ucieszył się Kosma.

– Jasne. Właśnie wracamy do firmy – zgodził się aspirant, odbierając od Kosmy kopertę ze schowanym w środku

pendrive'em.

– A co to? – zapytał ten od kawy.

– Kilka materiałów, które przydadzą mu się przy sprawie. Taka koleżeńska życzliwość. Ja nie mogę tu prowadzić czynności, ale z chęcią pomogę.

– W to akurat Dupioło nie uwierzy – stwierdził z przekąsem.

– Ja tam nie jestem od wzbudzania wiary – odparł Kosma, śmiejąc się z przydomku nadętego komisarza.

– Dobra, nie nasze zmartwienie – westchnął policjant.

Uścisnęli sobie ręce, Kosma ruszył do swojego auta, gdy zadzwonił jego telefon, wyświetlacz informował, że dobiega się kolega, którego prosił o prześwietlenie chłopaka złapanego na filmie.

– Co tam? – powitał go Kosma.

– Mamy trafienie, wszystko masz na mailu – usłyszał w słuchawce.

– Cholera, zostawiłem laptopa w schronisku, zreferujesz?

– Sam zobaczysz, długo by opowiadać. W każdym razie program do rozpoznawania twarzy wyłowił go dość szybko, zakreślił sto procent zgodności z jednym klientem. Terrorysta to to nie jest, ale trochę sobie w życiorysie napaskudził. W każdym razie będę musiał przesłać te same informacje do komendy powiatowej, bo chłopak ma status „miejsce pobytu do ustalenia”.

– Grubo.

– Resztę masz na skrzynce. Jakby coś, to wal śmiało.

– Dzięki. Już jadę sprawdzić.

Rozłączył się i wszedł do samochodu. Ruszył z parkingu w ślad za wozem transmisyjnym, przy którym policjanci właśnie zakończyli czynności.

4.

Wezwani najpewniej przez Ninę do przeprowadzenia transmisji, pracownicy telewizji pobłądzili na pierwszym skrzyżowaniu.

Kosma wyprzedził ich i machnął ręką, aby jechali za nim, doskonale wiedział, że w tym miejscu wszystkie nawigacje wariują, bo silniejszy nadajnik ma ukraińska sieć komórkowa i o ile mapy nie są offline, to umarł w butach.

Pod schroniskiem cały parking zastawiony był rowerami, część z nich miała dopięte przyczepki bagażowe, kilka takie do przewozu dzieci. Na szczęście zwyczajowe miejsce Kosmy stało wolne, ale duży wóz transmisyjny miał kłopot z zaparkowaniem, w końcu pasażer wysiadł i zaczął pilotować kierowcę na małą przecinkę w lesie na górze nad schroniskiem. Nina obserwowała całe manewry z tarasu, pijąc kawę, skulona, okryta kocem, wyglądała jak kupa nieszczęścia.

– Przywiozłem ci kolegów – powitał ją Kosma.

Nie odpowiedziała, spojrzała na niego podkrążonymi oczami, dłonie lekko jej drżały, ścisnęła kurczowo kubek z logo schroniska wypełniony kawą z mlekiem.

– Nie cieszysz się? – zapytał wesoło Kosma.

– Jeśli nie przywieźli makijażystki, to chuja nagramy – wychrypiała.

– Nie jest tak źle... – Przyglądał się jej, mrużąc oko niczym malarz szykujący się do zapełnienia nowego płótna. Jednak było źle, podkrążone i czerwone oczy, blada twarz, na której wargi zaznaczały się jak wyrysowane starą kredką.

– Ta... – odpowiedziała. – Jest taki wynalazek, lustro, wiesz? Więc mi nie pierdol tutaj.

– Rozsierzona – skwitował Kosma. – Nagranie dopiero wieczorem, machniesz remont facjaty i już.

– Yhm... – Wypiła kilka małych łyčzków kawy.

– Wybacz, ale ty masz swoją robotę, a ja swoją. – Ruszył w stronę wejścia do budynku.

– Kosma – zawołała za nim ochryplym głosem, co zatrzymało go w miejscu.

– Tak?

- Czy my wczoraj...
- Nina – zaczął z uśmiechem.
- Co?

Podszedł do niej i lekko się pochylił, aromat przetrawionego alkoholu niezbyt dobrze maskowały perfumy.

- Masz piękne piersi – rzucił krótko, widząc, jak jej technicy zmierzają dziarskim krokiem w stronę tarasu.

Myślał, że może się zarumieni, ale jej twarz pozostała blada, za to uśmiechnęła się znad kubka opartego o dolną wargę. Nie czekał, aż odpowie, tylko szybko wmaszerował do schroniska i od razu uderzył go gwar rozmów. Kilkunastu rowerzystów stało w swoich kolorowych trykotach i jeden przez drugiego składali zamówienia, które Luba notowała z zaciętą miną. Minął ich szybko i skierował się do swojego pokoiku.

Uruchomił komputer i stwierdził, że jednak lepiej było pojechać gdzieś, aby złapać mocniejszy internet. Wszystko działało jak krew z nosa, żeby móc uruchomić skrzynkę służbową, musiał połączyć się przez specjalny protokół VPN, co wydawało się niemal niemożliwe, udało się dopiero za czwartym razem.

Na szczęście kolega wszystko ładnie spakował mu do jednego lekkiego pliku, który i tak potrzebował ponad pięciu minut, aby wylądować na dysku.

- Kogo my tu mamy? – powiedział do siebie Kosma, otwierając załącznik.

Z policyjnej kartoteki spoglądał na niego Tomasz Witos, lat dwadzieścia jeden, chłopak o spokojnym i lekko kpiącym spojrzeniu, były z niego pewność i buta, zapozował do fotografii, lekko unosząc podbródek. Historię kryminalną miał jak na ten wiek bogatą, mając siedemnaście lat, zahaczył artykuł sześćdziesiąty drugi ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii, a dokładnie posiadał przy sobie dwa gramy marihuany. Nic szczególnego, ale dalej zaczynały się już poważniejsze sprawy, pojawiały się dwa artykuły sąsiadujące ze sobą w kodeksie karnym: dwieście osiemdziesiąt sześć i siedem, czyli oszustwo i oszustwo komputerowe. To drugie stawało się ostatnio plagą,

notowano ich już ponad dziesięć tysięcy każdego roku. Okazało się, że młody Witos dokonał oszustwa na portalu sprzedażowym, wysyłając zamawiającemu przysłowiowego ziemniaka zamiast telefonu, ale też maczał palce w łamaniu zabezpieczeń oprogramowania komputerowego i dystrybuował pliki. Sąd łaskawie zastosował w pierwszym przypadku karę roku pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata, ale że młody nie wyniósł z tego nauki i złamał warunki zawieszenia kary, był poszukiwany przez policję w celu ustalenia miejsca pobytu i doprowadzenia do zakładu karnego celem odbycia kary.

Dane osobowe wskazywały jako matkę Adriannę Witos, obecnie mieszkającą pod Napoli w słonecznej Italii, gdzie od kilku lat pracowała jako gospodyni domowa. Innej rodziny nie miał, żadnego rodzeństwa. Podczas prób ustalenia miejsca pobytu policjanci dotarli do informacji, że Adrianna również nie ma ustalonego ojca, a tylko matkę, Elwirę, a ta zmarła przed pięcioma laty, zatem młody u dziadków nie mógł się ukrywać.

Wniosek był prosty. Miał wszystko i nie miał zarazem niczego. Tych informacji mógł użyć tylko jako karty podczas rozmowy z prorokiem Samuelem. Przesłał akta osobowe do Kacpra, może jego tajemniczy informatyk coś z nich wyciągnie.

Już miał zamykać komputer, gdy zobaczył ikonkę nowej wiadomości mailowej. Otworzył program, kolega przesłał mu wiadomość z tytułem „Uzupełnienie”. Ponownie ściągnął załączniki, ale trwało to o wiele krócej, bo w środku był tylko skan dowodu osobistego matki chłopaka, jeszcze z czasów, gdy obowiązywały książeczkowe formy tego dokumentu. Nie znalazł w nim niczego ciekawego, oprócz zdjęcia uśmiechniętej, czarnowłosej dziewczyny. No tak, te czasy, gdy nie produkowano dowodów pod skanery twarzy, do identyfikacji musiały wystarczyć oczy milicjanta czy też policjanta. Brunetka miała charakterystyczne dołeczki w policzkach i tyle energii, że zdawać by się mogło, iż zaraz wyskoczy ze zdjęcia. No i dwa warkoczyki sterczące na boki, które musiały wtedy być szczytem mody wśród młodych dziewczyn. Kobieta, w której można się zakochać w sekundę.

Zerknął na zegarek i stwierdził, że zeszło mu cholernie długo z całą akcją, chyba przez ten wolny internet albo po prostu w Bieszczadach czas płynął zbyt szybko. Zbliżała się trzynasta.

Zamknął laptopa i zszedł na dół z myślą o zimnym piwie, które w ten ciepły dzień wydawało się znakomitym pomysłem. Hałaśliwi rowerzyści stali w zbitej grupce przed schroniskiem i słuchali przewodnika, którym, ku zdziwieniu Kosmy, okazał się Edgar.

– On to lubi – oznajmiła Luba, widząc, że zatrzymał się w progu i obserwuje wycieczkę.

– Myślałem, że jest raczej odludkiem.

– Tak tylko pieprzy – stwierdziła dziewczyna, nalewając mu do kufła jasne piwo. – Niby odludek i mruk, ale często w wieczór do nas przychodzi i dorabia sobie jako przewodnik. Najczęściej prowadzi gości do Grobowca Hrabiny. Nikt nie zna historii Bielm, tak jak on. Ma sporo pamiątek i zdjęć sprzed lat, nawet z niemieckiej okupacji.

– No proszę, a to cicha woda – powiedział Kosma, biorąc od niej piwo.

– Obiad? – zapytała.

– Jasne. O ile cykliści wszystkiego nie wyzarli.

– Daj spokój, więcej piją, niż jedzą. Dziś pieczona karkówka z sosem grzybowym. Siadaj na tarasie, już ci przynoszę.

Kosma kiwnął głową i zajął miejsce jak najbardziej po lewej, w maksymalnym oddaleniu od Niny, która w towarzystwie swoich techników wciąż dochodziła do siebie. Pewnie ustalali plan wieczornej transmisji. Do jego uszu docierało pełne pasji przemówienie Edgara.

– Tutaj kiedyś stał tartak wodny, a po drugiej stronie Sanu kościół – tłumaczył, wskazując ręką kolejne punkty w gęstym lesie. – Dookoła dworu, gdzie dziś mieści się schronisko, stało sześć budynków drewnianych, niestety, żaden nie przetrwał akcji „Wisła”. Wszystko rozebrano, kościół wysadzono w powietrze. Część materiałów została zużyta do postawienia budynku straży

granicznej i tego mostu, po którym możecie przejść na drugą stronę.

Pojawiła się Luba i postawiła przed nim talerz z parującym obiadem. Gruby plaster pieczonej karkówki, ciemna kasza ze złocistym boczkiem i cebulą, do tego miseczka z sosem grzybowym i druga z jakąś zieloną pastą.

– A to co? – zapytał Kosma.

– Sos bieszczadzki pomysłu Edgara – powiedziała. – Chrzan, którego tu rośnie na dziko całkiem sporo, mięta i śmietana. Cholernie ostre, ale i odświeżające. Spróbuj.

Tak też uczynił i musiał przyznać rację gosposi Zosi, że Luba ma rękę do gotowania, a receptury Edgara były proste, lecz oszałamiające. Zielony sos na początku palił w język, a po chwili rozpływał się mocną miętą, niebywałe połączenie, jakże proste, a zarazem wykwintne i niecodzienne. Tak go pochłonał obiad, że ledwo zauważył wycieczkę odjeżdżającą w stronę Grobowca Hrabiny, prowadził ją Edgar na rowerze górskim. Kosma odstawił talerz i rozłożył się na leżaku. Popadł w błogostan, jaki często następował u niego ostatnimi czasy po sutym posiłku. Podobno to przychodziło z wiekiem.

Zadzwoił telefon, który Kosma z niechęcią wygrzebał z kieszeni. Obcy numer dodatkowo nie nastrojał go pozytywnie, ale odebrał.

– Komisarz Sepiołło – usłyszał w słuchawce.

– Rozumiem, że prezent dotarł? – zapytał Kosma, mając na końcu języka „komisarzu Dupiołło”.

– Owszem. Muszę mieć źródło tego nagrania – głos policjanta jasno wskazywał, że jeśli nie uzyska tej informacji, najpewniej zabije Kosmę oraz całą jego rodzinę.

– Wykonał je Marcin Zięba, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, który badał sprawy objawień w Bielmach. Przekazał mi je, zostawiając jako przesyłkę na recepcji schroniska u Hrabiny.

– Rozmawiał pan z nim?

– Tak, ale zanim przekazał mi to nagranie – odpowiedział Kosma.

– Jest jeszcze w Bielmach?

– Niestety nie. Wymeldował się ze schroniska wczoraj rano.

– Ach tak.

– Odwiozłem go do Ustrzyk na autobus – dodał szybko Kosma, przypominając sobie, że przecież wczoraj pod drzewem widzieli go w towarzystwie chłopaka dwaj policjanci. – Wspominał, że wybiera się na urlop do matki na Sycylię.

– I po prostu zostawił panu nagranie?

– Też mnie to zaskoczyło. Chyba bał się je przekazać osobiście, a wiedział, że jestem policjantem. Dziś rano dostałem pendrive, a gdy tylko zapoznałem się z zawartością, natychmiast przekazałem go panu.

– Dziękuję – powiedział Sepiołło, chociaż ton głosu raczej informował, że za nic tak naprawdę nie dziękuje i cała sprawa mocno mu śmierdzi.

– Nie ma za co. Spełniam swój obywatelski obowiązek.

– Chciałbym się z panem spotkać.

– Prywatnie? Zapraszam na piwo do schroniska.

– Nie dysponuję czasem, aby móc się tam wybrać. Proszę przyjechać do komendy.

– Niestety, piłem piwo. Po drugie, spotkania towarzyskie w budynkach administracji publicznej są surowo wzbronione, a na koniec muszę dodać, że jeśli chce pan porozmawiać służbowo, to informuję, że nie dorwałem żadnego psa srającego na trawnik.

– Proszę się nie boczyć o tanto – powiedział Sepiołło. – Pan też by nie chciał, żeby panu obcy kręcił się pod nosem.

– Racja. Jeśli przyjedzie pan kiedyś do stolicy i będzie potrzebował pomocy, proszę natychmiast do mnie dzwonić. Udowodnię, że warszawiacy mimo swojej nie najlepszej renomy

potrafią być gościnni i uczynni. Mamy mnóstwo trawników, wiele zasranych, jest pole do popisu.

– Wiem, rozumiem, jeszcze raz przepraszam. Jakby chciał pan włączyć się w sprawę, to...

– Mam co robić. A teraz proszę wybaczyć, ale zrobiłem dla pana wszystko, co było w mojej mocy. Życzę powodzenia.

Kosma wcisnął czerwoną słuchawkę i odłożył telefon na stolik, po czym z uśmiechem złapał kufel z wciąż chłodnym piwem. Smartfon zadzwonił ponownie, komisarz Sepiołło miał widocznie jeszcze coś do dodania, ale Kosma nie dał mu tej satysfakcji. Począł, aż telefon przestanie dzwonić, po czym z przyjemnością wpisał numer policjanta do książki adresowej, tytułując go „Dupiołło”.

5.

Gdy Kosma rzucił okiem na zegarek, zorientował się, że drzemka przeciągnęła mu się do ponad godziny. Obudził go Edgar, który po oprowadzenia wycieczki po okolicy zawitał do schroniska, zamówił dwa piwa i jednym z nich stukał Kosmę w kolano.

– Dobrze się tutaj wypoczywa, co nie? – zapytał, wręczając mu kufel z zimnym piwem.

– Za dobrze.

– Przeprowadź się. Miejsca od cholery.

– Wolę wpadać w góry na relaks, nie chciałbym ich zniechęcić podczas pierwszej zimy.

– Może i racja.

Stuknęli się delikatnie kufkami i wypili po dużym łyku pilznera.

– Nie wiedziałem, że oprowadzasz wycieczki – zagaił Kosma.

– Wspomniałeś zimy – odpowiedział Edgar. – Te są tutaj cholernie długie i ciemne. Czasem nawet na nartach ciężko do schroniska dotrzeć, a to jedyna rozrywka. Żeby zabić czas, zająłem się lokalną historią, zawsze to lubiłem, docieranie po pamiątkach z dawnych czasów do ludzi i miejsc. Mam na przykład zdjęcie tego

dworu z całą rodziną właścicieli, wykonane przez Włodzimierza Demetrykiewicza, przyjaciela rodziny. Stroińscy byli raczej biedną szlachtą, a zaraz po wybuchu wojny stracili majątek, w schronisku stacjonowało Gestapo. To cud, że w trakcie akcji „Wisła” nie wysadzono tego budynku. Dziś to Bielma, ale przed wojną były to Sianki, osobna wieś. Jeśli przyjrzałeś się zdjęciom wiszącym w schronisku, tym w sali jadalnej, to właśnie pochodzą z moich zbiorów.

– Też lubię historię.

– Zajrzyj do mnie, nawet dziś. W jednym pokoju mam malutkie muzeum, pokażę ci moje materiały.

– Dziś nie mogę, mamy wielki dzień, wywiad proroka Samuela w telewizji.

– Obiło mi się o uszy – powiedział z westchnieniem Edgar. – Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

– Kim on jest właściwie? – zapytał Kosma. – Skoro znasz tak dobrze historię regionu i mieszkańców, to powinieneś wiedzieć.

– Nikim szczególnym – wzruszył ramionami mężczyzna. – Zenek i już. Obecnie wdowiec, dzieci nie ma. Wiódł szare życie, może i szczęśliwe, kto go tam wie.

– To co się stało, że nagle został prorokiem, a lada chwila będzie celebrytą?

– I to jest bardzo dobre pytanie.

– A co wiesz o Strzydze?

– A, ten gagatek? – zapytał, śmiejąc się, Edgar. – Mówią na niego Strzyga, choć winno być Strzygoń, bo to właściwa forma męska. Ukrywa się tu po lasach, zostało tam kilka domków drwali z dawnych czasów. Wygód nie ma, ale przeżyć idzie. Był nawet u mnie wczoraj po prowiant.

– Serio?

– Tak, czasem zajrzy. To zły człowiek, nawet jak coś od ciebie kupuje, to lepiej nie odmawiać, ma w sobie coś takiego... Trudno

określić. Po prostu nie chcesz przebywać w jego towarzystwie zbyt długo. Taki wampir energetyczny. No Strzygoń.

– I wiesz, gdzie się ukrywa?

– Tak mniej więcej.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

– Nie ma mowy – odparł stanowczym głosem Edgar. – Bardzo cię polubiłem, ale zapomnij o takiej przysłudze. To groźny człowiek, nawet dla mnie. Nie chcę, żeby mi się nagle chałupa zapaliła. Sam też go nie szukaj, bo zgubisz się w lesie i nieszczęście gotowe.

Rozmowę przerwało im pojawienie się Niny, ubranej w elegancki kostium, uczesanej i umalowanej. Szło za nią dwóch techników, machnęli przyjacielsko w stronę Kosmy, dziennikarka nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem. Poszli w stronę samochodu zostawionego na zacienionej przecince leśnej.

– Dobrze się to nie skończy – skomentował Edgar. – Możemy pojechać do mnie, obejrzymy sobie całość w telewizji, coś zjemy, zwiedzisz muzeum.

– Chyba wolałbym to zobaczyć na żywo. Martwię się o dziennikarkę, wczoraj ktoś ją napadł pod Grobowcem Hrabiny.

– Słyszałem – odparł mężczyzna. – Komuś cholernie zależy, aby nie doszło do tego wywiadu, co?

– Na to wygląda. Strzyga?

– Jestem pewien.

Przerwali rozmowę, bo koło wozu transmisyjnego zaczęło się poruszenie. Nina stała tyłem do samochodu, chowając twarz w dłoniach, a dwóch mężczyzn biegało naokoło, co chwilę padając na ziemię i zaglądając pod auto.

– Oho – skwitował całe zajście Edgar. – Chyba nie odpalił.

– Złośliwość rzeczy martwych – skomentował Kosma.

Nina spojrzała w ich stronę i zamachała rękami, jakby wzywała pomocy, będąc w szalupie na pełnym morzu. Kosma drgnął, ale

Edgar rzucił cicho.

– Siedź!

– Dlaczego?

– Ma interes, to przyjdzie. Zresztą, fajnie kręci tyłkiem, daj staremu popatrzeć.

Stało się tak, jak przewidział Edgar. Nina po kilkunastu sekundach machania ruszyła gniewnym krokiem w ich kierunku, ręce miała zaciśnięte w pięści, a jej marsz przypominał Kosmie atak husarii z filmu *Ogniem i mieczem*. Wbiegła niemal na taras, co w szpilkach było nie lada wyczynem, po czym stanęła przed nimi. Nawet jej cień kipiał złością.

– Nie łaska dupę ruszyć?! – To pytanie, a właściwie zarzut, było skierowane do Kosmy.

– No przecież pani ruszyła – odparł uprzejmym głosem Edgar. – Co się stało?

– Ktoś nam przebił wszystkie opony – poinformowała. – Przeciął tak, że nie do zaklejenia.

– Oho – skomentował Edgar.

Nina zdawała się go nie dostrzegać, cały czas świdrowała wzrokiem Kosmę i mówiła tylko do niego. Właściwie krzyczała.

– Widziałeś może kogoś kręcącego się przy samochodzie? – zapytała.

– Nie.

– Noż kurwa w dupę jebana mać! – zaklęła. – Musimy jechać na nagranie, trzeba wszystko przygotować, porozkładać sprzęt, ustawić światło.

Klęła tak siarczyście, że kilku turystów siedzących na tarasie odwróciło z zaciekawieniem głowy w ich stronę.

– Szukasz podwózki? – zapytał Kosma.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała. – Musimy mieć samochód, inaczej nie przekazemy sygnału. Może i byśmy nagrali wszystko telefonem, ale tam internet jest taki do dupy, że szkoda gadać.

Ktoś to zrobił celowo, ten sam chuj, który mnie napadł wczoraj. To nie przypadek.

– Nie ma przypadków, są tylko znaki – stwierdził spokojnie Edgar i pociągnął łyk piwa.

– A może to ty? – Wskazała go palcem.

– Oho – odpowiedział, odstawiając kufel.

– Co tak pohukujesz jak jakaś pieprzona sowa, co? – zaczęła podnosić głos, ale Edgar wbrew obawom Kosmy nie poszedł na konfrontację, tylko wyłożył się wygodniej w leżaku i przymknął oczy.

– Nina, to jest jakiś dramat – do dyskusji dołączył się kierowca samochodu, wymachując smartfonem trzymanym w dłoni. – Nikt nie chce przyjechać, żadna pomoc drogowa w promieniu stu kilometrów.

– Co? – Dziennikarka aż tupnęła. – Przecież mamy to ubezpieczenie, co gwarantuje holowanie i nagłą pomoc.

– Mamy, ale jak podaję lokalizację, to wszyscy mówią, że najbliższy transport jutro rano, bo wszystkie wozy w trasie.

– Kurwa! – krzyknęła, łapiąc się za głowę. – Kurwa, kurwa, kurwa!

– Jeden zapas mamy, ale trzech kół nie wyczaruję – stwierdził kierowca. – Ale, Nina, możemy pożyczyć jakiś samochód, zapakować niezbędny sprzęt, pojechać tam i nagrać całość.

– Nie puścimy na żywo – odparła.

– Nagrajmy materiał, a potem go prześlemy do centrali. Może uda się namówić tego proroka na wcześniejszy wywiad, potem szybko skoczmy do najbliższego miasta i prześlemy do centrali. Może puszczą jeszcze dziś.

– Zajebią mnie – stwierdziła płaczącym głosem.

– E tam, opakują to w marketingu, jak trzeba, że problemy, napaść na ekipę telewizyjną, wyślemy im fotki pociętych opon. Spokojnie, jeszcze to podkreśli oglądalność. Wyobraź to sobie, nadchodzi godzina emisji, a prowadząca łamiącym się głosem,

niewiele przerażonym, opowiada o napaści na nas, zdewastowanym samochodzie, pokazuje zdjęcia. Możemy coś tam podkreślić, może napiszemy sprayem na boku jakieś hasło „wypierdalać” czy coś.

– Dobrze – rzuciła podekscytowanym głosem. – Zajebiste. Rafał, masz łeb!

– Tylko musimy zorganizować auto zastępcze, trzeba zapakować kamery, oświetlenie i sprzęt do dźwięku.

– Kosma? – zapytała Nina, patrząc na niego z nadzieją, jej policzki płonęły, nie przykrywał tego nawet makijaż.

– Za mała ta beemka – stwierdził kierowca. – Nie pomieścimy pudeł. W schronisku mają pick-upa.

– Okej! – zawołała Nina i ruszyła w stronę budynku.

Wszyscy trzej odprowadzili ją wzrokiem, kierowca westchnął ciężko i bez słowa ruszył w kierunku feralnego samochodu.

– Strzyga – podsumował Edgar, gdy mężczyzna znalazł się na tyle daleko, że nie mógł ich słyszeć.

– Jesteś pewien?

– Tak. Swego czasu prowadził bardzo rozliczne interesy w okolicy, ma mocne znajomości. Wystarczy, że przedzwonił do tych od pomocy drogowej i poprosił, żeby nie przyjmowali zlecenia, nikt mu nie odmówi.

– Spryciarz. Ale to znaczy, że kręci się cały czas po okolicy.

– To jego teren. Zna go jak własną kieszeń. Tu zostało wiele kryjówek, opuszczonych i zapomnianych piwnic. Nawet mówiło się, że spod dworu prowadzi specjalny tunel ewakuacyjny, ale to bzdury. Dwór jest bardzo nisko, a tu przecież płynie San, wykopanie takiego tunelu to byłaby trudna i droga rzecz, a Stroińscy magnatami nie byli.

Misja Niny najwidoczniej zakończyła się sukcesem, bo wybiegła ze schroniska razem z właścicielem i skierowali się do terenowego pick-upa. Łukasz Ramka podjechał pod wóz transmisyjny i pomógł przenieść kilka dużych pudeł z sprzętem, które faktycznie nie miały prawa zmieścić się do niedużego bmw

Kosmy. Całość zajęła jakiś kwadrans, po czym ekipa wpakowała się do samochodu i ruszyła w stronę centrum wsi.

- Jedziesz za nimi? – zapytał Edgar.
- Tak, ale rowerem. Za bardzo mi smakuje dziś piwo.
- To zajrzyj do mnie jutro, nawet rano, jak chcesz.
- Postaram się.

Zamilkli i oddali się leżakowaniu. Kosma stwierdził, że chyba przez całe życie nie miał takiego okresu, w którym po prostu odpoczywał, bezstresowo, kompletnie ignorując świat. Nie było to łatwe, smartfony powodowały w człowieku przymus działania przez poczucie winy, że przecież cała wiedza ludzkości jest w twojej dłoni, chociaż i tak jak odpalisz tę diabelską maszynę, to zajmiesz się głupimi memami. Zamknął oczy.

6.

W Bielmach było po staremu, a raczej po nowemu, bo pewnie miesiąc temu o tej porze jechałby przez niemal pustą wieś, spokojnie szykującą się do nocnego odpoczynku, nie mijałby porozstawianych po poboczach samochodów czy grupek starszych ludzi, ciągnących w stronę Świętej Lipy. Wtedy była to jeszcze zwykła lipa, ot, drzewo jak drzewo, ładne i z historią, ale nie naznaczone mistycyzmem, a takich po wydarzeniach we Wnykach Kosma nie lubił.

Skierował się w prawo, w stronę domu Zenka i ku swojemu zdziwieniu na jego podwórku nie spotkał nikogo oprócz Ryśka, który nie odstępował swojego szwagra na krok. Brak pielgrzymów mogła tłumaczyć tablica zawieszona na bramie gospodarstwa. Niezbyt równe czerwone litery namalowane na pokrytej białą farbą zbitce desek informowały przybywających, aby nie zakłócili spokoju Samuela, tylko udali się pod lipę, gdzie wieczorem nastąpi spotkanie z pątnikami.

- Widzę, że działa. – Kosma wskazał tablicę.
- Ludzie uszanowali – odpowiedział ze skinieniem Rysiek.
- Gotowy do wywiadu?

– Ano gotowy – potwierdził mężczyzna, jednak w jego głosie było wyraźnie czuć zniechęcenie, a nawet obawę.

– Pan też uważa, że to nie najlepszy pomysł.

– Chyba jak wszyscy. Interweniował nawet proboszcz, co dziwne, bo od samego początku nas ignorował, ale Zenek, znaczy Samuel, jest nieugięty. Będzie się spowiadał publicznie ze swoich grzechów.

W drzwiach stanął wspomniany prorok, uśmiechnął się i ruszył w ich stronę. Kosma zauważył, że jakby zmarniał, miał podkrążone oczy, jednodniowy zarost nadawał jego twarzy wyraz menela budzącego się właśnie z pijackiego snu. Wymięta biała koszula, nierówno dopięta, spodnie wytarte na kolanach i brudne buty raczej przystawały do oporzędzania obejścia, a nie wywiadu w telewizji z największą oglądalnością.

– To znowu pan... – rzucił cicho, z westchnieniem.

– Powracam jak wyrzut sumienia – odpowiedział Kosma. – Muszę mieć oko na całość.

– Dość już przemocy.

– Idziemy? – zapytał Rysiek.

– Tak, już czas – odparł Zenek, spoglądając na słońce, które powoli chyliło się ku zachodowi.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – zapytał Kosma. – Ostatnio działo się sporo, aby nie dopuścić do tej transmisji. Ktoś wczorajszej nocy napadł na dziennikarkę, dziś pocięto ekipie telewizyjnej opony w samochodzie.

– Napadł? – zdziwił się Zenek. – Nic nie wiem, byli tu przed chwilą, opowiadali o samochodzie, ale nic więcej.

– To może się źle skończyć.

– Wszystko w Bogu – odparł Zenek i ruszył w stronę bramy.

Zadzwoił telefon, ale nie Kosmy, to Rysiek wyjął z kieszeni komórkę i zerknął na wyświetlacz. Jego twarz drgnęła, jakby nie chciał mieć z dzwoniącym do czynienia. Spojrzał na swojego szwagra, wyciągnął telefon i skinął głową. Zenek bez słowa

odebrał od niego aparat, rzucając uniwersalne „halo” do słuchawki, po czym wszedł do domu.

– Będzie pan pod lipą? – zapytał Rysiek.

– Tak.

– Zadzwoń wcześniej na policję i poproszę ich o obecność. Powiedzieli, że przyślą jakiś samochód.

– Pan też się boi o niego?

– Tak. Z całej rodziny został mi tylko on. Zawsze powtarzałem, że żona jak żona, ale szwagier to mi się udał, jest dla mnie jak brat.

Kosma skinął głową, po czym złapał za swój rower i ruszył w stronę Świętej Lipy, gdzie prorok Samuel miał publicznie pojednać się z Bogiem.

7.

Tłum już oczekiwał. Ludzie stali, siedzieli, rozmawiali, modlili się, a było ich więcej, niż Kosma widział dotychczas pod drzewem. Stacja telewizyjna Niny nie ogłaszała tego, co ma się wydarzyć, aby żadna konkurencyjna ekipa nie pojawiła się w Bielmach, to miał być wywiad ekskluzywny, ale ludzie i tak się zwiedzieli. Policja przysłała raptem jeden radiowóz, a jego obsada była całkiem nowa, Kosma nie znał żadnego z mundurowych siedzących w samochodzie. Nigdzie nie widać było proboszcza.

Pod samym drzewem rozstawiła się ekipa telewizyjna, jeden z techników chodził i poprawiał światła, drugi montował Ninie mikrofon, ta patrząc w rozkładane lustro, dokonywała ostatecznych korekt makijażu. Kosma szedł do nich spokojnie przez tłum pielgrzymów czy, jak to ujęte zostało na tablicy, pątników. Ludzie nie siedzieli jeden na drugim, każdy miał odpowiednio dużo miejsca, ale patrzyli na przechodzącego między nimi mężczyznę niezbyt przyjaźnie, oto przyjechał sobie pod koniec dnia i pcha się na przód. Kilku jednak musiało go rozpoznać z poprzedniej akcji pod drzewem, bo uśmiechnęli się i skinęli powitalnie głowami.

– Gotowa na swój wielki dzień? – zapytał, gdy już dotarł do dziennikarki.

– Jasne – odpowiedziała, zamykając lusterko. – Przybyłeś mnie pilnować?

– Podobno jak się uratuje komuś życie, to już się za niego odpowiada na zawsze.

– Aprobuję.

– Ale jak się uratuje po raz drugi, to się kasuje – dodał z uśmiechem.

– Ech, Kosma. Nie wiesz, co tracisz.

– Trochę wiem.

– Chcesz mnie zdenerwować czy rozluźnić? – zapytała Nina, mrużąc oczy. – Spadaj, zaraz zaczynamy, musimy manipulować światłem, bo ten cały prorok nie pozwolił nałożyć sobie makijażu. Stań w pierwszym rzędzie i patrz, jak pracują mistrzowie.

– Kop w dupę na szczęście? – zapytał Kosma.

Podeszła pół kroku i pochyliła się do niego, szepcząc mu do ucha.

– Możesz z moją dupą robić wiele rzeczy, ale na pewno nie kopać.

Odwróciła się i podeszła do drzewa, aby operator mógł poćwiczyć różne kadry. Kamerę umieścił na flycamie, urządzeniu pozwalającym mu chodzić dookoła i filmować wszystko dynamicznie.

Z tyłu zebranych dało się słyszeć narastający szum, co było niechybnym znakiem, że przedstawienie się zaczyna. Ludzie na widok nadchodzącego proroka wstawali, reagując bardzo spontanicznie, pochylali głowy, wznosili różańce do góry, robili znak krzyża, próbowali dotknąć jego szaty. Tak, właśnie szaty, bo występujący dotychczas w płaszczu, koszuli lub marynarce, Zenek przywdział strój godny proroka. Była to czarna, spływająca do samej ziemi opończa bez rękawów narzucana przez głowę, z kapturem kryjącym pochyloną i zamyśloną twarz mistyka. Strój nie miał żadnych obszyć czy ozdóbników z wyjątkiem wyhaftowanego pod szyją srebrną nicią małego krzyżyka. Skromna szata, ale niesamowicie pasująca do sytuacji, miejsca

i nastroju, jaki się utworzył. Kosma wiedział w tym momencie jedno: ludzie zostali kupieni, Zenek sprzedał im swoją legendę, a nie, nie Zenek, teraz to był prorok Samuel pełną gębą.

Metamorfoza zrobiła na wszystkich wrażenie, nawet na Ninie. Uśmiechnęła się szeroko, ludzie nie dostaną jakiegoś chłopka-roztropka z bieszczadzkiej wsi, lecz prawdziwego proroka, który na pierwszy rzut oka mógł obcować z Jezusem Chrystusem. Ależ to będzie miało oglądalność!

Prorok zatrzymał się pod drzewem, odwrócił się i przesunął kaptur na tył głowy. Wychyłała spod niego ta sama twarz, którą Kosma widział nie dalej jak pół godziny temu, zmęczona i nieogolona, z przymkniętymi oczami. Światło zachodzącego słońca oblało Samuela ciepłą czerwienią, zatańczyło delikatnie na srebrnej nici haftu, nadało całości naprawdę niezemiński wymiar. Kosma znał ten zabieg, wszystkie kościoły budowano skierowane na wschód, a za ołtarzem umieszczano najczęściej zdobne witraże, aby podczas porannej mszy stojące za nim słońce przytłoczyło wiernych swoim rozmachem i malowniczością.

Głosy i szemranie wśród zgromadzonych cichło, jakby podmuch wiatru gasił kolejne płomyki na stole zastawionym świecami, aż w końcu nastąpiła cisza. Nina poruszyła się nieswojo, zacisnęła dłoń na mikrofonie, do którego miał przemawiać prorok, bojąc się najwidoczniej przerwać ten stan, bo to przecież nie jej głosu oczekiwali zebrani, przyszli tu nie dla słynnej dziennikarki, ale dla tego starego człowieczka, który oszołomił ich dziś swoją przemianą.

Samuel podniósł w końcu głowę, powoli, jakby sprawiało mu to ból, spojrzął na dziennikarkę, a następnie na zebranych. Przymknął oczy i po kilku sekundach ponownie je otworzył.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – wypowiedział ciepłym, mocnym głosem.

– Na wieki wieków – odpowiedzieli zebrani.

– Pan z wami.

– I z duchem twoim – zaszemrał tłum.

Znowu zapadła cisza i Nina już miała coś powiedzieć, nabierała powietrza, gdy Samuel uprzedził ją i odezwał się do zebranych.

– Nie każdy słyszy Boga, chociaż on mówi do wszystkich – powiedział i spojrzał po pielgrzymach od lewej do prawej. – Mówi, bo nas kocha i chce nam przekazać swą miłość. Ale wielu nie słucha, tak jak w domu nie słyszymy swojej żony, męża, dzieci, matki czy ojca, chociaż mówią nam ważne rzeczy. Jak mamy usłyszeć Jezusa, gdy on stoi na górze i woła do nas, ale my siedzimy w galerii handlowej za grubymi murami, nasze oczy i uszy zarezerwowane są dla telefonów i internetu, jego słowa zagłuszają kłótnie z małżonkiem czy sąsiadem, w jaki sposób Chrystus ma przekrzyczeć polityków wzajemnie oskarżających się o złodziejstwo? Rozwiązaniem jest modlitwa.

Po tłumie przebiegł szmer, który zdawał się być przyznaniem racji prorokowi.

– Jak jednak mamy się modlić, gdy dłonie mamy kurczowo zaciśnięte na plikach banknotów, nijak w nich trzymać różaniec, złożyć je do modlitwy czy wykonać znak krzyża. Jak możemy wyznać grzechy i prosić o przebaczenie, gdy nasze usta pełne są kłamstw, wypowiedanych naprędce pragnień, oskarżeń i życzeń lepszego życia, gdy tak wiele słów rzucamy na wiatr, to na zwykłe „Ojcze nasz” już miejsca nie ma. Jak kapłani mogą zobaczyć nasze grzechy i je odpuścić, jeśli nie widzą swoich występków?

Zaległa cisza, ludzie kiwali głowami ze zrozumieniem, niemal wszyscy czynili naprędce rachunek sumienia odnajdując w sobie wszystkie przewiny, które wymienił prorok.

– Jednak wy usłyszeliście Jezusa, przez szelest banknotów, brzdęk monet, wykrzykiwane kłamstwa. Usłyszeliście go, bo tutaj przyszliście.

Pomruk entuzjazmu poniósł się po zebranych.

– I Jezus do was mówi, na razie moimi ustami, ale lada dzień sami go usłyszycie i ja już nie będę wam do niczego potrzebny. Sami siądziecie z nim na ławce przed domem, opowiecie mu o swoich problemach, o grzechach mówić nie musicie, bo je

doskonale zna, a skoro chce z wami rozmawiać, to oznacza, że wam je odpuścił, jak i wy odpuszczacie swoim winowajcom.

Jeśli ktoś do tego momentu siedział, to teraz wstawał, wyciągał szyję, aby przyjrzeć się prorokowi Samuelowi, nie uronić ani sekundy z tej chwili bez wątpienia unikalnej. Kilka osób na początku nagrywało smartfonami całe wydarzenie, ale teraz odłożyły telefony, wszyscy słuchali.

– Miałem wam wyznać swoje grzechy i prosić was, abyście głośno uczynili to samo, żebyśmy mogli wszystko sobie wybaczyć, zacząć od nowa, by z czystym sercem słuchać Jezusa. Jednak przyszedł do mnie Pan mój i powiedział, że nie trzeba mu niczego wyznawać, wszystko wie. Powiedział: grzesznymi was stworzyłem i grzesznymi pozostaniecie, lecz jeśli ktoś szczerze za swe czyny żałuje, będzie miał odpuszczone. Jeśli zadośćuczyni, będzie miał wynagrodzone.

W tym momencie wyraz twarzy Niny zmienił się z tego, który widzowie zazwyczaj oglądali na szklanym ekranie, profesjonalny i zaciekawiony, w pełen niedowierzania połączonego ze złością. Kosma wiedział, jakie myśli buzują w jej głowie: co z moim materiałem stulecia? Ale nie zeszła z posterunku, nie śmiała przerywać przemówienia, trzymała mikrofon w wyciągniętej ręce.

– I powiedział Pan: Samuelu, jeśli by ktoś ci nie wierzył, natchnę cię łaską uświęcającą Ducha Świętego, abyś dał dowód, by wszyscy, którzy usłyszeli mój głos, wiedzieli, że naprawdę ich słyszę. Zatem módlmy się.

Prorok złożył ręce i zaintonował „Ojcze nasz”, a wszyscy zebrani postąpili za nim. Kosma przyłapał się na tym, że mimowolnie sam poruszał ustami za prorokiem. Gdy modlitwa ucichła, Samuel ponownie przymknął oczy i trwał tak w bezruchu niemal minutę.

– Usłyszcie modlitwę pana – powiedział w końcu głośniejszym niż dotychczas. – Niech jego słowa dotrą do was, niech łaska spłynie na wasze udręczone dusze i demony sprowadzające na was chorobę.

I ponownie zaległa cisza, którą przerwał po dwóch długich minutach nie prorok, nawet nie Nina, która już przestępowała ze zniecierpliwienia z nogi na nogę, ale jakiś człowiek w tłumie.

– Mówcie! – krzyknął i ruszył w stronę drzewa. – Ludzie, błagam, niech ktoś coś powie.

Nikt się jednak nie odzywał, wszyscy byli zdziwieni sytuacją, spoglądali to na siebie, to na dziwnie zachowującego się mężczyznę. W końcu to Samuel się odezwał.

– Synu? – zawołał w jego stronę, a obcy zatrzymał się, spojrzał na proroka i zaczął płakać.

– Ja słyszę! – krzyknął, łkając. – Jezus Maria, słyszę! Niech ktoś coś powie, bo ja chcę słyszeć. Po tylu latach, Jezus Maria, niech ktoś coś powie.

Teraz dopiero w tłumie zawrzało. Ktoś też zaczął płakać, inny zawołał głośno „Amen”, ale już po chwili nie dało się wyłowić pojedynczych słów, bo ludzie modlili się, przekrzykiwali, robili miejsce uzdrowionemu, który padł z rozmachem na kolana i ruszył w stronę Samuela, cały czas płacząc, zatykając i odkrywając sobie uszy, i pewnie nadal krzyczał, aby ktoś coś powiedział, na litość boską, chociaż słowo, jednak ginęło to we wrzawie.

W końcu uzdrowiony mężczyzna dotarł do stóp Samuela, a gdy kilka sekund wcześniej przechodził obok Kosmy, ten dostrzegł wyraźnie gęste łzy płynące z jego oczu. Prorok złożył dłonie na głowie cudownie wyleczonego, po czym pomógł mu wstać i coś szepnął do ucha, a następnie się uśmiechnął. Mężczyzna przetarł rękawem oczy, odwrócił się do zgromadzonych, spontanicznie im pomachał, przesłał pocałunek i ruszył z powrotem na swoje miejsce.

– Módlmy się! – zawołał ponad tłumem prorok Samuel.

Ludzie ściskali mężczyznę sunącego wśród nich, wciąż ocierającego łzy i śmiejącego się radośnie, niedowierzającego własnemu szczęściu. Kosma spojrzał na Ninę, która kalkulowała, czy ten materiał jest lepszy, czy gorszy niż obiecany jej wczoraj przez Zenka.

Tymczasem pielgrzymi uspokajali się, cichli, wrzawa zamieniała się w szmer rozmów, po czym pod Świętą Lipą zapadła cisza.

– Módlmy się... – powtórzył głośnym szeptem Samuel, ale jego głos był doskonale słyszalny, jakby stał obok każdego z uczestników tego misterium i mówił wprost do jego ucha. Kosmie aż przeszły ciarki po plecach.

Wszyscy zebrani mieli opuszczone głowy, wielu poruszało ustami, część trzymała się za ręce. Co się działo w ich głowach? Jak wielką mocą napełniło ich uzdrowienie tego mężczyzny? Jakie problemy i choroby powierzali teraz Samuelowi.

Ciszę przerwał tym razem nie głos, lecz stukot upadającej kuli, którą podpierał się starszy mężczyzna. Wiele osób zwróciło głowy w tamtym kierunku, operator kamery także wykonał obrót, wcześniej filmował rozmodlonego proroka.

– Mój kręgosłup – powiedział mężczyzna. – Jakby mi ktoś kamień z pleców zdjął. Jezusie słodki, moje plecy!

Po zebranych poniósł się radosny szmer, ludzie spoglądali na siebie, potakiwali głowami, niektórzy kręcili nimi z niedowierzaniem, zakrywali usta dłonią, całowali krzyżyki przy różańcach.

– Ludzie, mój kręgosłup! – krzyczał mężczyzna, obracając się jak pies, który próbuje złapać własny ogon. – Ja mam papiery ze sobą, historię choroby, mogę wam pokazać, bo byłem w południe u lekarza w Ustrzykach. Ludzie, on mi powiedział, że mój kręgosłup to ruina, że nie trzyma na boki, że wózek mnie czeka. Mam papiery, mogę pokazać. Mam prześwietlenia. Ludzie, patrzcie!

Złapał drżącymi rękami zmaltretowaną skórzaną teczkę, zaczął ją chaotycznie rozpinać, ale ta wypadła mu na ziemię, a sterta różnych dokumentów wysypała się białą rzeką pod nogi stojących najbliżej.

– Synu! – zawołał prorok. – Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli.

Samuel ruszył w jego kierunku, ludzie rozstępowali się, niektórzy klękali, próbowali ucałować skraj jego czarnej szaty, ktoś złapał go za dłoń i pocałował. Uzdrawiony mężczyzna zgarniał chaotycznie rozsypane papiery do teczki, ale gdy zobaczył, kto do niego podszedł, rzucił ją i wstał.

– Mogę się schylać – poinformował wszystkich ze zdziwieniem. – Jezusie słodki, mogę się schylać.

I jakby na dowód tych słów, tak aby pokazać wszystkim niedowiarkom, że nie kłamie, przyklęknął na jedno kolano i złapał za nogi proroka. Ten spokojnie nałożył na jego głowę dłonie i zwrócił się do zebranych.

– Chwalmy Pana.

Ludzie znowu reagowali spontanicznie, padali sobie w objęcia, przytulali się, niektórzy bili brawo, ktoś krzyczał „alleluja”. Kosma spojrział na Ninę, ta pochwyciła jego wzrok, ale w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. Kiwnęła głową kamerzyście, aby ruszył za Samuelem, co ten natychmiast uczynił, ludzie rozstępowali się także i przed nim. Ktoś złapał obiektyw kamery w ręce, pocałował ją i krzyknął „cud!”. Tymczasem prorok pomógł wstać mężczyźnie, uczynił nad wszystkimi znak krzyża i ruszył w stronę swojego domu.

Kosma spojrział na Ninę i po jej minie już wiedział, że miała swój materiał.

7.

Kacper wysłuchał przez telefon relacji z misterium, jakie wydarzyło się w Bielmach pod Świętą Lipą, po czym westchnął i skomentował:

– Takich nazywamy w kościele charyzmatykami. Jest ich kilku w naszym kraju, jeżdżą po kościołach i salach przyparafialnych i głoszą swoje, hm, nauki. Zazwyczaj także uzdrawiają, nazywając to świadectwami. Dla zwykłego katolika ich przemówienia są objawieniem, ale dla teologów jawnym bluźnierstwem.

– Ale faktycznie leczą? – zdziwił się Kosma.

– Tak. Na ich spotkaniach ludziom poprawia się słuch, wzrok, znikają objawy neurologiczne, problemy z kolanami, biodrami, kręgosłupem. To się dzieje naprawdę.

– Ściemniasz.

– Nie, drogi Kosmyczku. Szkopuł w tym, że kilka dni lub tygodni po całym wydarzeniu objawy wracają, i to z dużym natężeniem. Jeśli nie wierzysz, to poszukaj w sieci chociażby sprawy dotyczącej Marcina Zielińskiego, który chwali się dziesiątkami uzdrowień podczas każdego ze spotkań, ale ludzie, którzy walczą z takimi oszustami, dotarli do tych ozdrowieńców i możesz na własne oczy zobaczyć, co się później dzieje.

– Mam inną teorię – odparł Kosma.

– Słucham uważnie.

– To są trzy kubki.

– Co?

– Widzisz, powinieneś ze swoją przeszłością doskonale znać ten mechanizm. Grający w trzy kubki zazwyczaj rozstawia się na jakimś targu, wystawia stoliczek, trzy kubeczki z piłeczką. Po kilku ruchach trzema odwróconymi do góry denkiem kubkami należy zgadnąć, pod którym rozgrywający ukrył piłeczkę.

– Znam tę grę.

– Ale mechanizm oszustwa pewnie już nie. Rozgrywający bardzo sprawnie posługuje się swoimi narzędziami, każdy, kto podejrze, od razu zdaje sobie sprawę, że nie ma szans na wygraną. Aż tu nagle z wianuszka ludzi otaczających stolik do gry zgłasza się jeden chętny i mówi, że zagra. Stawia pięćdziesiąt złotych, zaciera ręce i rzuca wyzwanie rozgrywającemu. Ten sprawnie miesza kubeczkami, piłeczka przemyka z jednego do drugiego, ledwo da się ją dostrzec, ale gdy dochodzi do finału, większość podejrzewa, że piłeczka jest pod prawym kubkiem. Podpowiadają nawet śmiałkowi, ten wskazuje na wybrany kubek i bingo! Wygrywa! Odbiera wygraną, w ciągu kilku sekund wzbogacił się o pięć dych. Rozochocony gra dalej, scenariusz się powtarza, tyle że teraz w puli jest stówka. Chwilę później szczęśliwy zwycięzca ściska w dłoni już dwie stówki. Za trzecim

razem wyjmując z kieszeni dodatkowe trzy stówki i pyta się rozgrywającego, czy taka stawka wchodzi w grę, ten niechętnie się zgadza. Pięć stów na stole, kilka sekund i facet już ma tysiąca, zgadł, gdzie jest piłeczka.

– Brawo on!

– Jasne, facet jest do przodu, zabiera swojego tysiąka i odchodzi, ale ludzie się wyrywają, bo każdy widział, gdzie piłka była. Rozgrywający jest zły, nie chce za bardzo dalej grać, ale niechętnie mówi, że gramy dalej, ale on musi się odegrać, więc kto stawia najwięcej, ten ma pierwszeństwo. Starszy facet wyciąga tysiąka i kładzie na stole. Piłka miga jak szalona, w końcu stop, gracz wskazuje kubek.

– I jest tysiąca w plecy?

– Ależ skąd, wygrywa. Mało tego; jak ma zgadnąć, to pyta, czy może podbić stawkę, a rozgrywający się zgadza, stawkę można podbijać w nieskończoność, mówi, że ma kupę kasy, ale żeby gość mocno się zastanowił, bo zwrotów nie będzie. Ten mówi, że dorzucą drugi tysiąc. Zgaduje, dostaje dwukrotność. Jedna minuta, dwa tysiące na czysto.

– Gdzie tu biznes?

– Słuchaj dalej. Kolejna rozgrywka, na stole cztery koła. Gość z kubkami wściekły jak osa, ręce mu drżą, piłka raz ucieka spod kubka, widać, że nie panuje nad sobą. W końcu zatrzymuje całość, widać, że piłka pod lewym kubkiem. Ludzie podpowiadają, bo wszyscy widzieli. I wtedy myk, mały ruch kubka, i piłka przelatuje na środek. Facet, który obstawiał, drze się, że oszustwo, wzywa ludzi na świadków. Zmienia obstawienie i przytrzymuje kubek, krzyczy, że nie można zmieniać, ale on widział. Inni też widzieli. Odgraża się, że zgrałby go do zera, ale nie ma więcej kasy. Nagle jakaś kobieta pyta, czy może się dołożyć. Rozgrywający protestuje, ale gracz znowu się piekli, że przecież można dokładać, sam to mówił chwilę wcześniej. Rusza lawina, wszyscy się dokładają, kobieta zapisuje, kto ile dołożył, na stole pojawia się kupa pieniędzy. W końcu komisyjnie podnoszą kubek.

– Ale nie ma pod nim piłki – dopowiedział Kacper.

– Otóż to. Zanim szok minie, stolik zostaje złożony, kasa zgarnięta, a jak ktoś protestuje, to obok wyrasta jeden czy dwóch zbirów, którzy pokazują nóż i tłumaczą, że raz się wygrywa, a raz przegrywa.

– Wszyscy byli podstawieni?

– Tak. Pierwszy gracz, drugi i kobieta, która pierwsza się dorzuciła.

– Twoje rozwiązanie jest dobre, Kosmyczku, ale najważniejszy jest motyw! Według mnie wszystko się zgadza, facet ma charyzmę, potrafi porwać tłumy. Możliwe, że ktoś mu pomaga, ale on zdaje sobie sprawę ze swojej mocy. A w twoim przypadku to musisz odpowiedzieć sobie na jedno zajebiście ważne pytanie: kto nagania, a kto przesuwa kubeczki.

– Przekląłeś! – zawołał nagle Kosma.

– Zajebiście to nie jest wulgarne słowo.

– No nie wiem.

– Bo jesteś policjantem.

Zaśmiali się i na chwilę zamilkli. Kosma wstał z trawy, ciesząc oczy jeszcze ostatnim promieniem zachodzącego słońca.

– Obawiam się, że to nie Samuel jest głównym rozprawiającym.

– Wiesz dobrze, że każdą sprawę, zarówno kryminalną, jak i taką prostą, życiową, rozwiązuje się najłatwiej, ustalając motyw.

– Wiem.

– Skup się na tym. Ja też to zresztą zrobię.

– Jadę do schroniska, może pedałowanie przez nocne Bieszczady nieco mnie oświeci.

– Z Bogiem – pożegnał się Kacper.

Kosma schował telefon do kieszeni i wsiadł na rower. Spojrzał jeszcze w kierunku Świętej Lipy, pod którą niedawno odbyło się całe misterium. Ludzie rozchodzili, tłum rzedniał, większość wsiadała do samochodów, nieliczni także na rowery lub skutery,

tylko kilka osób podążało w stronę domu proroka Samuela. Dzisiejsze przedstawienie dobiegło końca, na Bielma spadła noc, dając wszystkim czas na załapanie oddechu, aby mogli na spokojnie przemyśleć to, czego byli świadkami.

8.

Kosma zajechał pod schronisko z uczuciem ulgi, podróż przez zatopiony w absolutnej czerni las nie był szczególnie przyjemnym doświadczeniem. Gdy za zakrętem ujrzał oświetlony dwór, to jakby ktoś zrzucił mu kamień z serca i wtłoczył do płuc wiadro świeżego powietrza. Strachliwy policjant, też coś! Śmiejąc się sam z siebie, odstawił rower na miejsce i wbiegł do środka, gdzie w sali jadalnej siedzieli pracownicy schroniska.

– Nie było niczego w telewizji – powitała go Luba, wskazując wiszący w rogu telewizor. – Myślałam, że uda się im jednak jakoś to ogarnąć.

– Nic z tego – odpowiedział Kosma. – Po nagraniu materiału Łukasz zawiózł całą ekipę do najbliższego miasta, gdzie prześlą pliki do swojej stacji. Jak dobrze pójdzie, to za godzinę powinno wszystko zostać wyemitowane.

– Czyli co? – zapytała Paulina. – Było spokojnie?

– Jeśli pytasz, czy doszło do jakichś aktów agresji, to wręcz przeciwnie.

Kosma usiadł przy stole, a Luba podsunęła mu talerz z wędlinami i serem oraz koszyk wypełniony świeżym chlebem, natomiast Romuś nalał szybko kufel piwa. Zajadając się lokalnymi przysmakami i popijając pilznerem, Kosma opowiedział im szczegółowo wieczorne wydarzenie pod Świętą Lipą. Słuchali jego opowieści z niedowierzaniem, Luba prychnęła z raz śmiechem, Paulina wzdychała, a Romuś tylko kiwał głową ze zrozumieniem.

– I nie wkręcasz nas? – zapytała w końcu właścicielka schroniska. – Głuchy odzyskał słuch, a kulawy począł brykać niczym źrebię?

– Można tak to malowniczo określić – powiedział Kosma.

Zadzwoił jego telefon, zerknął na ekran i aż zachłysnął się piwem, bo wyświetlił się napis „Dupiołło”.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – powitał go Kosma, odchodząc od stolika, aby móc swobodnie porozmawiać.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam o tak dość późnej porze – zaczął oficjalnym tonem policjant. – Jednak chciałbym przekazać panu pewne informacje. Poczułem się do tego zobligowany po filmie, który nam pan wspaniałomyślnie udostępnił. Czy dysponuje pan chwilą na rozmowę?

– Oczywiście, inaczej bym nie odebrał.

– Otóż film, który pan przesłał, zawierał niewiele ciekawych informacji, ale niemal jednocześnie dotarła do nas wiadomość z komendy stołecznej policji o człowieku, który może ukrywać się na naszym terenie. Chodzi o Tomasza Witosą.

– Jeśli to ze stołecznej, to przesłał je mój kolega.

– Wiem. Mamy wybornego informatyka i szybko ustaliliśmy, że jedno ze zdjęć załączonych do wiadomości pochodzi z filmu, który od pana otrzymaliśmy. Uznałem, iż faktycznie zachodzą przesłanki, że ów człowiek może przebywać w okolicy.

– Tak – powiedział Kosma, gdy komisarz na chwilę zamilkł. Był pewien, że usłyszy wyrzuty co do tego, że okłamał go w ostatniej rozmowie telefonicznej, bo przecież nie mógł tak szybko przejrzeć filmu, wyciąć odpowiedniej klatki i przesłać jej do stołecznej, gdzie natychmiast zanalizowano materiał i zidentyfikowano klienta jako Tomasza Witosę. Jednak Sepiołło nie robił mu wyrzutów.

– Mając na względzie dobrowolną i bezinteresowną współpracę z pana strony, informuję, że Tomasz Witos znalazł się w Ustrzykach.

– Świetna wiadomość – ucieszył się Kosma i pokazał w stronę trójki siedzącej przy stole najpierw na telefon, a potem wyciągnął w górę kciuk.

– Jak dla kogo – odparł Sepiołło. – Wizerunek poszukiwanego najpierw rozesłaliśmy naszym funkcjonariuszom i niemal

natychmiast jeden z dzielnicowych poinformował, że widział takiego chłopaka, właściwie to jego zdjęcie. Mamy takiego emerytowanego kolegę, mieszka przy Pionierskiej, i przesyła nam zdjęcia obcych na osiedlu, a to było właśnie jedno z nich. Szedł w bluzie w towarzystwie niezidentyfikowanego mężczyzny. Natychmiast przejrzelismy archiwalny monitoring z tego dnia i widzieliśmy, gdzie się przemieszczali. Niestety, nie mogliśmy ustalić, dokąd dokładnie się udali. Ale już wiemy.

– Dokąd?

– Otóż przed trzydziestoma minutami otrzymaliśmy informację o mężczyźnie próbującym odebrać sobie życie. Stał w oknie na czwartym piętrze i chciał skoczyć. Gdy funkcjonariusze z ogniwa prewencji udali się na miejsce, zobaczyli, że wskazany nie chce targnąć się na własne życie, a po prostu próbuje zejść po rynnie. Podejrzewali złodzieja, już było ciemno, miał na sobie czarny strój. Niestety, jego próba nie zakończyła się sukcesem, mężczyzna odpadł od rynny i poniósł śmierć na miejscu. Dosłownie przed minutą straż pożarna umożliwiła nam wejście do mieszkania, z którego wydostał się ten mężczyzna. Wygląda na to, że był tam przetrzymywany siłą, a śmierć poniósł w trakcie próby ucieczki. Dłonie miał skute kajdankami, w mieszkaniu znaleźliśmy pokój wygłuszony materacami, w podłodze był solidny hak, do którego były przymocowane kajdanki. Udało mu się obruszyć mocowanie haka, po czym uwolnić i wybić okno, a następnie podjąć próbę ucieczki. Niestety zakończoną tragicznie.

– Potwierdziliście jego tożsamość? – zapytał Kosma.

– Tak, to ewidentnie człowiek wskazany przez komendę stołeczną. Oczywiście obecnie prokurator zleca czynności, ale podobieństwo do zdjęcia widniejącego w kartotece jest uderzające.

– Paskudna sprawa – odpowiedział Kosma, czując, że jedna z tajemnic została najpewniej pogrzebana razem ze śmiercią młodego chłopaka. – A co do drugiego mężczyzny uwidocznionego na zdjęciu?

– Niestety, ustalenie jego tożsamości jest niemożliwe. Przeglądamy nadal monitoring, może uda nam się znaleźć lepsze ujęcie pozwalające na identyfikację.

– Powiadomi mnie pan, jeżeli to dojdzie do skutku?

Komisarz Sepiołło zamilkł na chwilę i pewnie bił się z myślami, a raczej rozważał, czy takie postępowanie mu się opłaci. Sam fakt, że zadzwonił do Kosmy niemal natychmiast po zdarzeniu, świadczył o jego honorowym podejściu do kwestii wymiany informacji.

– Owszem – odpowiedział po chwili.

– Bardzo dziękuję – powiedział Kosma, nie starając się nawet zamaskować uczucia ulgi. – Będę pana dłużnikiem.

– To ja polecam się na przyszłość. Jeśli będzie pan miał jakieś dodatkowe informacje związane ze sprawą, proszę niezwłocznie mnie informować. Będę zobowiązany za jak najszybsze ich przekazanie.

– Oczywiście – odpowiedział Kosma, zdając sobie sprawę, do czego pije Sepiołło.

Rozłączył się, po czym schował telefon do kieszeni i zaklął w myślach. Wrócił do stołu, przy którym ujrzał Edgara. Ten musiał nagle pojawić się w schronisku, bo Kosma nie zauważył jego przybycia.

– Co się stało? – zapytała Paulina. – Najpierw się cieszysz, a zaraz smucisz.

– Tomasz Witos, ten chłopak ze zdjęcia, został znaleziony martwy w Ustrzykach. Wypadł z czwartego piętra, próbując uciekać z mieszkania.

– Dzieje się, nie ma co – skomentował Romuś.

– Szkoda chłopaka – powiedziała smutno Luba.

– Ano szkoda – dodał Edgar.

– Możemy nigdy się nie dowiedzieć, jaki był jego związek ze sprawą – stwierdziła Paulina.

– Możliwe – zgodził się Kosma. – Ale z samego rana pojawi się tutaj komisarz Sepiołło wraz z kolegami i poproszą Zenka o konkretne wyjaśnienia odnośnie do tego, dlaczego poszukiwany chłopak był jego operatorem.

– A jeśli nic nie powie? – zapytała Paulina.

– Jeśli będzie twardy, to nic mu nie grozi. Może prokurator, jeśli ma jaja, zleci przeszukanie domu naszego proroka, w co jednak wątpię. Skupią się raczej na poszukiwaniu właściciela mieszkania, w którym był przetrzymywany chłopak.

Przy stole zapadła cisza, którą przerwał dźwięk przychodzącej wiadomości. Tym razem była to komórka Pauliny.

– Łukasz i dziennikarze już wracają – poinformowała ich, patrząc na ekran. – Będą za jakąś godzinę.

– Czyli nasza kochana dziennikareczka nie odpuszcza – podsumował Edgar.

– Ten typ tak ma – stwierdził Kosma.

– Ta... – odezwała się Luba, i to krótkie słowo podszyte westchnieniem irytacji wszystkich rozśmieszyło.

– No co? – obruszyła się dziewczyna. – Nie wiem, na co ona bardziej poluje, na materiał stulecia czy na naszego Kosmę.

„Naszego Kosmę” wybrzmiało tak naturalnie, że on sam poczuł się jak część ekipy prowadzącej ten przybytek.

– A na Romusia nie łypie głodnym okiem? – zapytał Edgar.

– Ja kocham Lubkę – stwierdził natychmiast chłopak i się zarumienił.

– Nie masz wyjścia – odpowiedziała jego wybranka. – Do kościoła nie wrócisz, a nawet jeśli, to daję ci dwa dni i będziesz z powrotem – powiedziała, po czym położyła mu dłoń na udzie, a chłopak aż drgnął, bo palce Luby koniuszkami dotykały jego krocza.

– Każdemu należy się miłość – oznajmiła Paulina. – Romuś, podaj jeszcze po piwie. Aha, sprawdź przy okazji, czy generator prądu jest zatankowany, bo dzisiaj zapowiadają potężne burze.

Łukasz miał to zrobić, ale tak go wyrwali ze schroniska, że mógł nie zdążyć.

Chłopak posłusznie wstał z miejsca i ruszył na zaplecze.

– Wy we dwie macie szczęście – powiedział Edgar. – Jedna ma swojego Romusia, druga Łukaszka. Tak od razu ich znalazłyście?

– Oj nie – odpowiedziała Paulina. – Było kilku po drodze, ale jak już go spotkałam, to przepadłam. Na pierwsze wspólne wakacje przyjechaliśmy tutaj. Jest nawet zdjęcie na ścianie.

Wstała i podeszła do ściany, a reszta za nią. Wśród ośmiu wiszących fotografii, które Kosma miał okazję już kilkakrotnie oglądać, wskazała na to najbliższej baru. Na tle drewnianego schroniska stali Paulina i Łukasz, chłopak lekko ją obejmował, na twarzach widać było radość młodości i wolności. Schronisko wyglądało niemal identycznie, nie było tylko żadnego samochodu na parkingu ani przygodnego turysty w tle, tylko ta dwójka, drewniany dwór i cała miłość świata bijąca z ich twarzy.

– Młodzi, piękni, zakochani – skwitowała Luba.

– Z każdym dniem bardziej – odparła Paulina. – To były czasy, stać nas było tylko na pasztet i chleb, podróżowaliśmy stopem. Czasem robimy sobie taką romantyczną kolację, chleb z pasztetem, a do tego najtańsza herbata nalewana z termosu. No i zioło do tego. – Złapała się za usta i spojrzała na Kosmę.

– Daj spokój – machnął ręką. – Dawno powinni zalegalizować. Sam nie palę, ale popieram.

– Ciekawe, czy na przykład te gołąbeczki są nadal ze sobą. – Luba wskazała sąsiednią fotografię przedstawiającą ośmiorgo młodych ludzi. Stojąca z boku para także się obejmowała, ale nie tak otwarcie jak właściciele schroniska, zupełnie jakby peszyła ich obecność pozostałej szóstki.

– No ciekawe – westchnęła Paulina rozmarzonym głosem.

– Nie – odpowiedział twardo Edgar. – Zbadałem historię każdego wiszącego tutaj zdjęcia i mogę z całą stanowczością stwierdzić, że ich uczucie nie przetrwało.

– Ech, może lepiej było tego nie mówić – odparła właścicielka schroniska. – Mielibyśmy piękną historię do opowiadania turystom. Dwójka zakochanych, którzy pewnie gdzieś tam nadal trzymają się za ręce, a poznali i zakochali się właśnie tutaj. On rzucał ku niej spojrzenia, ona nieśmiało go unikała, w końcu zamienili słowo, później dwa, zaprosił ją na spacer, pierwszy pocałunek nad szemrzącym Sanem, może nawet doszło do czegoś więcej, kto wie. Potem wyjechali stąd, pisali do siebie płomienne listy, w końcu on przybył pod jej dom i padł na kolana, prosząc ją o rękę. Może wróć tu kiedyś, aby siwe głowy jeszcze raz zapłonęły tym uczuciem z pierwszego dnia.

– Nie wrócą – uciął zimno Edgar. – To ekipa studentów, która remontowała schronisko na zlecenie PTTK. Mam zapisane personalia każdego, nie było to trudne, wystarczyło ustalić rok remontu. Jako że to strefa nadgraniczna, każdy z tej siódemki musiał posiadać specjalne pozwolenia od komendanta milicji i pograniczników.

– Jest ich ośmioro – zauważył Kosma.

– Bo ten jest miejscowy. – Edgar wskazał palcem chłopaka nieporadnie obejmującego dziewczynę. – Wtedy wielu z Bielm pomagało w pracach, płacono niezłe stawki.

– No więc kto to jest? – zapytała Paulina.

– Zenek.

– Ten Zenek? – zdziwiła się Luba.

– Prorok Samuel? – Kosma był nie mniej zaskoczony.

– Owszem – odparł Edgar. – I to nie jego późniejsza żona, ale... Hm, nazwiska sobie nie przypomnę, ale miała na imię Elwira.

Kosmie zagrały w głowie wszystkie dzwonki alarmowe i rozległy się trąby jerychońskie, a na dodatek ryknęły chóry anielskie. Elwira!

– Wakacyjna miłość – stwierdziła Luba. – Ona wyjechała, a on oszalał z miłości i tęsknoty i został prorokiem.

Zaśmiali się wszyscy oprócz Kosmy. On musiał uciszyć biblijny jazgot w swojej głowie i potwierdzić swoje przypuszczenia.

– Przepraszam was, muszę coś sprawdzić – oznajmił, po czym ruszył pędem na górę, pozostawiając domowników ze zdziwionymi minami.

Wszedł do pokoju, uruchomił komputer i gorączkowo bębnił palcami w małe stoliczki, na którym postawił laptopa. Gdy tylko system się załadował, otworzył pliki przesłane mu przez kolegę z komendy. Wyszukał słowo „Elwira” i bingo! Tak miała na imię babka Tomasza Witos, który dzisiejszego wieczoru zakończył żywot, spadając z wysokości czwartego piętra. To nie mógł być przypadek. Elwira przybyła do Bielm, pomagała wyremontować dwór, poznała Zenka, wtedy młodego i przystojnego chłopaka, po czym wróciła do domu. Czyżby przywiozła pamiątkę z wakacji w postaci dziecka? Sprawdził datę urodzin Adrianny Witos, jej córki. Szósty kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Wszystko się zgadzało. Jeśli założenie Kosmy było prawidłowe, to Tomasz Witos był wnukiem Zenona!

Serce zaczęło mu szybciej bić. Chłopak odnalazł w jakiś sposób swojego dziadka, może dowiedział się o nim od matki, kto wie. W każdym razie przyjechał do Bielm, poznał Zenka i jako oszust postanowił przygotować przekręt. Dziadek wszedł w spółkę. Dlaczego? Może z sentymentu do nowo odnalezionego wnuka, może z jakiegoś innego powodu.

Chłopak został jednak uwięziony. Przez kogo? Raczej nie przez swojego dziadka ani przez jego szwagra, przecież żaden z nich nie jeździł do Ustrzyk, aby doglądać więźnia. Zatem musiał to być... Strzyga.

Ale dlaczego to zrobił? Kosma przypomniał sobie tajemniczy telefon, jaki otrzymał Zenek tuż przed dzisiejszym misterium. Miał dać wywiad, wyznać grzechy, a zamiast tego urządził prawdziwy show. Strzyga zadzwonił i go zaszantażował, mam chłopaka, jeśli nie pociągniesz dalej swojej historyjki, to...

Jaki był motyw? Ukrywający się w lesie bandyta potrzebował pieniędzy? Dlaczego zatem odważył się pojechać do Ustrzyk?

I proszę, gdyby nie romantyczne wspominki właścicielki schroniska, nigdy by nie wpadł na trop tej sprawy. Miłość. Jemu

ostatnie zakochanie wyszło bokiem, a raczej szramą na twarzy. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, może on też z Mają wspominałby tamten pierwszy wspólny wieczór we Wnykach, gdy siedzieli ukryci w krzakach między ruinami starego klasztoru, jedli amerykańską suszoną wołowinę i przepijali kalifornijskim czerwonym winem. Czy też urządziłoby sobie wspominkowe wieczorki?

Zmroziło go. Cholera, ponownie to uczucie, to dudnienie z tyłu głowy. Jak mówiła jego nauczycielka polskiego w szkole: Kosma, gdzieś tam ci dzwoni, ale nie wiesz w którym kościele, co?

Wyjął telefon i zadzwonił do swojego przyjaciela.

– Kacpejro, sprawa jest! – rzucił, gdy tylko ksiądz odebrał połączenie.

– Nie uwolnię się od ciebie, co?

– Ni chuja. Słuchaj. Pamiętasz seminarium, a szczególnie pierwszy i drugi rok?

– Jak zły sen.

– I z czym ci się kojarzy? Takie pierwsze hasło.

– Kebab.

– Dokładnie. A drugie?

– Magulo. Kotlet jajeczny.

– Otóż to. Musisz mi załatwić jedno ważne info.

Kacper słuchał, a potem powiedział, że posiada te dane i prześle za minutę. Kosma poczekał na plik, po czym szybko spakował mały plecak, upewniając się, że zabiera kajdanki, latarkę i pistolet. Przebiegł koło zaskoczonych pracowników schroniska, rzucając krótkie „zaraz wracam”, i wskoczył do samochodu. Co prawda wypił piwo, ale w lesie raczej nie spodziewał się trafić na przechodniów ani tym bardziej patrol drogówki. Teraz najważniejszy był czas.

ROZDZIAŁ 11

SEMINARIUM

Dla Kosmy traktowanie alumnów w seminarium było może i zrozumiałe, ale zupełnie nie do przyjęcia. Rozumiał, że Kościół wychowuje kolejnych żołnierzy Chrystusa, a ci winni być przede wszystkim posłuszni, nie ma miejsca na pytania, rozważania i sprzeciw wobec przełożonych. Jasna sprawa, był na to gotów, zresztą wuj Marian uprzedził go o takich warunkach, a jako biskup przecież wiedział, co mówi. Zatem Kosma rozumiał, nawet się godził i jakoś to wytrzymywał, ale jednego nie mógł zaakceptować: wyżywienia.

Jedzenie w sandomierskim seminarium było monotonne i paskudne, a porcje małe. Przez pięć dni z rzędu potrafili znaleźć na talerzu plaster wędliny w towarzystwie nieodłącznego przyjaciela, żółtego sera. W drugim tygodniu pobytu powitał ich w drodze na śniadanie smród wyciskający łzy z oczu.

– Coś tu, kurwa, zdechło – powiedział na głos Kacper, który został budziarzem Kosmy, co w seminaryjnym slangu oznaczało współlokatora w pokoju.

– To magulo – poinformował ich kolega z trzeciego roku, posiadacz płomiennie rudych włosów.

– Co takiego? – zapytał Kosma.

– Magulo – powtórzył chłopak. – Gówno z cebulo.

Grupa udających się do wirydarza alumnów zarechotała zgodnie. Okazało się, że było dużo gorzej, czekał na nich kotlet jajeczny, który stał się przekleństwem seminaryjnych śniadań. Kosma nie jadł nigdy przedtem ani już potem nic gorszego. Jakby ktoś zebrał wszystkie niedojedzone jajka z ostatniego roku, zmielił i podał w formie kotletów. Odruch wymiotny pojawiał się na sam widok tej potrawy.

Szybko podpatrzyli zachowania starszych kolegów i poczęli ich naśladować, co okazało się zbawienne. W niektóre niedziele pojawiały się serki topione w formie otoczonych złotą folią aluminiową trójkątów. Kosma je uwielbiał i niemal natychmiast rzucił się na śniadanie niczym wilk. Dopiero gdy druga kanapka grubo posmarowana tłustym serem została pożarta w kilku kęsach, zauważył, że starsi koledzy chowają je w ciekawej skrytce. Za stołami ustawionymi w wirydarzu znajdowały się kamienne parapety, a na nich solidne doniczki, za którymi upychano serki. Jakież był powód tego chomikowania, wyszło na jaw dość szybko, bo już następnego dnia.

– Jak podadzą serki, to znaczy, że przez kilka dni będzie tylko chleb, mortadela lub marmolada – poinformował ich podczas kolejnego śniadania kolega o rudych włosach.

Miał rację. Ci, którzy pożarli swoje serki, w niedzielny poranek kroili cienki plaster mortadeli na cztery części, aby mógł pokryć więcej niż jedną kromkę. Reszta wyjmowała schowany serek i wzbogacała śniadanie.

Tak samo było z obiadami i kolacjami. Tłusto, bez smaku, bardzo skromnie i monotonnie. Próbowali się ratować, ale nie było to łatwe, gdyż w pokojach nie wolno było gotować, a gdy wychodzili na miasto, towarzyszył im najczęściej opiekun. Niezwykle rzadko udawało się wyskoczyć im na kebaba, a ten znajdował się najbliżej seminarium, ale było to obarczone olbrzymim ryzykiem, gdyż stołowanie się na mieście było zabronione. Wtedy Kacper wpadł na genialny pomysł. Podczas jednego z tych szczęśliwych dni, gdy udało im się wymknąć na kebsa, doszedł do porozumienia z właścicielem, że gdy wyślą mu SMS-a ze słowem „kebab”, wtedy pół godziny później dostawca podjedzie pod mur seminarium i przetrzuci paczkę z jedzeniem przez ogrodzenie. Zostawili a konto stowę i powiedzieli, że będą się rozliczać przy okazji. Właściciel szybko zrozumiał nadarzącą się okazję i nielegalne dożywianie w sandomierskim seminarium ruszyło z kopyta. Do spółki w krótkim czasie dołączyło kilku zaufanych kolegów i nocne uczyty stały się tajemnym rytuałem.

– Wiesz co, Kosmyczku – powiedział podczas jednej z posiadówek Kacper, przeżuając mięso podejrzanego

pochodzenia dumnie nazywane baranią.

– No? – zapytał Kosma, zlizując spływający mu po dłoni ostry sos.

– Jak już skończymy ten seminaryjny cyrk, zostaniemy szanowanymi proboszczami w mało znaczących parafiach, zaczną nam rosnać brzuchy, łysina pocznie galopować po naszych skroniach, to pewnie zechce nam się spotkać i wspominać stare, dobre czasy.

– Pewnie tak – odpowiedział Kosma.

– Ciebie pewnie wuj wypcha na jakieś salony, może i do Rzymu, ale musisz mi jedno obiecać.

– Dawaj.

– Jak już się spotkamy, to zjemy po kebabie, popijemy go piwem, a potem usmażymy kotlet jajeczny i wrzucimy go do kibla.

– Zgoda.

To – czyńcie na moją pamiątkę – dorzucił modulowanym głosem Kacper, po czym obydwaj wybuchnęli śmiechem.

ROZDZIAŁ 12

1.

Podłoga zatrzeszczała, jak to ma w zwyczaju w starych domach. Samuel podniósł głowę i spojrzął na drzwi wejściowe do kuchni, ujrzał w nich tego, którego się spodziewał, a nawet na niego czekał.

– Strzyga – powiedział, patrząc w stronę gościa.

– Dobrze poszło, co nie? – zapytał mężczyzna, wchodząc do kuchni i odsuwając drewniane krzesło.

– Widziałeś? – zdziwił się Samuel.

– Ludzie mi opowiedzieli, o niczym innym nie mówią.

– To możesz go już wypuścić.

– Wódki bym się napił – stwierdził Strzyga i przeciągnął się, jakby zakończył wyjątkowo intensywny dzień pracy w polu.

Gospodarz złapał za stojącą na stole butelkę, nalał do kieliszka, rozlewając kilka kropel, po czym przesunął naczynie w stronę gościa.

– Wypuść go.

– Siedzi grzeczny i bezpieczny – odparł Strzyga, po czym przechylił kieliszek i odstawił go ze stukiem na stół.

– Mieliśmy umowę.

– Zenku, źle masz ze mną?

– Umów należy dotrzymywać.

– Jakoś nie mogę uwierzyć ci na słowo – odpowiedział Strzyga, po czym sięgnął po butelkę i sam się obsłużył.

– A tobie można wierzyć?

– Załatwiłem uzdrowionych? Pięknie zagrali?

- Ale czy złym ludziom można wierzyć, o to się pytam.
- A ja jestem zły? – Strzyga zaśmiał się głośno i walnął kieliszkiem o stół, aż zatrzęśły się szyby w oknach. – Ano, kurwa, jestem. Jednak nawet złodziej swój honor ma!
- Honor... – stwierdził Samuel, spuszczać głowę.
- A tak, honor! – Strzyga sięgnął gwałtownie po butelkę i ponownie napełnił kieliszek. – Jednak przed honorem zawsze winien stać zdrowy rozsądek, a ten mi mówi, że jak oddam ci młodego, to zaczniesz się stawiać, może nagle polecisz do tej twojej dziennikareczki i będziesz paplał do kamery. Mogłem sukę zajebać. Chociaż wtedy nie nagrałaby takiego pięknego materiału. Lecisz na nią, co? A ona na ciebie? Lubi obciążać takim starym dziadom, co?
- A co będzie, jak mi nie oddasz dziecka? – zapytał Samuel i po raz pierwszy podczas tej rozmowy podniósł wzrok i spojrzał gościowi w oczy.
- Nie wkurwiał mnie – rzucił przez zaciśnięte zęby Strzyga, po czym na dowód swojego zdenerwowania wyjął zza paska pistolet i pomachał nim przed twarzą gospodarza. – Naprawdę, ja jestem słabych nerwów i mam skłonność do wybuchowości.
- Tomek nie żyje – powiedział sucho, z niewysłowioną goryczą w głosie Samuel.
- Co ty pierdolisz! – obruszył się Strzyga. – Dwie godziny temu widziałem się z nim, zostawiłem mu jedzenie i nawet piwo, żeby mu się lepiej spało.
- Dzwonili do mnie z policji. Znaleźli jego telefon w kuchni mieszkania i mój numer był ostatni na liście wybierania. To ty przecież dzwoniłeś do mnie przed dzisiejszym cyrkiem.
- Policja? – Strzyga nerwowo potrząsnął głową i nieco odsunął się od stołu. – Skąd...
- Poinformowali mnie, że chłopak wypadł z okna podczas próby ucieczki z mieszkania, i pytali, czy wiem coś o tej sprawie.
- Pierdolą! – krzyknął Strzyga.

– Zabiłeś mi dziecko, skurwysynu – powiedział spokojnym, suchym głosem Samuel.

Zenek sporo słyszał o Strzydze, o jego legendarnym zmyśle przetrwania, który pozwolił uciec mu z niezliczonych zasadzek zastawianych przez organa ścigania, ale też i konkurencję. Musiał ten tajemniczy czynnik zadziałać i teraz albo może bandyta coś usłyszał, bo w chwili, gdy rozpędzona ramieniem Ryśka siekiera zmierzała w jego stronę, odwrócił się i zamiast dostać w tył głowy, obuch trafił go w twarz.

W jednym i tym samym momencie rozległ się plask uderzenia, jakby ktoś uderzył tłuczkiem w kawałek schabu, ale głośniejszy okazał się huk wystrzału z broni trzymanej przez Strzygę w dłoni.

ROZDZIAŁ 13

BENIOWA. ROK 1979

Lew Koroniewski spojrział z niedowierzaniem na świeżo postawiony budynek plebanii, który tak bardzo różnił się od tego, jaki wyrył mu się w pamięci solidniej niż w marmurze. Wyglądało na to, że oficer dowodzący niszczeniem wsi niczego nie oszczędził, wypełnił rozkaz sumiennie. Stara szkoła.

– To tutaj? – zapytał jego syn, zatrzymując fiata 125p na trawiastej zatoczce przy cmentarzu.

– Tak – odparł Koroniewski. – Stań w cieniu, bo strasznie się to cholerstwo nagrzewa.

Chłopak posłusznie przejechał kilka metrów do przodu, aż zielonego fiata objął cień z drzew porastających cmentarz. Otworzył drzwi i szybko ruszył pomóc ojcu wysiąść z auta, po czym podał mu rzeźbioną laskę, na której staruszek musiał się opierać, odkąd dwa lata temu zaczęło mu niemiłosiernie dokuczać biodro.

– Iść z tobą? – zapytał.

– Nie, odpocznij sobie – odparł mężczyzna. – Ze wspomnieniami najlepiej radzić sobie w samotności.

Z budynku plebanii wyszedł ksiądz trzymający w ręku skórzaną teczkę. Spojrzął w stronę ich samochodu i krzyknął przez drogę.

– Panowie do mnie?!

– Tak – odparł syn Koroniewskiego.

W tym czasie jego ojciec, poruszając się całkiem dziarsko, przekroczył szutrową drogę i wszedł na posesję, ksiądz zszedł po schodkach i podał mu dłoń.

– Lew Koroniewski – przedstawił się, pomijając stopień wojskowy, był przecież w stanie spoczynku, w dodatku nie chciał

niepotrzebnie straszyć duchownego. Już sam fakt, że pojawił się w Beniowej nowy samochód, mógł wzbudzić podejrzenia, że to bezpieka, która ostatnio bardzo intensywnie interesowała się księżmi.

– Władysław Gaweł – przedstawił się ksiądz.

– Ksiądz jest proboszczem?

– Tak – odparł duchowny. – Oraz wikariuszem, kościelnym, gosposią i grabarzem.

Ruszył energicznie, podciągając sutannę, za budynek plebanii, prowadząc swojego gościa przez dawno niekoszoną trawę w stronę jabłoni, pod którą ustawiono stolik i krzesła. Obok pnia starej jabłoni stał syfon i kilka metalowych garnuszków. Gospodarz wziął dwa z nich, otrzepał z kurzu, po czym napełnił z głośnym sykiem wodą z syfonu.

– Jak pan chce, mogę iść po sok – powiedział.

– Dziękuję, woda wystarczy – odpowiedział Koroniewski.

Ksiądz skinął głową, wskazał miejsce w cieniu, poczekał, aż starszy mężczyzna usiądzie, pomógł mu odstawić laskę i sam zajął miejsce naprzeciwko.

Koroniewski przyjrzał mu się i stwierdził ze zdziwieniem, że nie jest dużo młodszy od niego. Ksiądz był bardzo szczupły, przez co nie było tak widać na jego ogorzałej od słońca twarzy głębokich zmarszczek, a wszelkie oznaki starości jakby ginęły, przykryte twardością spojrzenia i szybkimi ruchami kapłana.

– Co pana do mnie sprowadza? – zapytał po chwili.

– Pamięć – odpowiedział Koroniewski. – A może sentyment?

– Mieszkał pan tutaj?

– Nie, wręcz przeciwnie – odparł Lew. – Z radością bym zamieszkał teraz, ale zdrowie nie pozwala. Bliżej już niż dalej, jak to mówią. Ale cieszy mnie, że Beniowa wraca do życia.

– Bielma – poprawił go ksiądz.

– A no tak, tutaj także zmienili nazwę.

– Tak, pierwszego października dwa lata temu – przytaknął ksiądz. – Jak w stu dwudziestu innych miejscowościach w Polsce południowo-wschodniej. Robią wszystko, aby nawet w taki sposób nie przetrwała pamięć o historii tych ziem. Była Beniowa i Sianki, teraz mamy Bielma. Jedna wieś. A to dlatego, że po tamtej stronie granicy też są Sianki, dalej istnieją, zatem nie może się kojarzyć.

– Jasna sprawa.

Ich uszu dobiegły śpiewy, najpierw ciche, potem coraz głośniejsze, wesoła melodia niosła się przez słoneczny dzień i Koroniewski od razu rozpoznał utwór *Stokrotka* i jego zwinną melodię. Z zacienionego sadu dostrzegł kilka furmanek, które jechały niespiesznie, ciągnięte przez człapiące w równym rytmie konie. Na wozach siedzieli młodzi ludzie i będąc na wysokości plebanii, właśnie zaczynali śpiewać skoczną piosenkę od nowa i druga zwrotka wybrzmiała w pełnej krasie:

W tym gaju tak ponuro,

Że aż przeraża mnie,

Ptaszeta za wysoko,

A mnie samotnej źle.

– Grupa studentów pomaga remontować dwór Stroińskich – poinformował ksiądz.

– Przetrwał? – zdziwił się emerytowany oficer.

– Częściowo. Spalił się dach po uderzeniu pioruna, reszta ocalała. Jednak psują jego architekturę, dobudowują piętro, ale to w sumie lepiej, niż jakby mieli rozebrać. I tak cud, że przetrwał to, co się tutaj działo po wojnie. Bandyckie czasy.

– A kościół przetrwał nieruszony? – zapytał Koroniewski, nie komentując uwagi.

– Cerkiew – poprawił go ksiądz. – Dziwna rzecz, ale przetrwała cała i zdrowa, ale oczywiście bez wyposażenia, została tylko kamienna chrzcielnica i trochę drobiazgów. Próbuje się świątynię odrestaurować, ale środków na to nie ma, miejscowi pomagają. Mam tu takiego dobrego chłopaka, Jaśka, drugiego też, Zenka.

Teraz jednak obydwaj przy dworku pracują, bo tam pieniądź dobry. No i dziewczyny – zaśmiał się ksiądz.

– Cieszę się, że życie tutaj wraca – powiedział Koroniewski.

– Z Bożą pomocą.

– Pytał ksiądz o cel mojej wizyty – odezwał się gość, ocierając pot z czoła. – Otóż chciałem księdzu przekazać coś, co jest w moim posiadaniu, ale należy do tego miejsca. Niestety, tylko to mam, nic innego.

– Pamiątka?

– Można tak powiedzieć – odparł Koroniewski. – Tylko że mi przypomina niezbyt dobre czasy.

– Pamięć jest okrutna, czyż nie? – zapytał ksiądz. – To, co boli, boleć będzie do końca życia.

– Otóż to – zgodził się Lew. – Zaraz mój syn przyniesie z samochodu samowar, który był na starej plebanii. Stała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie nowa. Swego czasu poczęstowano mnie w ramach gościny wyborną herbatą, właśnie tutaj, a ja zasadam gościnności strasznie uchybiłem.

– Był pan tutaj, prawda? – zapytał ksiądz. – Wtedy?

– Tak.

Zamilkli, bo i cóż można było powiedzieć. Zarówno jeden, jak i drugi rozumieli, że tak złe czasy, jakie nastąpiły w ciągu ostatnich dziesięcioleci na ich ukochaną ojczyznę, zmieniły naród i ludzi nieodwracalnie. W tym złym czasie ludzie musieli odpowiadać na pytania, których nikt nie zadawał w dobrych czasach, a zła odpowiedź nieraz skutkowałą śmiercią.

– Bardzo proszę, aby ksiądz wszystkich, którzy proszą o gościnę, poczęstował kubkiem dobrej herbaty. Dorzucam całą jej skrzynkę.

– Będę się za pana modlił – odparł kapłan.

– Za mnie? – zdziwił się Koroniewski. – Och nie, proszę tego nie robić. Niech ksiądz swe wołania do niebios skieruje w intencji tych, których skrzywdziłem.

- Nie miał pan wyboru...
 - Miałem – przerwał mu były oficer, mocno, stanowczo, po wojskowemu. – Bycie skurwysynem to zawsze jest wybór.
- Skinął na swojego syna, a ten otworzył bagażnik fiata, sięgając po ostatni okruch pamięci o dawnych, złych czasach.

ROZDZIAŁ 14

BIELMA. TERAZ

Kosma pędził przez ciemny las, mijając się tylko raz z pick-upem prowadzonym przez Łukasza. Widział w środku całą ekipę Niny, byli pewnie podekscytowani, może nawet wieźli do schroniska szampana, aby uczcić nagranie tak dobrego materiału.

On miał inne zadanie. Jeszcze nie wszystko ułożyło mu się w całość, ale całkiem sporo. Na konfrontację z Zenkiem, samozwańczym prorokiem Samuelem, miał czas. Policja nie zapuka do niego przed szóstą rano, a nie mieli go za terrorystę czy szczególnie groźnego przestępcę, więc raczej nie było co spodziewać się ekipy „Czarnych” z taranem i granatami hukowymi. Prędzej komisarz Sepiołło-Dupiołło wypije poranną kawę, pewnie parzoną według podręcznika pruskiej armii z czasów Wielkiej Wojny, czarną i gorzką, bo odrobina cukru mogłaby pewnie wywrócić jego życie nieodwracalnie do góry nogami, a następnie wybierze się do Bielm. Kosma zdąży spotkać się z Zenkiem rankiem, był tego pewien.

Chociaż nie, przecież zaraz skonfrontuje się z księdzem, co skończy się najpewniej aresztowaniem. Prorok Samuel nie był jego celem, ale kwestia utopienia księdza z Kongregacji Nauki Wiary już tak, po to tutaj przybył i miał pełne prawo do czynności. Co prawda winien je przeprowadzić rano i nie po piwie, ale nie mógł czekać. Po emisji programu nagranego przez Ninę bladym świtem ponownie zwali się tutaj tłum dziennikarzy, proboszcz na ten widok gotów się zabarykadować na plebanii i nie otworzy nawet jemu.

Prawda była jednak taka, że cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną. Musiał to załatwić od razu.

Budynek plebanii tonął w mroku, co automatycznie wyrwało z jego ust przekleństwo. Przecież zbliżała się północ, ludzie mieli

prawo spać. Wsiadł mimo to z samochodu i od razu otuliła go bieszczadzka ciemność. To tutaj przyjeżdżali ludzie z całej Europy, by obserwować gwiazdy, ten region Polski należał do najmniej zanieczyszczonych światłem, co jednak obecnie nie pomagało. Nad lasem niebo rozjaśniło się na chwilę, a z daleka dobiegł go pomruk burzy, jeszcze nieśmiały, jak pierwsze westchnięcie podczas zbliżenia dwojga ludzi. Paulina w schronisku wspominała przecież, że na dziś zapowiadają potężne nawałnice. Nie lubił burz, od momentu pamiętnej nocy we Wnykach.

Nagle noc ponownie rozjaśniło światło, ale tym razem nie pochodzące z chmury, lecz z kościoła. Ktoś w nim ewidentnie urzędował. Kosma sprawdził, czy kabura z pistoletem jest dobrze dopięta do paska, zabrał latarkę i ruszył w stronę dawnej cerkwi. Światło nie gasło, nie były to też rzucane przez latarkę smugi, ale stabilne oświetlenie.

Nacisnął na kutą klamkę i pchnął drzwi, wszedł do kruchty, skąd przeszedł do wnętrza kościoła. Na środku stali proboszcz i gosposia. Obydwoje odwrócili się w jego stronę jak na wezwanie i stanęli ramie przy ramieniu. Ksiądz trzymał w ręku łańcuch zakończony kłódką, kobieta młotek, w drugiej ręce natomiast drewniany kołek z doczepioną na nim tabliczką.

Kosma przeżył déjà vu. Już widział ten obrazek, tego mężczyznę, lekko pochylonego na prawą stronę, stojącą przy nim kobietę, lekko uśmiechniętą, wpatrzoną na wprost, z głową przekrzywioną na lewo, w kierunku jej partnera. Zdjęcie, to z chaty Zofii, czarno-białe, uwiecznione przez fotografa lata temu na ślubie dwojga młodych ludzi. Te same spojrzenia, identyczne miny, zapadające w pamięć uśmiechy.

– Szykujemy kościół na ten armagedon, który tu się zacznie z rana – poinformował go ksiądz bez żadnego zdenerwowania. – Cuda, uzdrowienia, a to wszystko ma iść w telewizji.

– Zadeptają nam cmentarz – dodała gosposia.

– Zamkniemy bramę na łańcuch, wbijemy tabliczkę, że teren prywatny – powiedział proboszcz.

- Inny ksiądz odprawiliby mszę i zbijał kasę – odparł Kosma.
- Sam pan wie, jakie jest moje podejście. – Ksiądz ruszył w jego kierunku. – A pana co do nas sprowadza po nocy?
- Przejeżdżałem i zobaczyłem, że w kościele widno, pomyślałem, że może jakiś złodziej – skłamał gładko Kosma.
- Złodziej? – zdziwił się proboszcz.
- Sporo obcych się tu kręci – odparł Kosma. – Pamiątka z kościoła, obok którego objawił się Chrystus, to może być kuszący fant.
- Tym bardziej musimy pozamykać wszystko na cztery spusty.
- Pewnie znowu przyślą kogoś z kurii do zbadania sprawy – powiedział Kosma.
- Byle szybko.
- A jak znowu przywiezie pasztet i wino, myśląc, że spotka przyjaciela z seminarium i powspomina stare, dobre czasy? – zapytał Kosma.

Ksiądz i gosposia zatrzymali się dwa metry przed nim, jakby ktoś ich zamroził. Patrzyli na niego, ale już nie tym samym spojrzeniem, którym niegdyś uraczyli fotografa ślubnego, chcąc mieć pamiątkę z najszcześniejszego dnia w życiu, w ich oczach nie było miłości, radości i wielkich nadziei, a jedynie złość i chyba... rozbawienie.

– Sprawdziłem listę alumnów z twojego rocznika we wrocławskim seminarium. Widniejesz na niej tuż obok Adama Kamińskiego, a raczej nie ty, ale Paweł Janiak. Nazwiska sąsiadują ze sobą, co z dużą dozą prawdopodobieństwa oznacza, że ci dwaj dzielili pokój, przynajmniej przez pierwszy rok lub dwa, zależy, jakie porządki przyjęto w seminarium. Byli budziarzami, jak to się mawia. Adam Kamiński, którego utopiłeś w stawie, oraz Paweł Janiak, faktyczny proboszcz tej parafii. Co się z nim stało?

- Miał zbyt lekkie ręce – odparł ksiądz.
- Zgwałcił mnie – dodała Zofia. – Szukał gosposi, a tu było krucho z pracą, więc poszłam porozmawiać. To było tydzień po

ślubie. I ten... – zawiesiła głos, jakby wspomnienia dawnych dni były wciąż zbyt świeże, aby o nich mogła spokojnie mówić.

– Miał powołanie, ale do bab – dodał proboszcz. – To i dostał, na co zasłużył.

– Zabiłeś go – stwierdził Kosma. – I zająłeś jego miejsce.

– Wiedziałem, że przez tego chuja, proroka od siedmiu boleści, wszystko się spierdoli – powiedział fałszywy ksiądz, zaciskając dłoń na łańcuchu. – Tyle lat ciszy i spokoju, wszystko poszło tak dobrze, gładko. Wiesz, kiedy pierwszy raz ktoś tutaj przyjechał na wizytację? Po dziesięciu latach. Każdy ma to miejsce w dupie i tak by zostało do końca. Gdyby nie Zenek.

– To był gwałciciel – powiedziała stanowczo Zofia. – Potwór. Po co takich żałować?

– A ksiądz, którego zamordowaliście, też był złym człowiekiem?

Nie uzyskał odpowiedzi. Ksiądz wyrzucił w krótkim zamachu przed siebie łańcuch obciążony kłódką, ale Kosma był na to przygotowany. Żałował, że od razu nie wyjął pistoletu, byłoby po sprawie, ale przeczuwał atak, widział, jak dłonie mężczyzny zaciskają się na stalowych ogniwach, i gdy tylko zobaczył ruch ramienia, schylił się i cofnął o krok. Kłódka dosłownie musnęła mu grzywkę, ale nie trafiła go, a po takim ciosie pewnie straciłby przytomność.

Przewidział atak mężczyzny, ale nie jego partnerki, która w tym samym czasie przywaliła mu trzymaną w prawej ręce tabliczką. Na szczęście siła uderzenia nie powaliła go na kolana, ale usłyszał trzask łamanego drewna i zaszumiało mu w lewym uchu. Jak na zwolnionym filmie zauważył, że kłódka na łańcuchu przelatuje nad głową gosposi, która był sporo niższa od swojego męża, i ponownie nadlatuje w jego stronę. Padł na ziemię do tyłu, próbując wykonać przewrót, jak uczono go na kursach walki, i gdyby miał za przeciwnika tylko fałszywego księdza, pewnie by mu się udało.

Gosposia spadła na niego i walnęła zamasyście młotkiem, trafiając go w pierś. Ból był okrutny, rozszedł się po całym ciele i spłycił mu oddech. Przewrócił się na bok, zrzucając jednocześnie

z siebie rozszalałą kobietę, nie było to trudne i wykonane w dobrym czasie, bo jej młotek ponownie wznosił się do góry, ale cios nie doszedł do skutku.

Nie jej.

Kopniak, jaki wymierzył mu prosto w żołądek mężczyzna, uruchomił w głowie Kosmy wszystkie alarmy, jakie tylko organizm przygotował w toku ewolucji na takie okazje. Ból i jasne światło przed oczami nie zwiastowały dobrze.

Ksiądz poderwał go z ziemi i chwycił wprawnie od tyłu niczym rasowy zapaśnik, co wywołało kolejną falę bólu. Skurcz żołądka wręcz zmuszał go do skulenia się, a obecna pozycja sprawiała, że był wyprostowany niczym struna.

– Nie młotkiem – usłyszał głos napastnika, który instruował swoją żonę. – Bez śladów.

Kosma zobaczył cel swej podróży, olbrzymie kamienne aspersionum, które rosło w oczach. No tak, księdza Kamińskiego utopiono, a na jego dłoniach były ślady walki z kamienistym podłożem. Skończył życie właśnie tutaj, z głową zanurzoną w święconej wodzie. Kamienna chrzcielnica, która witała na tym świecie tyle nowych duszyczek, jak widać, pomagała także niektórym trafić na łaki Pana.

Mózg Kosmy pracował na najwyższych obrotach. Nie mógł się wyrwać z żelaznego uścisku, napastnik mimo różnicy wieku nie należał do ułomków, pamiętał jego umięśnione ramiona i spracowane dłonie. Przypomniawszy sobie to, co opowiadała pani patolog, wysoka kobieta uwielbiająca ciasta ciapowatego policjanta z Ustrzyk. Proces tonięcia jest długi i bolesny. Długi. Miał jakieś dziesięć sekund, aby uspokoić oddech i nabrać powietrza. Kuerwsko trudna sztuka, gdy żołądek i płuca płoną żywym ogniem.

Złapał możliwie najgłębszy oddech tuż przed tym, gdy jego twarz zderzyła się z lustrem wody święconej. Zamknął odruchowo oczy i postarał się nie panikować. Dobrze sobie. Złapał cembrowinę kamiennego aspersionum, ale nie mógł wygrać z przeciwnikiem, który miał znaczącą przewagę. Podczas jednej z prób wyrwania się

z żelaznego uścisku jego dłoń zahaczyła o pistolet przypięty do biodra. Jakie to szczęście, że nie umieścił kabury pod pachą, jak mają niektórzy w zwyczaju, a przy biodrze. Złapał za nią, wyjął pistolet i oparł lufę na udzie fałszywego księdza, po czym nacisnął spust. Mimo iż znajdował się pod wodą, to usłyszał stłumiony trzask, uścisk natychmiast zelżał.

Kosma szarpnął się do tyłu i poczuł, że jest wolny. Płuca paliły go żywym ogniem, czuł, że będzie nabierał powietrza z godzinę, zanim uda mu się złapać oddech.

Mężczyzna leżał, trzymając się za udo, krew obficie zraszała posadzkę kościoła.

Usłyszał krzyk i zobaczył gosposię szarżującą na niego z młotkiem w prawej i kijem w lewej ręce. Podniósł pistolet i strzelił jej w nogi, wiedział, że nie ma innego wyjścia, w obecnym stanie nie może robić uników ani szamotać się ze starszą kobietą, jeden cios młotkiem mógł go obezwładnić.

Zofia runęła do przodu niczym skoczek narciarski wychodzący z progu i uderzyła głową o brzeg kamiennej chrzcielnicy z bardzo nieprzyjemnych chrzęstem, który zwiastował pęknięcie czaszki. Zwaliła się bezwładnie na podłogę, upuszczając młotek i kij.

Kosma spojrział natychmiast w stronę jej męża, co uratowało mu życie, bo ten, widząc śmierć swej partnerki, zebrał resztki sił i pomimo poważnego postrzału rzucił się na niego. Kosma trzymał pistolet mocno i już upadając, naciskał spust. Gdy upadli, spoczywało na nim ciało Jaśka, męża Zofii.

Wydostał się spod niego, po czym podniósł, rozglądając czujnie po kościele, czy nie czai się na niego jakiś dodatkowy przeciwnik, ale nie widział nikogo.

Wytarł pistolet z krwi o swoją koszulkę i spokojnie schował go do kabury. Pochylił się i oparł dłonie na kolanach jak biegacz po ukończeniu maratonu. Zresztą, czuł się podobnie zmęczony.

Cisza, która nastąpiła po całym zdarzeniu, była charakterystyczna dla kościołów, pełna nabożnego skupienia, zachęcająca do kontemplacji. Burzyły ją jedynie ciężkie oddechy Kosmy, ale już

coraz spokojniejsze. Spojrzał na swoje dłonie, były całe we krwi, podszedł do chrzcielnicy i zaczął je myć.

Przez niebo za oknami kościoła przebiegł mocny błysk i kościołem zatrzęsł grom. Spojrzał w tamtą stronę i coś go zaniepokoiło. Za witrażami było jasno, jakby świeciły za nimi latarnie.

Ominął leżące na ziemi zwłoki i ruszył w stronę wyjścia ze świątyni. Czyżby podjechał jakiś samochód?

To nie było auto.

Po otwarciu ciężkich wrót i wystawieniu ostrożnie głowy na zewnątrz patrzył, jak płonie Święta Lipa.

ROZDZIAŁ 15

BENIOWA. ROK 1981

Słońce świeciło mocno, lecz nieupalnie, tak w sam raz, aby siedzieć na ławce przed domem i gładzić swojego ukochanego po włosach. Jasiek trzymał głowę na kolanach Zosi i mruczał cichutko niczym kot, a ona przesuwała swoje drobne palce między jego lokami i cieszyła się życiem jak nigdy wcześniej. Byli małżeństwem od tygodnia i każdy z tych siedmiu dni był cudowny.

– Zosia, ty nie musisz nigdzie iść – powiedział Jasiek, dziwiąc się, dlaczego człowiek nie został tak stworzony, by móc po prostu siedzieć i tak sobie tonąć w przyjemności.

– Potrzebne nam będą pieniądze – odparła. – Teraz wszystko drożeje, piec na zimę trzeba nowy wstawić.

– Ale nie musisz pracować – marudził Jasiek. – Ja mogę coś dodatkowo wziąć, na zrywkę ludzi zawsze szukają. Jako kościelny parę groszy dostaję, może coś więcej się nawet uda.

– Jasiulku – westchnęła Zosia, łapiąc go za grzywę ciemnych włosów i potrząsając jego głową. – Chciałeś iść na księdza, ale wolałeś ożenić się ze mną. Tak? To ja też muszę coś od siebie poświęcić.

– Do seminarium mnie gnało, żeby Boga szukać, ale znalazłem go tutaj – powiedział, poklepując ją po kolanie. – Sakrament małżeństwa tak samo ważny w oczach Boga, jak i kapłaństwa. Nie żałuję tego, z tobą dopiero mam prawdziwe szczęście i czuję, że Bóg zadowolony jest z takiego obrotu spraw. A ja proponuję księdzu Pawłowi, że zajmę się jego księgami parafialnymi, rozliczeniami i utrzymaniem kościoła. Znam się na tym lepiej od niego, on raptem rok po święceniach, a ja za księdza Władysława pięć lat wszystko to robiłem. Na pewno się zgodzi.

– Zrób tak – zgodziła się żona. – Jednak i mnie pozwól pójść na gosposię. Łatwa robota, sam mówił na mszy, że pranie raz na tydzień zrobić, posprzątać przed niedzielą i ze trzy razy ugotować. W domu obiad zrobię i do niego zaniosę, cóż to za wielka robota.

– Zosiu...

– A ja wiem, Jasiulku, czego ty mnie nie chcesz z domu puścić – powiedziała ze śmiechem.

– No dlaczego?

– Bo on ładny i wszystkie panny za nim się oglądają, a i potrafi im oko puścić.

– Daj spokój, Zosiu.

– I wiesz, co mówią dziewczyny? Że wy moglibyście za braci być, tacy podobni. Tak mi ciebie zazdroszczą. Wszystkie myślały, że ty sutannę założysz, żadna do ciebie nie smoliła cholewek.

– Przecież wiem, że ty byś mi... no wiesz... że ty... – plątał się Jasiek i czując, że się nie wysłowi, podniósł się z kolan małżonki i spojrzał jej w oczy.

– Głupiutki Jaś – powiedziała, łapiąc go za policzki. – Ja za tobą świata nie widzę i żadnego innego nie chcę, choćby tu złotą karocą przyjechał. Przysięgaliśmy sobie przed Bogiem i ludźmi, ale nawet i bez tego ja bym życie za ciebie oddała. Sakrament ważna rzecz, ale bez niego można się kochać i wspólnie żyć do grobowej deski.

– To grzech – przerwał jej Jasiek.

– Grzech – zgodziła się. – Ale miłość nawet bez sakramentu jest prawdą, a sakrament bez miłości pozostanie kłamstwem.

Westchnął, ponownie złożył głowę na jej kolanach i pozwolił, aby jej drobna dłoń znowu zabłądziła w jego włosach.

Jeszcze tego wieczoru Zosia wsiadła na rower i pojechała na plebanię, aby prosić księdza o etat gosposi. Miała dobre przeczucia, przecież tydzień temu udzielał im ślubu, musiał mieć to w pamięci. Taki był radosny podczas przewiązywania im dłoni stułą, wygłosił mądre kazanie o miłości i wspólnym znoszeniu

trudów codziennego życia, a na sam koniec przyszedł na skromne wesele i bawił się do samego rana. Powiedział, że tańczyć mu nie wypada, ale gdy inni gospodarze podlali mu bimbru, wtedy dał się porwać kilku dziewczynom i wywijał nie gorzej od jej Jaśka.

– Szkoda, że ksiądz – powiedziała jej Iwonka od Kutrzebów, grzejąc jej ucho rozpalonym oddechem. – Milusi. I taki podobny do twojego Jaśka. Szczęściara.

I tak się czuła. Przez całe wesele i następnego dnia, a także wszystkie kolejne, była pewna, że tak już będzie do samego końca.

Ksiądz Paweł nieco się spłoszył na jej widok, ale to pewnie dlatego, że miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę, z kołnierzyka której wystawała po prawej stronie koloratka. Nie zwykł tak przyjmować gości, toteż szybko zapiął guziki, poprawił ubranie i zaprosił ją do środka. Zaproponował herbatę z samowara, który właśnie zaczynał parować, a gdy już piła posłodzony miodem napar, wyjawiała mu, z czym przyszła.

– Droga Zosiu, bardzo mnie cieszy, że chciałabyś mi pomagać, ale już kilka kobiet się zgłosiło – odparł młody ksiądz nieco zmartwionym głosem.

– Tak? – zapytała zawiedziona.

– Ja już nawet wybrałem gosposię, panią Kwarcową.

– Ale przecież ona ciast piec nie umie, wszyscy to wiedzą – obruszyła się Zosia. – Narzeka, że niby piec jej krzywo postawili i z tyłu przypala, ale głupoty gada. A jak kto do księdza w gości przyjedzie, to zakalcem go ksiądz poczęstuje?

– Ojej – zmartwił się ksiądz Paweł, jakby właśnie powiedziano mu o straszliwej zbrodni popełnionej w sąsiedztwie.

– Ano właśnie.

– Poważna sprawa.

– A ja ciasta piekę najlepsze. Nawet tort, co go ksiądz jadł na naszym weselu, sama zrobiłam.

– Przepyszny.

– No to sam ksiądz dobrodziej widzi, że nie najlepszego wyboru dokonał.

– Zosiu, może i tak, ale widzisz, Kwarцова ma pięćdziesiątkę i odchowane dzieci. Ty jesteś młoda i piękna, życie przed tobą. Jak zaczniesz do mnie przychodzić, zaraz ludzie poczną gadać, że kto wie, co tu się na tej plebanii wyprawia. Mąż się będzie denerwował, nie szkoda ci Jaśka?

– Mój Jaśko dobrze wie, że ja mu wierniejsza niż pies. I on mnie. A jak ktoś będzie gadał po próżnicy, to go po pysku wystrzela i ludziom szybko rozum wróci. W dodatku wszyscy mają księdza w poważaniu i takim plotkom nikt nie da wiary.

– Kto wie...

– Ksiądz to święty człowiek i w Beniowej ma wielkie poważanie. Nikt głupot nie posłucha.

– Nikt, powiadasz?

– Ano nikt.

Ksiądz wstał i odłożył z gracją filiżankę z herbatą na stolik. Podszedł do Zosi, aż ta poczuła ostry i korzenny zapach wody po goleniu.

– Widzisz, Zosiu, nawet jak nie stara Kwarцова, to Iwonka tutaj do mnie przyleciała i też zachwalała swoje atuty. Twoja druhna to, zdaje się.

– Iwonka? – Zosia aż wstała, raz, że z nerwów, a dwa, bo ksiądz stał nad nią i czuła się trochę niekomfortowo. Ze starą Kwarцовą wygrać szło, ale Iwonka...

– No tak. Ma czas, bez męża jeszcze, to i zazdrosny nie będzie.

– To dopiero by ludzie mogli zacząć gadać – wypaliła Zosia.

– Przecież sama powiedziałaś, że nie będzie plotek, bo nikt im nie da wiary.

Zbliżył się do niej na krok.

– No nie da... – odparła cichym, mocno niepewnym głosem, którego sama się przestraszyła.

Spoglądali sobie w oczy i teraz widziała, że nie był podobny do jej Jaśka. Może z postury, włosów, a nawet nieco uśmiechu, ale oczy miał inne, Jaśkowe były niczym ciepły staw, a jego jak woda widziana w głębokiej studni.

– Iwonka to grzeczna dziewczyna, bardzo grzeczna – powiedział ksiądz. – Powiedziała, że upierze, posprząta, ugotuje i upiecze, a jak będzie trzeba, to i zagrzeje w zimną noc.

Zosia znieruchomiała, jakby spojrzął na nią bazyliśzek z legendy, którą jej dziadunio opowiadał.

– Ja... – wyjąkała, ale głos uwiązł jej w gardle.

– Chyba że jesteś lepsza nie tylko od Kwarcowej w pieczeniu ciast, ale i od Iwonki. We wszystkim.

– We wszystkim? – zapytała, mając nadzieję, że ksiądz Paweł zaraz wspomni o zmywaniu, sprzątaniu, prasowaniu i gotowaniu.

– No tak – wyszeptał. – Ona pokazała, że ze wszystkim sobie poradzi i jeszcze rozumie, że gospośię obowiązuje tajemnica taka jak spowiedzi, bo tu o różnych rzeczach się rozprawia. A ty potrafisz dochować sekretu?

– Ja chyba tak nie umiem – wyjąkała.

– Wydaje mi się, że jednak potrafisz – powiedział, szepcząc jej prosto w twarz gorzkim zapachem herbaty.

Złapał ją za piersi i pocałował, szarpnęła się do tyłu, ale potknęła się o fotel, na którym przed chwilą siedziała, i upadła na podłogę. Chciała szybko wstać, ale ksiądz Paweł zwałił się na nią i zatkał jej usta dłonią tak mocno, że aż ją zaboląły zęby. Nic więcej nie mówił, nie namawiał, nie porównywał do Iwonki, tylko jedną ręką przyciskał jej głowę do drewnianej podłogi pachnącej niedawno ściętym drewnem, a drugą zdzierał z niej majtki. Szarpała się, wiła i wyginała, ale czuła się jak we śnie, w którym to podobno po człowieka zmora nocna przychodzi. Widzi ją, chce się wyrwać, ale nie idzie nawet ręki unieść.

Po majtkach przyszła pora na bluzkę, która ustąpiła bez protestów, a ciepły język księdza zaczął poruszać się po jej piersiach. Gdy poczuła pierwsze pchnięcie jego bioder, gdy wdarł

się tam, gdzie tylko Jaśko powinien bywać, przychodząc z rozkoszą, a nie bólem, zaczęła płakać, wiedząc, że się nie wyrwie. Trwało to zarazem wieczność, jak i chwilę, sama nie wiedziała jak długo. Ale gdy skończył z głośnym jękiem, zdawało się jej, że postarzała się o wieki, że jest staruszką, która wystawia siwą głowę przez okno, aby popatrzeć, czy tam aby już śmierć po nią nie idzie.

Jaśko tymczasem stał w cieniu przy cmentarzu i patrzył na plebanię, mając złe przeczucia. Niechaj tylko krzyknie, niech coś piśnie, to wpadnie tam. Był mężczyzną i wystarczyło mu spojrzeć na innego chłopą, aby wiedzieć, że jest pies na baby. Oj tak, klecha mógł to ukryć przed jego żoną, bo ta miała dobre serce i wszystkim ufała, ale nie przed nim.

Nagle usłyszał szum, ale nie od strony plebanii, lecz od cmentarza. Odwrócił się i zobaczył Kazika Kutrzebę, ojca Iwonki, oraz jej dwóch braci, Staszka i Wacka. Szli z groźnymi minami, stary trzymał mocno siekiere, a jego synowie widły i pałkę do ogłuszania świń.

– Co tu robisz, Jaśko? – zapytał stary.

– Zosia na rozmowie jest u księdza – odparł szybko chłopak. – Na gosposię.

– To dalej, lecimy – rzucił Staszek, starszy z braci. – Bo będzie za późno.

– Na co? – zdziwił się Jaśko.

– Ten skurwysyn zgwałcił Iwonkę – wycedził przez zaciśnięte zęby Kazik. – Na gosposię chciała, zbałamucił ją i wziął jak żonę. Matce się wygadała, bo ją przy tym strasznie obił. Myślała, że będzie ją smyrał i przytulał, a wziął jak pies sukę. Ubiję skurwysyna.

Stary splunął i ruszył w stronę plebanii zaciskając jeszcze mocniej dłonie na styliśku siekiery, aż mu zbiełały knykcie. Jaśko był szybszy, początkowo jakby mu sił brakło, ale potem wyobraził sobie, do czego może tam dojść.

Zosia przewróciła się na kolana i wstała, spojrzała na księdza wciąż leżącego na podłodze, czerwonego na twarzy, chowającego

sflaczałe przyrodzenie w spodnie. Chciała splunąć na niego, w tę uśmiechniętą zasapaną gębę, ale zamiast tego rozejrzała się po pokoju, zrobiła krok na prawo i przewróciła na podłogę samowar. Ksiądz zasłonił się rękami, ale gdy spadły na niego gorące naczynia i oblał go wrzątek, począł wrzeszczeć.

Zosi było mało. Wpadł jej w oko duży krzyż stojący na stole, do tej pory ukryty za samowarem. Złapała go, solidna rzecz, pomyślała, a potem poczęła walić nim we wrzeszczącego na podłodze księdza. Nie na oślep, o, co to to nie. Jeśli widziała krocze, to uderzała tam, jeśli je zasłaniał, to w głowę.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć i dalej, dalej, dalej.

Aż przestał się ruszać.

Ale ona nie przestała.

ROZDZIAŁ 16

TERAZ

Kosma biegł przez Bielma, chociaż płuca błagały o litość. Olbrzymie, majestatyczne drzewo płonęło coraz mocniej, zajmując się ogniem niczym ogromna pochodnia, rzucało poblask na pobliską plebanię i kościół, światło migotało, poruszało się niespokojnie, rozbudzając spokój nocy. Spokój? Jaki spokój! Tej nocy w Bielmach nikt nie zazna spokoju. Niebo na chwilę zajaśniało, jakby pożoga dotarła do chmur i zajęła je płomieniami, ale to była tylko błyskawica, która szukała odpowiedniego miejsca, by skończyć.

Pod drzewem stał prorok Samuel, trzymając w prawej dłoni linę, grubą i konopną, a u jego stóp klęczał niczym ofiara czekająca na strzał w głowę rosły mężczyzna, był to niechybnie Strzyga, chociaż trudno było go porównać z obrazem uchwyconym na kamerze, miał zalaną krwią twarz, a jej lewa strona była pokryta wielkim zakrzepłym strupem. Jego oprawca w prawej ręce trzymał plastikowy kanister na benzynę, którego czerwień pięknie i upiornie zarazem komponowała się z narastającymi płomieniami i krwią pokrywającą głowę Strzygi.

– Zenek, odłóż to! – krzyknął Kosma, czując się jak ten idiotyczny bohater głupiego amerykańskiego filmu, który chce przemówić przestępcom do rozumu.

– Zabił mi dziecko – odpowiedział mu prorok. – I Ryśka.

– Aresztuję go i odpowie za swoje winy – odparł Kosma.

– Pierdołę aresztowanie – rzucił Zenek, szarpiąc za linę, aby podnieść swoją ofiarę z kolan. – Sam go zajebię. Upiekę, czekam tylko, aż drzewo dobrze się rozpali. Koniec prorokowania, koniec uzdrowień i całego tego pierdolenia! Nie będzie objawień i Świętej Lipy!

Podmuch wiatru pędzący przed nadciągającą burzą wbił Kosmie w nos zapach benzyny, a na policzkach poczuł żar płonącego drzewa, którego płomienie szalały z coraz to większą zajadłością.

– Zostaw go! – zawołał Kosma, podnosząc głos, bo huk pożaru i trzask pękających od gotującej się żywicy gałęzi począł być coraz głośniejszy.

– Daj nam zginąć, zakończmy to – powiedział niemal błagalnie Zenek. – Ogień oczyszcza, nie pozostanie po tym ścierwie nawet ślad.

Temperatura była coraz wyższa i Kosma zaczął się zastanawiać, czy benzyna jest w stanie zapalić się bez kontaktu z ogniem, a tylko od gorącego powietrza. Musiał działać szybko.

– Bóg to widzi – oznajmił Zenek. – Dlatego zesłał burzę w tę noc.

– Kończymy to już – stwierdził zdecydowanym głosem Kosma, ale kościelny szarpnął za linę i związany nią Strzyga zachwiał się na nogach i niebezpiecznie zatoczył w stronę płonącego drzewa. Zdawało się, że nie bardzo się orientuje w sytuacji, musiał mocno oberwać po głowie.

– Tak, masz rację. – Zenek zaczął cofać się w stronę drzewa.

– Stój! – Kosma wyszarpnął pistolet z kabury, zdając sobie jednocześnie sprawę z bezsensowności takiego kroku.

– O nie, nie zastrzelisz mi go! – krzyknął kościelny i mocno szarpnął za linę, po czym objął ofiarę od tyłu niczym rasowy zapaśnik i wpadli razem w płomienie.

Kosma odrzucił pistolet i skoczył za nimi. W głowie przeleciała mu tylko myśl, czy ma na sobie koszulkę z naturalnego materiału, czy też jakąś plastikową, którą będą mu później odklejali od skóry.

Strzyga potknął się i uderzył bezwładnie o pień drzewa, i to było ostatnie, co można było zobaczyć, bo płomienie objęły go niczym gorejący krzak za czasów Mojżesza. Nawet nie krzyczał.

Co innego Zenek, tego gorąc odrzucił od pożogi, ale gdy oblewał benzyną Świętą Lipę i swoją ofiarę, musiało trochę spaść i na niego. Zająła mu się prawa strona wymyślnej szaty, płonęła

chyba także skóra na głowie. Kosma nabrał powietrza, jakby miał zanurkować, i wskoczył w płomień, po czym szarpnął za rozwianą szatę i mocno pociągnął mężczyznę do siebie. Ten na szczęście poddał się temu zabiegowi i niczym tancerz poprowadzony przez partnera zgrabnym piruetem wypadł z płomieni, a Kosma zaraz za nim. Czuł swąd palonych włosów i żar wciskający mu się w płuca, bo powietrza nie starczyło na długo.

Upadli obydwaj na trawę i poczęli na czworakach instynktownie oddalać się od ognia. Kosma skoczył na kościelnego i zdarł mu jego własną szatę, po czym zaczął gasić na nim płomień. Zenek wrzeszczał z bólu, ale po chwili ktoś wylał na jego twarz wodę. Kosma spojrzał do góry i zobaczył Łukasza i Ninę, którzy trzymali w dłoniach butelki z wodą.

– Debil – rzuciła dziennikarka w jego kierunku, po czym połała mu twarz wodą.

Poczuł ulgę. Położył się na plecach i spojrzał w rozrywane błyskawicami niebo, z którego poczęły spadać pierwsze krople deszczu.

ROZDZIAŁ 17

Kosma wybudził się łagodnie, rozejrzał się po szpitalnym pokoju, zatrzymał wzrok na falującej firance poruszanej niepokornym bieszczadzkiem wiatrem.

– Ja to nie mam szczęścia do gór – powiedział na głos i zlustrował stan swojej osoby po wczorajszych wydarzeniach.

Poparzone niegroźnie dłoń i przedramię, dwa złamane zębra, ból gardła i głowy stanowiły naprawdę niewielki rachunek za wydarzenia, w których brał udział. Może gdyby przybyła mu kolejna blizna, ustanowiłby nową, świecką tradycję.

Podjął próbę podniesienia się z łóżka, poczuł tylko delikatny zawrót głowy i żadnych innych dolegliwości. To dobrze, nic nie zmieniło się od nocnych oględzin przez doktora pełniącego dyżur. Nazywał się Moniuszko i to dość wzniosłe oraz mocno wyryte w historii kraju nazwisko zapadło mu w pamięć. Rozejrzał się, ale nie znalazł swojego telefonu. Założył szpitalne kapcie i wyszedł na korytarz.

– Dzień dobry – powitał go wesoły głos pielęgniarki, Joanny, jeśli wierzyć plakietce przypiętej na fartuchu. – Dobrze, że się pan obudził.

– Też się cieszę. Różnie mogło być.

– Bez przesady, ma pan lekkie obrażenia. Zrobimy dzisiaj tomograf na wszelki wypadek, ale naprawdę, nie ma się czym przejmować. Ale lubi się pan pakować w kłopoty, co nie? – Wskazała na jego bliznę.

– Właśnie staram się ich unikać, ale coś kiepsko mi to wychodzi. Proszę powiedzieć, czy ten poparzony, co go przywieźli razem ze mną, nadal tu leży?

– Tak, w tamtym pokoju. – Wskazała na koniec korytarza.

Kosma skinął głową i ruszył wyłożonym gumoleum holem, mijając drzwi po lewej i prawej, w większości uchylone i odkrywające na kilka sekund tajemnice chorób i rodzinnych spotkań. Pomieszczenie wskazane przez pielęgniarkę rzucało się w oczy za sprawą policjanta strzegącego dostępu do pacjenta. Siedział wczytany w książkę, na okładce której widniało wypisane solidnym fontem nazwisko Kościelny oraz tytuł „Nagonka”.

– Dobrze? – zapytał Kosma.

– Mocna rzecz – odpowiedział funkcjonariusz, odkładając lekturę, wstając i podając mu rękę na powitanie. – Facet zna się na rzeczy, pisze o firmie tak, jak jest.

– A co tam z naszym prorokiem? – Wskazał głową drzwi.

– Gorzej wyglądało, niż jest – odparł. – Poparzenia są, mieli go wieźć do jakiejś kliniki, ale okazało się, że chyba poradzą sobie na miejscu. Chce pan podkomisarz z nim porozmawiać?

– Można?

– Komisarz Sepiołło powiedział, że pan przyjdzie. Zapraszam – powiedział, siadając z powrotem na krześle i wracając do lektury.

Kosma wszedł do środka, starając się nie hałasować, ale pacjent nie spał. Leżał na łóżku z lekko uniesionym wezgłowie i obracał w zdrowej, lewej dłoni różaniec. Na widok gościa odłożył drewniane paciorki i sięgnął do pilota nad głową, czym zmusił mechanizm łóżka do pracy i przyjął pozycję niemal siedzącą.

Opatrunki miał założone na prawą stronę ciała, poczynając od głowy, przez oko, ramię, rękę, a na nodze skończywszy. Do zdrowej dłoni miał wpiętą kroplówkę.

– Nie wiem, czy dziękować, czy też pana przeklinać – powitał go Zenek, jeszcze do wczoraj zwany Samuelem.

– Ambiwalentne uczucia, tak to się fachowo nazywa.

– Może to i dobrze, że przeżyłem – stwierdził z westchnieniem. – Moja pokuta będzie dłuższa, a przez to może okazać się zbawienna.

Kosma przemilczał, nie chciało mu się wchodzić w dysputy teologiczne, nie po to opuszczał seminarium, by musieć dyskutować na tematy, w które kompletnie nie wierzył.

– Pan potrzebuje pokuty, ja odpowiedzi.

– Jedno wydaje się współgrać z drugim. Proszę pytać.

– Dlaczego Klaudiusz rzucił się na pana z nożem?

– A, to... – odpowiedział Zenek, jakby żałując, że zachęcił swojego gościa do zadawania pytań.

– Pozostałe kwestie są dla mnie jasne, ale ta mnie zadziwia.

– Klaudiusz był bardzo mądrym chłopakiem, chociaż zdawał się słabować na umyśle – zaczął mówić Zenek. – Pewnie gdzieś jest opisane takie schorzenie, musi być, bo teraz wszystko jest chorobą. Piekielnie dobrze kojarzył, uwielbiał planować, dla zabawy przygotowywał różne rodzaje napadów na bank, takie miał hobby. Proszę mi uwierzyć, on miał rozpisane wszystko w głowie. Jechał do banku w Ustrzykach, wracał i opowiadał, jak wejść i wyjść, by ominąć kamery, gdzie stoją strażnicy i tak dalej. Tylko że powierzchowność miał nietęgą, a i ludzi nie lubił. Wszystkich oprócz mnie i tych właścicieli schroniska.

– Zatem dlaczego napadł na pana? Z zazdrości?

– To była inscenizacja – wyjaśnił Zenek. – Sam to zaplanował. Był z nami, gdy przygotowaliśmy plan tego całego objawienia, i widział, że tych ludzi mało przybywa. Mój wnuk bardzo się irytował, poganiał mnie, więc Klaudiusz wymyślił, że rzuci się na mnie z nożem, a ja go powstrzymam dłonią, niczym Jezus, a potem uczynię znak krzyża, a on padnie na kolana i rozpłacze się. Wszystko mieliśmy nagrać i puścić w świat, ale...

– Nie wyszło – wtrącił Kosma.

– Nie wiedziałem, że tam będzie Strzyga – powiedział Zenek. – Oni niby się znali, ale tylko z widzenia, bo Klaudiusz strasznie się go bał i unikał. Gdy był taki czas, że Strzyga prowadził schronisko, nie zaniósł mu ryb ani razu. Zawsze mówił, że to zły człowiek i taki go może zabić. I miał rację. Może gdyby nie miał na sobie tego stroju, ale uparł się. Uwielbiał kino, a w szczególności film

Krzyk. Czasem zakładał ten swój płaszcz i udawał, że poluje na ludzi, a ścinał mleczkę na łące. On by nikogo nie skrzywdził.

– To był dobry moment, aby się wycofać i przyznać do wszystkiego.

– Tak – zgodził się Zenek. – Ale później pojawił się Strzyga i wszystko się pokomplikowało. Wszystko. A właściwie to się spierdoliło. A mówi Pismo: „Nie wzywaj imienia Pana Boga swego nadaremno”. No i się na mnie Chrystus zemścił.

– Proszę mi wierzyć, on jest strasznie mściwy – odpowiedział Kosma, pocierając bliznę. – Zdrowia życzę.

– Z Bogiem. I przepraszam za to wszystko – powiedział, wskazując zabandażowaną rękę Kosmy. – Będę się za pana modlił, że nie patrzył pan, jak umieram w płomieniach, tylko ratował.

– Za mnie? – zdziwił się Kosma. – Och nie, proszę tego nie robić. Proszę swe wołania do niebios skierować w intencji tych, których pan skrzywdził. Ja po prostu robiłem swoje.

– Miał pan wybór, mógł sam zginąć.

– Miałem – zgodził się Kosma. – Bycie dobrym to zawsze jest wybór.

Zamknął drzwi i wrócił do swojego pokoju.

EPILOG

BIELMA. TERAZ

Słońce świeciło jak oszalałe, San płynął spokojnie, a gwar rozmów usypiał Kosmę. Trzymał w dłoni kufel z piwem, ale czuł, jak siły powoli go opuszczają, wiedział, że zaraz uśnie, co poskutkuje wypadnięciem kufła z dłoni, ale nie miał siły się temu przeciwstawić.

– Ja chciałem przeprosić – nad głową Kosmy rozbrzmiał szorstki, nieco chrapliwy głos. Znał go!

– Romuś, to ty? – zapytał Kosma, podnosząc się z leżaka i osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– No tak – odpowiedział chłopak.

– Nigdy wcześniej się do mnie nie odezwałeś ani słowem, dopiero teraz sobie to uświadomiłem.

– No tak – powtórzył były ksiądz. – Żebyś mnie nie rozpoznał. Mam taki głos, że nie do pomylenia.

Kosma spojrział na chłopaka, niedużego, ale krępego i o mocnych ramionach. Widocznie życie w schronisku szybko go zahartowało. Ewidentnie jednak niski i ochryply głos nie pasował do jego postury, ale zdecydowanie otworzył Kosmie w głowie szufladę z hasłem „tak mówił ten, co mnie napadł w lesie”.

– Myślałem, że to Strzyga mnie chciał pobić – powiedział Kosma.

– Nie, to ja – odparł, spuszczać wzrok, Romuś. – Z zazdrości. Ale myślałem, że to ten z uczelni, Marcin. Podrywał Lubę cały czas, migał tymi swoimi tatuażami.

– I co, chciałeś go zabić?

– Gdzie tam! – Machnął ręką. – Czasem, jak się dostanie w ryj, to się wiele rzeczy człowiekowi w głowie układa na odpowiednim

miejscu. Ja jestem chłopak z warszawskiej Pragi i wiele w życiu widziałem, swoje też nagrzeszyłem. Śmiali się, że idę na księdza, bo sam potrafiłem dyskotekę rozgonić, a teraz co? Sutanna? No i jak widać, mieli rację.

– Nieźle – zaśmiał się Kosma. – Nie mam żalu, ale musimy to oblać.

– Jeszcze raz przepraszam – powiedział Romuś. – A wieczorem jak najbardziej, coś popsujemy. Tylko nie mów Lubie, dobrze? – dodał i odwrócił się na pięcie, po czym ruszył w kierunku schroniska, nie czekając na zapewnienie ze strony Kosmy.

Ten wyłożył się ponownie w leżaku i pokręcił głową z niedowierzaniem. Ale jaja! Przymknął powoli oczy, mając zamiar uciąć sobie dłuższą drzemkę.

– Nie śpij, bo ci dziecko podrzucą – usłyszał głos kobiety, który jego usypiający mózg dopiero po chwili dopasował do wyglądu dobrze mu znanej dziennikarki.

– Wszelki duch Pana Boga chwali. – Kosma się wyprostował. – Zgiń, przepadnij, maro nieczysta.

– Ej no! – oburzyła się Nina. – A co to za powitanie, co? To ja tu pędzę na złamanie karku z Warszawy, a ty co?

– Ta, jasne. – Wstał z leżaka i pocałował ją w policzek na powitanie. – Pewnie znowu kręcisz tutaj reportaż stulecia.

– Coś tam może i kręcę – odpowiedziała ze śmiechem. – Ale moi szpiedzy w schronisku mieli mi donieść, gdy tylko pojawisz się u nich, i proszę, zadziałało.

– Zdrajcy! – rzucił Kosma. – Chciałem wypocząć, wziąłem tydzień urlopu.

– To ze mną najlepiej się relaksuje, uwierz mi.

– Nina...

– Daj już spokój – obruszyła się. – Obecnie nie potrzebuję informacji, a ciebie nie obowiązuje żadna tajemnica śledztwa. Możemy spokojnie wieczorkiem wesolutko się upić, a potem dokonać szalonej konsumpcji naszej namiętności. Uwierz mi,

znam takie sztuczki, że nawet nie będziesz się umiał z tego wypowiadać.

Kosmę wybawił z kłopotu telefon, który oznajmił przychodzące połączenie kawałkiem Nocnego Kochanka *Koń na białym rycerzu*.

– Muszę odebrać – bąknął, odchodząc kilka kroków, chociaż dzwonił obcy numer.

Przeciągnął palcem po ekranie i zbliżył smartfon do ucha.

– Halo – rozbrzmiał w słuchawce ochrypły głos. – Pan podkomisarz Kosma Ejcherst z wydziału apostolskiego?

– Kto mówi? – odparł nieco ostro, przeczuwając żart kolegów ze stołecznej.

– Ja z Ostrożnego, był pan u nas, wizytówkę zostawił i powiedział, że jakby co, to dzwonić – oznajmił głos.

– Tak, zgadza się – odpowiedział dużo łagodniej Kosma, przypominając sobie pracownika z taczka, któremu zaocznie zapłacił stówkę za informacje.

– No to mam coś, co by się chyba nadało.

– Tak, słucham.

– No, ale mówił pan, że jak coś, to będzie można no ten...

– Jasne, zapłacę – odpowiedział Kosma, w mig się orientując, o co chodzi mężczyźnie.

– Bo pytał o pana komisarza ktoś.

– Kto? Przedstawił się? Jak wyglądał?

– No niby nie mówił, co on za jeden. Ale taki starszy. Tyle że ja tak pomyślałem, że pan to za informację pewnie i ze stówkę zapłaci, ale jakbym miał jego zdjęcie, to może i nawet trzy.

– Dobrze pan pomyślał.

– No to ja mam to zdjęcie, kamera mu zrobiła. To ja je wyślę, dobrze?

– Bardzo proszę.

– A pan przywiezie pieniądze? – zaniepokoił się mężczyzna.

– Jak będzie tego warte, to przywiozę.

– To wysyłam.

Po chwili telefon Kosmy oznajmił wiadomość przychodzącą, a na ekranie powoli pojawiało się zdjęcie, na początku pełne pikseli, ale gdy kiepski zasięg poradził sobie z przesłaniem kompletnych danych, zobaczył, kto wypytywał o niego w Ostrożnem.

– Kiedy to było? – zapytał rozmówcy.

– Wczoraj. Ale nie mogłem wcześniej zdjęcia od ochroniarzy dostać.

– Najpóźniej jutro rano u pana będę – rzucił Kosma do słuchawki i rozłączył się.

– Kto to? – usłyszał głos Niny zerkającej mu zza ramienia na ekran smartfona. – Twój dziadek?

– Nie chcesz wiedzieć.

Z ekranu spoglądał na niego mężczyzna z Wnyków.

Sandomierz, 31 maja 2023 roku

OD AUTORA

W październiku 2021 roku wybrałem się wspólnie z moją siostrą Pauliną i jej mężem Łukaszem na wyprawę do „worka bieszczadzkiego”, czyli dokładnie tego miejsca, które przed chwilą poznaliście. Akurat skończyłem pisać *Pomruk*, książkę osadzoną w Bieszczadach, i ruszyliśmy w piękny, zalany słońcem cudownie grającym na kolorowych jesiennych liściach dzień, aby zebrać materiały do promocji książki. Przemierzaliśmy szlak, robiliśmy sobie zdjęcia z kłapsem filmowym z napisem „Pomruk” i bawiliśmy się wyśmienicie. Wtedy właśnie zakochałem się w tym miejscu i już wiedziałem, że osadzę tam kiedyś akcję powieści, że muszę wskrzesić Beniową i Sianki. Ja to wszystko widziałem – gdzie będzie stała plebania, domy mieszkańców, schronisko „U Hrabiny” i finałową scenę z płonąca lipą, mimo że po oryginalnych zabudowaniach pozostało jedynie wspomnienie. I że wieś będzie nazywała się Bielma.

Tylko był pewien kłopot, bo miejsce akcji mojej książki *Pomruk* to były właśnie Bielma, dlatego też, gdy tylko przekroczyłem próg domu, rzuciłem się do komputera i szybko zmieniłem nazwę wsi, w której grasował Bies na Pomruki (no nie mogłem wymyślić nic lepszego, serio), żeby zostawić te Bielma dla Kosmy.

Wcześniej znałem Bieszczady jako wspaniałe miejsce na wędrówki, w trakcie pracy nad *Pomrukiem* zgłębiłem podania i legendy regionu, ale dopiero przy *Bielmach* sięgnąłem głębiej w historię tych gór. Przepadłem. Ileż w tym regionie się działo, to jest nie do uwierzenia. Starłem się chociaż fragmenty, dosłownie strzępki, dziejów tej pięknej krainy zawrzeć w powieści.

Bardzo dużo dała mi książka *Bieszczady w PRL-u* Krzysztofa Potaczały. To dzięki niej mogłem nawiązać do zmian nazwy miejscowości, wyjazdów studentów w Bieszczady, historii okradania cerkwi, zakopywania dzwonów i tak dalej, i tak dalej.

Chciałem bardzo wiernie oddać przebieg Akcji Specjalnej „Wisła”, kontaktowałem się w tej kwestii z Muzeum Historii Bieszczad i profesorem doktorem habilitowanym Grzegorzem Motyką, znanym i genialnym badaczem tego wycinka historii Polski. Otrzymałem nieocenioną pomoc, za którą serdecznie dziękuję, jednak mimo ogromnych starań nie udało mi się dotrzeć do nazwisk dowódcy kierującego akcją na terenie Beniowej i Sianek. Żałuję, że swego czasu porzuciłem plany studiów historycznych, które pewnie by mi pomogły w tym zakresie. Jednak przebijając się przez najróżniejsze opracowania, wysnułem jeden wniosek: że ciężko jednoznacznie ocenić zarówno przebieg tej akcji, jak i działania żołnierzy biorących w niej udział. Miałem w głowie pewien obraz postaci oficera, który zachowuje się zgodnie z przedwojennym kodeksem honorowym, i stwierdziłem, że jeślibym wziął prawdziwe nazwisko i opisał tę postać inaczej, niż zapisała się na kartach historii, byłoby to niesprawiedliwe. Porzuciłem zatem poszukiwania, stworzyłem swojego oficera i zaszczepiłem mu w głowie dylemat, który także mnie nie dawał spać po nocach. Co bym zrobił w takiej sytuacji? Jak ja bym się zachował na jego miejscu? Przebieg wysiedlenia Beniowej powstał na bazie wspomnień uczestników tych wydarzeń; faktycznie żołnierze bawili się z mieszkańcami, aby potem o świcie ich wysiedlić. Znalazłem różne wersje, w jednej mieli do dyspozycji jedną furmankę na swój dobytek i godzinę na spakowanie, w innej dwie furmanki i dwie godziny. Przeróżające, nieprawdaż?

Scena spalenia wsi różni się tym, że ja ocaliłem cerkiew, gdy tak naprawdę spłonęła. W moim literackim świecie wieś przetrwała, ale w rzeczywistości o jej istnieniu świadczą dziś jedynie cmentarz i kamienna chrzcielnica.

Zawiązanie fabuły zawdzięczam mojej fryzjerce, a właściwie jej babci, która podczas aktu strzyżenia zaczęła mi opowiadać historię o tym, jak to jeden ksiądz z Bieszczad jeździł nad morze i tam miał kochankę. Oczywiście ta nie wiedziała o jego stanie kapłańskim i gdy pojechała na wakacje w Bieszczady i poszła na mszę, ku swemu zdziwieniu za ołtarzem zobaczyła swojego ognistego kochanka. Historia obracała się w głowie, aż nabrała

ostatecznego kształtu księdza, którego nie rozpoznał kolega z seminarium. Pani Krzysiu, serdecznie dziękuję!

Wspomnienia Kosmy i Kacpra z seminarium zbudowałem dzięki mojemu koledze Sławomirowi Partyce, który odbębnił rok w sandomierskim seminarium i sprzedał mi opowieść o serkach chowanych za doniczkami i ohydnych kotletach jajecznych.

Wszystkie objawienia opisane w powieści (oprócz tych pod lipą) miały miejsce. Możecie odszukać opowieści „siostry Czesławy” ze wsi Ostrożne na Podlasiu, a także wszystkie mistyfikacje, jakie opisałem. Nie zmieniałem personaliów osób, bo trąbią o nich gazety, internet, radio i czasem telewizja, i nie opisałem nic ponad to, co jest ogólnodostępne. Fikcją jest oczywiście rozmowa Kosmy z „ojcem dyrektorem”. Zdobywanie wiedzy w zakresie objawień, które w zdecydowanej większości okazują się oszustwami, było niezwykle ciekawą przygodą, pokazującą, jak łatwo wyciągać pieniądze od ludzi pragnących kontaktu z Bogiem. I tu nie chodzi o Polskę, ale właściwie cały świat. Chociaż gonimy Zachód, ostatnio pewnie obił się Wam o uszy kolejny „cud”, tym razem Matka Boska ukazała się na pniu drzewa w Parczewie. Chwalmy Pana!

Zachęcam do przejścia szlaku śladami książki. To bardzo przyjemny szlak i wprawnemu wędrowcowi przejście do samych źródeł Sanu i z powrotem zajmie jakieś sześć godzin. Jeśli tak uczynicie, to zróbcie sobie fotkę w Bielmach i oznaczcie #bielma. Może uzbiera się z tego jakaś ciekawa galeria?

Kochana Czytelniczko, drogi Czytelniku, dziękuję, że jesteś. Kocham opowiadać historie, a bez Ciebie nie byłoby to możliwe. Dziękuję!

JEŻELI SPODOBAŁA CI SIĘ POWIEŚĆ, TO BĘDZIEMY WDZIĘCZNI, JEŚLI PODZIELISZ SIĘ OPINIĄ NA JEJ TEMAT ZE ZNAJOMYMI ZA POŚREDNICTWEM MEDIÓW SPOŁECZNOŚCIOWYCH LUB W JAKIKOLWIEK INNY SPOSÓB. DZIĘKUJEMY!

¹ Cytat pochodzi z ludowego podania o nieznannej etymologii [przypis redakcji].

² Fragment pieśni huculskiej [przypis redakcji].

³ Jurek Potański, *Wódka lub Gorzałka*. Wydana w 1614 roku.